Marcin Haba

Kartkówka z jesieni

Marcin Haba

Kartkówka z jesieni

NIEBO
Bytom 2025

SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI
Beata Haba

REDAKCJA I KOREKTA
Beata Haba

WYDAWCA
Niebo
niebo@niebo.biz
www.niebo.biz

Copyright © Marcin Haba, 2025
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-947816-8-2

WYDANIE PIERWSZE

Ten utwór udostępniony jest na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów
zależnych 4.0 Międzynarodowe.
Treść niniejszej licencji dostępna jest na stronie
https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/deed.pl

Kartkówka z jesieni

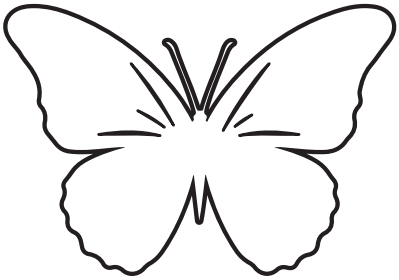

Strona internetowa „Kartkówki z jesieni”

kartkowkazjesieni.pl

Rozdział 1

Poniedziałek

Cześć. Tu Gośka. Właściwie to nie wiem, co powiedzieć, poza tym że mamy poniedziałek, piętnasty dzień września, takie niby sobie coś, niby sobie nic. W autobusie linii 141 czuję się jak mała mróweczka, tyci drobinka wśród setek innych drobinek, upchnięta gdzieś między tęgi brzuch starszego faceta a sportowy plecak dryblasa z bujną czupryną. To nie jest fajne, gdy jedziesz nabitym po brzegi autobusem, jak przysłowiowa sardynka w puszce i jedyne o czym marzysz, to o tym, by wysiąść. Zresztą pewnie każdy to kiedyś przechodził i wie, jak to jest. Nic przyjemnego.

Gorsza od tego jest jedynie myśl o tym, że ten piękny piętnasty września otwiera trzeci tydzień chodzenia do nowej szkoły, do której mam tak dojeżdżać przez najbliższe trzy lata. Zespół Szkół Odzieżowych w Lękocku nie był moim szczytem marzeń ani też możliwości, lecz jak to mówiła moja mama i potwierdzał tata „Z pracą w odzieży jest jak z pracą w zakładzie pogrzebowym – ciągle jest w nich zbyt, bo ludzie zawsze muszą się w coś ubrać tak samo, jak zawsze muszą kiedyś umrzeć. Gośka, w tych zawodach nie zginiesz" – zapewniali. No dobra, może i nie zginę, ale ja chciałam od życia trochę więcej niż „nie zginąć".

Finalnie to realia, a dosadniej mówiąc, słabe wyniki ze szkoły podstawowej ostatecznie przeważyły, że chcąc nie chcąc, wylądowałam w „odzieżówce". No, niech będzie – myślałam. Machnęłam na wszystko ręką i tak już zostało.

Na tym jednak nie koniec. Gdzieś głęboko w środku miałam swój własny plan na życie, jeden z takich, nad którymi główkuje się długo, buduje latami, a na myśl o których aż ściska w żołądku. Nie mówiłam o nim nikomu, aby go nie spalić. To jeszcze nie ten czas, nie ten moment, bo ludzie jak to ludzie, mają swój zwyczaj, żeby oceniać i doradzać, kłapać paszczami i w ogóle wiedzieć wszystko lepiej. Specjaliści od czyjegoś życia, którzy w parę sekund potrafią zgasić czyjś najlepszy plan i największy zapał. Nie lubię tego. Wciskają swoje duże nosy w czyjeś życie i są tacy ciekawscy, jakby idealnie wyczuwali, że masz coś fajnego i chcieli ci to jak najszybciej wytrącić z rąk. Tego właśnie chciałam uniknąć. Póki co, puszczam spojrzenie przez okno autobusu. Przez wpół zaparowane setką oddechów szyby widzę, że dojeżdżamy do przystanku „Ogród botaniczny". Jeszcze dwa przystanki i połowa tłumu będzie wysiadać. Już nie mogę się doczekać.

Właściciel dużego brzucha zionie na mnie tytoniowym oddechem. Jest ciężko. Z robotniczą torbą trzymaną w ręku i miną w stylu „Cholera, znów do roboty" wygląda na jakiegoś mechanika zmierzającego do pracy. Albo nie! Hydraulik? Tak, to może być hydrau-

lik. A może kolejarz? Zresztą nieważne. Ktokolwiek by to nie był, miałam go dość. Wyciągam głowę mocno w stronę uchylonego okna, aby złapać choć odrobinę świeżego powietrza. Tak trochę jak żyrafa wspinam się na palcach centymetr po centymetrze wyciągając swój nos jak najbliżej okna. Głęboki wdech, wydech, wdech i znów wydech. Tak leci mi droga.

Pocę się, pocę. Jak ja się pocę! Palce u nóg bolą mnie od wyciągania się do okna, a ręka cierpnie od trzymania się górnej rurki. No nie! Gdzie ja trafiłam? Myśl o czymś dobrym, Gośka. Myśl o czymś przyjemnym. Tylko o czym tu myśleć? W głowie mam dziurę jak stąd do Wisconsin, nic, pusto, nie mam żadnego skojarzenia.

Jedno co tam gdzieś daleko mi świta, to ta szkoła. Sama nie wiedziałam, czego się po niej spodziewać. Nie co dzień człowiek zaczyna nową szkołę, a dla cichej piętnastolatki to jest już mega wyzwanie. Nowi ludzie to często nowe kłopoty. Człowiek pozbywa się jednych, a w to miejsce przychodzą drudzy, czasem nawet gorsi, niż ci pierwsi. Bałam się tego. W głowie miałam tonę pytajników różnego typu. Jak będzie? Kto będzie? Czy się zaaklimatyzuję? I czy w ogóle dam radę?

Szczęśliwie do tej samej klasy chodzi ze mną Anka, dobra kumpela z podstawówki. To mi znacznie ułatwiało sprawę, bo co jak co, ale Anka z zaaklimatyzowaniem się nie miała nigdy problemu. Co więcej, zamiast ona uważać na kogoś, to inni musieli uważać

na nią, bo była z tych osób co z problemami się nie patyczkują. Nie, żeby miała na wszystko radę czy odpowiedź, ot po prostu – odważna była i tyle. Ja w każdym razie czułam się przy niej bezpieczniej. Zawsze waliła prosto z mostu co myśli i czuje, co jej się podoba, a co nie. To akurat było fajne i nieraz zabawne, czasem może tylko przysparzało kłopotów, jak sprawy szły za daleko. Przez tą jej „szczerość" raz nawet trafiłam z nią na dywanik do dyrektora. Dostało się nam za udzielanie rad nieprzyjemnemu sprzedawcy ze szkolnego sklepu. A najśmieszniejsze w tamtej sytuacji było to, że ja nie powiedziałam ani słowa, a jedynie byłyśmy tam razem. Ale nic, takich przygód było więcej.

Autobus dojechał wreszcie do przystanku „Fabryczna". Drzwi pojazdu się otworzyły i dziesiątki „sardynek" wysypało się na zewnątrz. W środku z sekundy na sekundę robiło się luźniej, tłum wysiadał, a ja poczułam, jak wypełnia mnie błoga ulga. Luz, nareszcie luz i powietrze. Hydraulik też wysiadł razem ze swym tytoniowym smrodem. Uff, zaciągam się mocno chłodem wiejącym od drzwi. Błogość. Robi się nawet tyle przestrzeni, że trafia mi się miejsce siedzące.

Dalej już było z górki, bo do mojego przystanku zostało jeszcze tylko dziesięć minut jazdy. Korzystając z wygodnego miejsca, chciałam coś sobie poczytać. Zanim sięgnęłam do plecaka po książkę, z prawej strony autobusu zauważyłam pewnego chłopaka. O, dziś znów jedziesz ze mną – pomyślałam. Widziałam

go już tu dwa razy. Taka ładna buzia, sympatyczna raczej, włosy ciemne i krótkie, lekko kręcone. Niby niczym się szczególnie nie wyróżniał, chłopak jak dziesiątki innych chłopaków spotykanych w autobusie, ten jednak miał w sobie jakiś niewytłumaczalnie silny magnes. Sama nie wiem, co to było, ale wystarczyło, aby się nim zainteresować. No i ta naszywka na ramieniu kurtki „Amok Bastarian" oznaczała, że tak jak ja słuchał ciężkiego rocka. Spojrzałam raz jeszcze na twarz nieznajomego. Fajny był.

W swoim krótkim życiu spotkałam kilka podobnych osób, wszyscy nadawali na zbliżonych falach do moich. Nie wiem, czy to dlatego, że mi ich przypominał, czy przez coś innego, ale miałam takie marzenie, aby go kiedyś poznać. Wiem, może to głupie, bo pewnie nigdy się nawet do niego nie odezwę, ale tego właśnie chciałam – po prostu go poznać i dowiedzieć się, jaki jest. Pod tym względem poznawanie ludzi przypominało mi grę w pokera. Nie, żebym za kartami przepadała, ale jest taki moment w pokerze, gdzie mówi się „sprawdzam" i pokazuje się, co się faktycznie w ręce ma. Chciałabym kiedyś go „sprawdzić".

Na kolejnym przystanku zazwyczaj wsiadała Anka. Nie inaczej było i tym razem. Zobaczyłam, jak wchodzi ostatnim wejściem, następnie kieruje się w moją stronę. Ubrana jak zwykle w długą, wojskową kurtkę i wytarte dżinsy. Miała proste blond włosy rozpuszczone luźno na ramionach. Nic nie wyglądało na to, że coś jest z nią inaczej. Dopiero gdy zrobiła jeszcze

kilka kroków, zobaczyłam, że coś się dzieje. Pomachałam do niej ręką, bo mnie nie zauważyła. Znowu pomachałam i jeszcze raz. Wreszcie wyłowiła mnie spośród reszty pasażerów.

– O, Gośka! – zawołała i już była przy mnie. Jednym susem usiadła obok, że aż zatrzęsło moim siedzeniem.

– Anka, co ci? Wszystko OK? – zapytałam od razu.

Ta machnęła tylko ręką w powietrzu na znak rezygnacji.

– Ach, dziewczyno – rzekła. – Szkoda nawet gadać.

– Co się dzieje? – zaniepokoiłam się.

– Pamiętasz moją gitarę?

Na to pytanie w głowie jak z automatu pojawiły mi się przebłyski różnych naszych spotkań w domu czy w szkole, na których Anka grywała na gitarze współczesne, popularne utwory. Była w tym całkiem dobra i znana z tego prawie w całej szkole.

– Jasne. I co z nią? – zapytałam.

– Nie mam gitary. Dasz wiarę? Nie mam gitary! – znów machnęła ręką.

– O, szlag! Mów, co się stało.

Na twarzy Anki pojawił się smutny grymas. Widać było, że wewnątrz wraca do niej coś ciężkiego, jakieś trudne wspomnienie. Skrzywiła się i pokręciła lekko głową.

– Ach, Gośka – westchnęła. – Powiem ci tak. Alkohol to ścierwo.

Wymieniłyśmy szybkie spojrzenia, a mi już zaskoczyło w głowie, o co mogło chodzić.

– Ojciec? – zapytałam niepewnie.

Nie odpowiedziała. Przytaknęła tylko głową.

– Co ty?! Serio?! – niemal krzyknęłam. – Dobra. Nie kończ.

Wszystko było już dla mnie jasne. Miała problem z ojcem alkoholikiem. To trudna sprawa, nawet dla takiej osoby jak Anka, a raczej szczególnie trudna właśnie dla niej. Nieraz opowiadała mi, jak jej tata wynosił różne cenne rzeczy z domu i sprzedawał na alkohol. Ale gitara własnej córki?! To się już nie mieści w głowie, totalne przegięcie. Popatrzyłam na Ankę i zrobiło mi się smutno. Smutno, że są tacy ojcowie, smutno, że się takie rzeczy dzieją i smutno, że to właśnie Anka.

– Tak mi przykro – złapałam ją za ramię i poklepałam. Jej oczy zaszkliły się i momentalnie odwróciła głowę w drugą stronę. Nie chciała, bym widziała ją w takim stanie.

To był chyba pierwszy raz, gdy zobaczyłam w jej oczach łzy. Nie pamiętałam nigdy jej takiej. Ta roznoszona energią twardzielka, największa z największych twardzielek, jakie znałam, teraz wyglądała tak zupełnie zwykle, zwyczajnie, jakby ta cała jej pewniacka otoczka luzerki była skorupą, za którą skutecznie się kryła, a która teraz z niej opadła. Patrzyłam przez chwilę na nią. Im bardziej się jej przyglądałam, tym mniej widziałam w niej naszą Ankę, a bardziej widziałam tak zwyczajnie... dziecko, ciężko zranione przez ojca dziecko.

Żadna z nas nic nie mówiła. Bo i co można by na to powiedzieć? Że będzie dobrze? Albo, że ojciec kiedyś przestanie? To wszystko banały. Nikt tego nie wie. To jak trefne klucze do drzwi, które nie pasują. Wkładasz, przekręcasz i się nie otwiera. Wkładasz drugi, przekręcasz i znowu to samo. Ciężko pocieszać w takiej chwili. Lepiej się zamknąć. To przykre, że są takie drzwi, do których nic nie pasuje, których po prostu nie da się otworzyć.

– W tym domu i tak już nic nie ma – odezwała się Anka. – Jeszcze tylko czekać, aż mnie wyniesie. Ale dobra, nieważne.

– To ważne – rzekłam.

– Ważne, nieważne, Gośka, mam to gdzieś. A zresztą mama nie jest lepsza – dodała Anka. – Zamiast wysłać go siłowo na leczenie, to ciągle daje mu szansę, jakby żyła na innej planecie, albo co najmniej widziała inną rzeczywistość od reszty. Normalnie od pewnego czasu jak z nią gadam, to na słowo „szansa" mam odruch wymiotny. Rzygam tym.

– Przykre – powiedziałam.

– Tak, przykre – przyznała. – Tylko ta gitara... Cholera, moja gitara. Ja mu tego nie zapomnę.

Chyba już nic nie trzeba było do tego dodawać. Brzmiało jak esencja porażki w czystej formie. Bezradność to dobre słowo na podsumowanie całości, łączące klamrą początek i koniec. Możesz mieć najlepsze chęci, talenty i życiowe plany. Układać wszystko, przygotować każdy detal. I co z tego, gdy zawsze

znajdzie się ktoś, kto podstawi ci nogę, podłoży kłodę czy tak jak tutaj – sprzeda gitarę. Nie wiem, czy kiedyś ten temat ogarnę i czy w ogóle da się go jakoś ogarnąć. Piętnaście lat to nie jest fajny wiek, bo niby już prawie jesteś dorosła, a jednak tak mało zależy od ciebie.

Chciałam coś jeszcze jej powiedzieć, dodać jakiejś otuchy. W każdym razie nie chciałam jej tak zostawiać bez niczego.

– Wiesz, co ci powiem Anka?

– No?

– Nie myśl o ojcu – rzekłam w końcu. – Bo to serio, nic ci nie pomoże. Ojciec to skała, a skał się nie rusza. Myśl o tym, co możesz jeszcze zmienić. Pomyśl o sobie.

– Dzięki. Tak chyba zrobię – zastanowiła się, a po chwili dodała. – A dupczyć to wszystko. Leję na to.

– Właśnie.

– Świat i tak jest kolorowy – rzekła, a ja zauważyłam, że zaczyna w niej wracać stara dobra Anka.

– Jasne.

Gadałyśmy jeszcze trochę w takiej szczerej kumpelskiej rozmowie. Nie często zdarzyło się nam tak rozmawiać. To chyba przez tę jej „skorupę" twardzielki, którą dziś z siebie zrzuciła, takie tematy rzadko nam przychodziły. Jeżeli czegoś się nauczyłam tamtego poranka, to właśnie tego, że nie ma znaczenia jak pewny i twardy na zewnątrz jesteś. Jakkolwiek pewny byś nie był, w każdym z nas w środku jest

żywy człowiek, który jak wszyscy potrzebuje się pośmiać, ale czasem potrzebuje też popłakać. Anka dziś potrzebowała właśnie tego drugiego. Fajnie, że jest moją kumpelą i że mogła to zrobić przy mnie. Mam wrażenie, że takie sytuacje zbliżają, jakbyśmy wkładały do środka nawzajem jakąś małą część siebie.

O piętnastej wróciłam ze szkoły do domu. W pierwszych tygodniach roku szkolnego nie dzieje się wiele, bo uczniowie nie przerobili jeszcze materiału potrzebnego do przeprowadzenia sprawdzianów czy nawet kartkówek. Z jednej strony to jest fajne, bo się człowiek nie stresuje, ale z drugiej muszę przyznać, że lekcje są nudne, szczególnie takie związane z zawodem. Nic mi to nie wchodzi do głowy. Nauczycielka z materiałoznawstwa mówiła dziś rzeczy, których już teraz nie pojmuję, a co dopiero mówić o nauce za kilka miesięcy. Może ja za głupia jestem do tego zawodu albo zwyczajnie się nie nadaję?

Zawsze uważałam, że cała sztuka w zdobywaniu nowej wiedzy jest taka, aby przełożyć ją sobie na coś dobrze znanego. Stworzyć swego rodzaju połączenia w stylu, że to jest podobne do tego, a tamto jest prawie takie jak coś jeszcze innego. Poprzewlekać w głowie takie nitki łączące dwa światy – nieznane ze znanym. Tu, w tej nowej szkole, już na starcie robią mi się zamiast nitek supły. Wszystko się plącze w spore kołtuny. Ech, ciężko widzę tę edukację.

W domu już na starcie była chryja. Jeszcze jak wchodziłam po schodach na moje piętro, to już wiedziałam, że nie będzie łatwo, bo doszedł mnie krzyk Oskara. To mój młodszy brat, mały i głośny siedmioletni brzdąc. Płakał i wył przeciągle, jakby co najmniej zamordowano mu rodzinę. Najtrudniejsze było to, że jak Oskar już płakał, trudno było go uciszyć, nic do niego nie docierało. Działał prawie jak syrena alarmowa, a gardło miał naprawdę mocne. Co najciekawsze, ze wszystkich domowników jedynie mi udawało się go najszybciej uspokoić, jakbym do takich sytuacji miała w sobie coś, czego ani mama ani tata nie posiadali.

– Co się stało?! – zawołałam od drzwi.

– O, Gośka. Dobrze, że już jesteś – przywitał mnie ojciec.

W przedpokoju pojawił się Oskar. Wyglądał słabo, oczy miał zaczerwienione i łzy leciały mu po policzkach. Gdy mnie zobaczył, nagle ucichł.

– Gosia! – zawołał maluch i podbiegł do mnie, aby się przytulić.

– Czemu on płacze?

– Aaa, trudna sprawa – ojciec pokręcił głową. – Bo widzisz, Pan Śpiewaczek zdechł – oznajmił.

Gdy tylko tata powiedział słowo „zdechł", Oskar znów zaczął głośno wyć. Objęłam go i mocno przytuliłam.

Faktycznie tragedia. Pan Śpiewaczek to był kanarek, najukochańszy zwierzak Oskara. Mały, żółty śpiewający ptaszek. Niby nic nadzwyczajnego, kana-

rek jak inne kanarki, lecz dla mojego brata był – jak on to zawsze określał – „najlepsym psyjacielem". Oskar często siadał przed klatką, mówił do Pana Śpiewaczka, karmił go, opowiadał mu nawet bajki, a przede wszystkim dbał o niego bardziej niż niejeden dorosły hodowca kanarków. Naprawdę, pod tym względem Oskar robił świetną robotę. A teraz, masz ci los, Śpiewaczek odszedł.

– Chodź Oskar, pogadamy sobie – wzięłam go za rękę i poszliśmy do mojego pokoju.

Posadziłam go na brzegu łóżka i sama też usiadłam obok. Wciąż szlochał i pociągał nosem. Widać było, że w jego głowie rozgrywała się spora tragedia. Był typem nieskończonego wrażliwca, co zapłacze nawet nad zabitą muchą czy mrówką. Taki to braciszek mi się trafił. Miałam wrażenie, że to coś znacznie więcej niż tylko wrażliwość, jakby wchodził do głowy tych zwierząt i cierpiał razem z nimi. Empata na tysiąc procent.

– Bo widzisz, Oskar... – zaczęłam. – Czasem tak się zdarza, że ktoś od nas odchodzi.

Nie powiem, że nie miałam tremy, bo miałam, a pewnie dlatego, że ze wszystkich domowników chyba tylko ja zdawałam sobie sprawę z poziomu jego wrażliwości. Może właśnie dlatego dogadywałam się z bratem lepiej niż rodzice. Tak czy inaczej, czułam na karku odpowiedzialność za to, by go jakoś pocieszyć.

– Pamiętasz prababcię Lusię? – zapytałam.

Oskar nawet na mnie nie patrzył. Biegał wzrokiem po szafce z książkami.

– Babcia kiedyś była, a teraz jej nie ma. Odeszła sobie jak Pan Śpiewaczek. To tak samo działa, trochę jak... – zastanowiłam się, do czego to porównać – trochę jak... jak mleko w tubce.

Przyszło mi to na myśl, bo Oskar uwielbiał zagęszczane mega słodkie mleko w tubce. Na słowo „mleko" aż mu oczy zabłysły.

– Życie to jak takie właśnie mleko, że na początku masz całą tubkę i jest bardzo fajnie, przyjemnie – zauważyłam, że brat zaczął słuchać. – Potem z biegiem lat tego pysznego mleka ubywa, aż w końcu przychodzi czas, gdy w tubce nie ma już nic. Wtedy właśnie ktoś odchodzi.

– Aha – przytaknął.

– Panu Śpiewaczkowi po prostu skończyło się „mleko".

Oskar gapił się na mnie. Przestał pociągać nosem, a po chwili spytał:

– A gdzie on teraz jest?

Upsss. Trudne pytanie – pomyślałam.

– Kto? – zapytałam, grając na zastanowienie.

– Pan Śpiewaczek. Gdzie on teraz jest? – powtórzył.

– Hmm... Pewnie jest w pięknym, ptasim niebie – rzuciłam niepewnie.

– Ooo – westchnął. Wyglądało, że odpowiedź go zaciekawiła. – A jak tam jest?

– Nie wiem, Oskar, ale na pewno jest tam dobrze i fajnie.

W pokoju zapanowała zupełna cisza. Nikt już nie pociągał nosem, nikt nie szlochał, ani nie płakał. To było coś. Czułam, jakbym skutecznie rozbroiła tykającą bombę, jakbym przecięła właściwy kabelek we właściwym czasie.

– Jest OK? – zapytałam dla pewności.

– No jest – pokiwał głową, a ja poczułam ulgę.

– Fajnie – pogłaskałam go po włosach. – To idziemy teraz do kuchni na obiad – rzekłam. Po tym wzięłam go za rękę i poszliśmy.

Gdy stanęliśmy w kuchennych drzwiach, rodzice stali do nas tyłem i nas nie widzieli. Mama mieszała gotującą się zupę, a tata podniósł dłoń, w której trzymał coś żółtego.

– Ten Śpiewaczek to do mieszanych czy do BIO? – zapytał tata.

– Wrzuć do BIO – ze spokojem odparła mama.

Ojciec luźnym ruchem wrzucił żółte truchło do brązowego kosza. W tej samej chwili poczułam, jak brat puszcza mi rękę. Zdążyłam tylko zobaczyć jego wielkie, przerażone oczy i zaraz potem rozległ się najgłośniejszy, jaki słyszałam w życiu, oskarowy wrzask.

– Nnnnnnniiiieeeeeeeeeeeee!!!

No nie wiem, co było w tym poniedziałku, ale jakiś był „płaczliwy”. Najpierw Anka, teraz Oskar, a ja w tym wszystkim jako strona, która może coś pomóc. Czy czułam się z tym dobrze? No, może was zaskoczę,

ale tak, czułam się dobrze. Przyjemnie jest komuś pomóc i to w sytuacji, gdzie pozornie nie wiadomo nawet jak się do tego zabrać. Jedyne co było trudne, to bezradność, że ani nie mogę zrobić nic z ojcem Anki, ani też nawet z moimi rodzicami. Leczenie samych skutków – tak bym to nazwała. I to chyba w tym temacie tyle.

Wieczorem do mojego pokoju zajrzał tata. Czasem mnie odwiedzał, niby czegoś szukając, niby podlewając kwiatki, lecz oboje wiedzieliśmy, że chciał na osobności ze mną pogadać i dowiedzieć się, co u mnie słychać. Nawet fajną mieliśmy relację, taką na luzie, zakładając, że nie było przy nas mamy. Z mamą to jest trochę inna historia. Wygląda to tak, że mama przejmuje problemy innych osób na siebie i próbuje je sama rozwiązać. Przez to znacznie mniej mówiłam jej o sobie. Ja wiem, że chce dobrze, tyle tylko, że problemy nie zawsze są po to, aby je od razu rozwiązywać, a częściej by się mierzyć z nimi samemu. Na swój sposób to coś intymnego, co człowiek nie zawsze chce powierzać innym.

– Jak tam szkoła? – zagadnął tata.

Dziś podlewał kaktusy. Wspinał się na palcach, by sięgnąć do najwyżej położonych kwiatów.

– A, no, chyba w porządku – odparłam.

– Czyli, że co? Że garnitur mi na swój ślub uszyjesz? – zaśmiał się.

– Jasne! – odparłam. – Masz go u mnie. Normalnie, masz go.

– To super – ucieszył się. – A tak serio? Jak ci te pierwsze dni idą?

– Nie wiem – wzruszyłam beztrosko ramionami. – Co ci mam powiedzieć? Że nie idzie mi wcale? To wszystko jeszcze jest za świeże. No wiesz, ciężko cokolwiek stwierdzić. Za jakieś trzy miesiące mnie zapytaj.

– Dobra. Zapytam.

– Jedno, co jest pewne, to...

Zawahałam się, czy mu o tym mówić. Przekalkulowałam szybko w głowie. W końcu się zdecydowałam.

– Tak? – zainteresował się.

– ...to, że na razie mnie ta cała odzież nie kręci.

Tata spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Odłożył konewkę na biurko i usiadł na łóżku obok mnie. Zapowiadało się, jakby chciał mi coś ważnego powiedzieć, albo co najmniej dać jakąś życiową radę.

– Daj tej szkole szansę – trącił mnie łokciem. – No wiesz, Gośka, jak bardziej to poznasz, to może ci się w końcu spodoba.

– Jasne – odparłam, raczej by go uspokoić i chyba też trochę uspokoić siebie. Ale czy w to wierzyłam? Odpowiedź była krótka – nie.

Gdy tata poszedł, zastanawiałam się jeszcze nad tym przez chwilę. Leżałam na łóżku i przez słuchawki słuchałam muzyki. Z jednej strony zdawałam sobie sprawę, że ta szkoła, to moja przyszłość, wyuczony zawód, który będzie ciągnął się za mną przez resztę życia. Z drugiej strony już teraz miałam tego dość.

Z wielkim utęsknieniem spoglądałam w głąb siebie na małą, skrytą szkatułkę, w której spoczywał mój wielki, tajny plan. Pod względem działania przypominał detonator, który tylko czekał na to, aby go nacisnąć i odpalić. Okropnie nie mogłam się już tego doczekać.

Rozdział 2

Długi dzień

Minął kolejny tydzień szkoły. Chciałabym powiedzieć, że przeszedł nawet całkiem fajnie, ale nie było fajnie. Ech, nie wiem co to było, ale tydzień przeleciał jak jedzenie przez ciało przy zatruciu pokarmowym, z podobnym uczuciem mdłości i tak samo się gównianie skończył. No dobra, przyznaję, nie poszło mi w szkole. To się akurat zdarza, tyle tylko, że tym razem nie chodziło nawet o naukę, a o relacje. Właśnie teraz zaczyna się czas, gdy ludzie zrzucają z siebie nieśmiałość, tworzą się grupy, grupki, klany, jakkolwiek by to nazwać. Chodziło w tym o to, że dziewczyny się poznają, dobierają i pojawiają się pierwsze konflikty. Te ostatnie zwykle napędzane były przez najsilniejsze „charaktery".

Jak na złość Anka zniknęła gdzieś w połowie tygodnia. Właściwie nie wiem, co się z nią stało, tak całkiem sobie przepadła. Jej telefon milczał, komunikator też był nieaktywny. Ciężko powiedzieć, co się z nią stało. Dla mnie oznaczać to mogło tylko kłopoty. Nie lubię mieć w takich chwilach racji, ale tym razem niestety miałam, bo na jednej z przerw podeszła do mnie dziewczyna o ksywie Żyłka. To taka osoba, co

wyróżnia się w klasie już od pierwszego dnia szkoły – wesoła, wulgarna, a do tego tak pewna siebie, że nawet Anka przy niej mogłaby wymięknąć. Znałam takie osoby, oj, znałam.

– Cześć – przywitała się Żyłka.

Tego dnia ubrana była w luźne spodnie „moro" i bluzę z dresu. Niechlujnie uczesane kruczo-czarne włosy upięte miała z tyłu głowy.

– No, cześć – kiwnęłam głową.

– Zbieramy kasę na fajki. Dorzucisz się? – Żyłka przeszła od razu do rzeczy.

– Nie palę – odparłam szybko, a w głowie rozbłysła mi ostrzegawcza lampka. Coś mi zdecydowanie mówiło, że muszę na nią teraz uważać.

Żyłka podłubała paznokciem w zębach, robiąc przy tym minę, jakby o czymś ciężko myślała. W końcu rzekła:

– Nie pytam, czy palisz, tylko czy się dorzucisz?

– Niestety – pokręciłam głową.

Popatrzyła mi w oczy, tak trochę jak bokserzy przed walką, z tym że ja nie miałam w planach z nią walczyć. Trwało to przeciągającą się w nieskończoność chwilę. Powoli zagłębiała we mnie spojrzenie, jakby było szpikulcem, którym chciała zbadać, czy się jej boję. A czy się jej obawiałam? No, obawiałam. Za nic jednak nie chciałam dać tego po sobie poznać. To oznaczałoby dla mnie w klasie koniec.

– Nawet złotówki? – wymownie udała rozczarowanie.

Przeszedł mnie elektryzujący dreszcz. Miała nieprzyjemne spojrzenie. To chyba o takich ludziach się mówi, że im źle z oczu patrzy.

– Nawet – odparłam głośno, próbując nadać tym sobie pewności.

Żyłka wyczekała jeszcze chwilę, poprzyglądała mi się, po czym machnęła na mnie z rezygnacją ręką, odwróciła się i odeszła. Za to ja poczułam dużą ulgę. Nie lubię takich sytuacji i chyba nikt ich nie lubi. To jak niepisane badanie „terenu", kto twardy, kto miękki, kogo wziąć do grupy, a kogo można zgnoić czy choćby obsępić. Brakowało mi Anki, oj, jak brakowało. Przy niej Żyłka by sobie na takie coś nie pozwoliła.

Po tym wydarzeniu wszystko było nawet w porządku do czasu, aż dwie przerwy potem przed matmą chciałam zjeść śniadanie. Żyłka też była niedaleko razem z innymi dziewczynami, ale teraz na szczęście dała mi spokój. Wyglądała na zajętą rozmową, w której coś żywo opowiadała. Kiedy usiadłam przed klasą i wyciągnęłam kanapki, już wtedy coś mi nie pasowało. A gdy przystawiłam kromkę do ust, poczułam tytoniowy zapach. Co jest?! Jednym ruchem rozwarłam kanapkę i... aż mnie zatchnęło. O fuj! Niemal rzygłam! Wewnątrz powtykane były pety!

– Buhahaha! – z głębi korytarza rozległ się śmiech. Śmiali się chyba wszyscy, a najgłośniej sama Żyłka. Szok! Zamurowało mnie. Kanapka wypadła mi z rąk i poleciała na podłogę.

O fuck! Ja pierdu...! Masakra. Jak ona mogła?! To nie do pojęcia! Idiotka! Od wewnątrz zalewała mnie fala gorąca i wstydu. Niemal fizycznie czułam, jak się cała czerwienię. Bolesne upokorzenie. Nie chciałam patrzeć nawet w stronę grupy. Złapałam jedynie plecak i szybkim krokiem wyszłam ze szkoły.

Tego dnia matmę już sobie odpuściłam. Zupełnie nie miałam ochoty tam dziś wracać. Nie zależało mi, tak szczerze mówiąc. Gdzieś w głowie zdawałam sobie sprawę, że w klasie przytrafią się osoby, oznaczone niechlubną etykietą „ofiary losu", które, jak to zwykle bywa, mają w grupie trudno. Nie przypuszczałam jednak, że to może trafić na mnie. Trzeba się będzie z tego szybko wywinąć, bo takie etykiety zostają na lata. Tylko jak to zrobić? Aaa, chrzanię to. Chrzanić Żyłkę, chrzanić szkołę. Nie chce mi się o tym myśleć na razie.

Szczęśliwie po szkole umówiona byłam na mieście z Zuzą, najlepszą kumpelą z podstawówki. Miałyśmy iść razem do biblioteki. Wsiadłam więc w pierwszy nadjeżdżający autobus i pojechałam prosto do centrum.

W ten właśnie sposób trzeciego tygodnia szkoły zaliczyłam swoje pierwsze wagary. Niezły wynik jak na mnie. Na wywiadówce tata będzie „wniebowzięty" z tego, że – jak to zwykle określają nauczyciele – „córka samowolnie opuszcza lekcje". Już to wszystko widzę. Jak go znam, to skończy się na długiej pogadance. No, chyba że powie o tym mamie, to wtedy będzie

gorzej. Zobaczymy jak będzie. Póki co, popołudnie chciałam spędzić na czymś przyjemnym.

Na rynku, gdzie byłam umówiona z Zuzą, było nawet sporo ludzi. Zajęli większość ławek, ciesząc się jesiennym słońcem. A faktycznie, dzień był bardzo ładny, jasne promienie zalewały centrum, rozbierając przy tym przechodniów z ciepłych kurtek i płaszczy. Ja też ściągnęłam kurtkę i rozejrzałam się za wolną ławką. Zegarek na ręce oznajmił mi, że do spotkania z Zuzą brakowało prawie godziny. Dobra, poczekam – pomyślałam. Chwilę potem znalazłam miejsce, aby sobie usiąść.

Okropnie cieszyłam się na to spotkanie. Od czasu zakończenia podstawówki nasze drogi zaczynały się trochę rozchodzić. Nie, żebyśmy nie chciały się dalej kumplować, ale w wakacje Zuza przeprowadziła się do sąsiedniego miasta. A teraz jeszcze ta szkoła – ona w liceum, a ja w odzieżówce. Takie wydarzenia chcąc nie chcąc – dzielą i to jest przykre. Spędziłam z nią niemal całe dzieciństwo, prawie jakbyśmy były siostrami. Choć właściwie chyba tak właśnie było, że łączyła nas siostrzana więź. Nie, nie biologicznie, nie byłyśmy spokrewnione, ale czy do bycia siostrą potrzeba być rodziną? Chyba nie.

Fajne to były czasy. Osiedle, zabawy czy wypady do centrum na jakieś zakupy, czy tak zwyczajnie się trochę powłóczyć. Szwędałyśmy się tu i tam, czasem tak całkiem bez sensu oglądałyśmy wystawy sklepowe. Przed sklepem z ubraniami ślubnymi wybierały-

śmy dla siebie sukienki, w jakich będziemy wychodzić za mąż, a przed wystawą u fotografa szukałyśmy na zdjęciach dla siebie facetów. Świetnie też było, gdy zostawałam u Zuzy w domu na noc. Potrafiłyśmy gadać aż do rana komentując przeczytane ostatnio książki. To był dobry czas.

Z tego wszystkiego obecnie niewiele już nam zostało. Nasze wspólne akcje prysnęły jak mydlane bańki, a wystarczyło, że minęło tylko kilka miesięcy. Teraz jedynie ta biblioteka i miłość do książek nam pozostały. Kiedyś gdzieś czytałam taki opis, że przyjaźń to jak zasadzone drzewo, które na początku jest małe, ale z biegiem lat rośnie, umacnia się i rozpościera koronę. Przeżyte przygody czy sytuacje, to jak gałęzie. Z nimi bywa różnie, dobrze lub źle, lecz najważniejsze, gdy korzeń jest zdrowy i pień wszystko trzyma. Jeżeli chciałabym przyrównać ten opis do nas, to myślę, że pień jeszcze szczęśliwie był, lecz po gałęziach zostały kikuty. Nie chciałam stracić Zuzy.

Opadłam plecami na oparcie ławki i zamknęłam oczy. Spróbowałam wyobrazić sobie siebie, ale nie teraz, lecz za kilka lat. Kim będę? Co będę robić? I gdzie w ogóle będę? Nie wiem jak na innych, ale u mnie te pytania powodowały lęk. Wiem, że ludzie mają plany i że się cieszą, jak choćby Zuza, która chce zostać biologiem. Inna kumpela widzi się w informatyce. Jeszcze innej marzy się, że zostanie znaną podróżniczką. To wszystko fajne, dobrze, że ludzie marzą, tylko czy

za kilka lat coś im z tych planów zostanie? I wreszcie co ze mną? Czy mi się powiedzie? I jaka jest jeszcze droga przede mną? Jak na razie prognozy dla mnie nie są cukierkowe. Wszystko wskazuje na to, że kreatorką mody raczej nie zostanę. A póki co, to mam w kanapkach pety.

– Hej! Śpiąca królewna! Wstawaj – usłyszałam głos. Nawet nie musiałam otwierać oczu, aby wiedzieć, że to Zuza.

– No, jesteś wreszcie – uśmiechnęłam się.

– Jakie wreszcie? Jakie wreszcie? – Zuza się roześmiała. – Jestem prawie piętnaście minut przed czasem, a ty mówisz „wreszcie". Dziękuj mi lepiej, że oszczędziłam ci czekania.

– Ach, ty, litościwa. Dzięki, dzięki.

Usiadła obok. Miała na sobie sportową kurtkę, a na nogach sztruksy. Zauważyłam też, że przycięła włosy. Zawsze miała niedługie, jasne włosy, ale teraz to już były tak całkiem krótkie – fryzura w stylu „chłopczyca".

– Włosy ścięłaś – zauważyłam.

– Tak – przytaknęła. – I jak? – wskazała dumnie na głowę.

– Hmm... bomba! Dobrze ci.

– Dzięki – rzekła. – Mów lepiej, co u ciebie? Jak tam leci życie?

Wzruszyłam obojętnie ramionami.

– A, wiesz – zaczęłam. – Jakoś leci. Są nowe przedmioty, jacyś nowi znajomi. Niby powinnam się cieszyć,

bo to zwykle ludzie się cieszą, jak idą w coś nowego... – zawahałam się. – Tylko, że wiesz co?

– No? – zaciekawiła się.

– Tylko, że szału nie ma.

– Aaa, spoko. Zgadza się. Początki są trudne – przyznała. – U mnie jest to samo, że trzeba się zaaklimatyzować.

Pokręciłam przecząco głową. Zupełnie nie rozumiała, o co mi chodzi.

– A co? – zapytała.

Wzięłam głęboki oddech. Chyba już nie chciało mi się tym z nią dzielić.

– Nic – ucięłam. – Powiedz lepiej, co u ciebie?

– Ha, dziewczyno, co u mnie? A powiem ci tak bez ogródek, że kogoś poznałam.

– Ooo, proszę – westchnęłam z podziwem. – No mów! Kto to?

– Dobra, dobra, już ci mówię – tajemniczo się uśmiechnęła. – Pamiętasz Kowalczyka z naszego osiedla?

Na słowo „Kowalczyk" przypomniał mi się o rok od nas starszy, wielki, gapowaty dryblas z długimi włosami. Co tu dużo mówić, ja raczej bym go na chłopaka nie chciała.

– He, he! Nie gadaj?! – zaśmiałam się. – No, chyba sobie jaja ze mnie robisz?

– Nie, serio.

– Serio?! – zdziwiłam się.

– Tak, serio. Tylko tu nie chodzi o Kowalczyka, a o jego kuzyna, co mieszka niedaleko mnie. Ten

kuzyn, znaczy się Jarek, to bardzo fajny chłopak jest.

– Aaa, o to chodzi! – machnęłam ręką. – OK, teraz to rozumiem. Zamieszałaś okropnie – przyznałam. – I co? Chodzicie razem?

– Nooo... właściwie to jeszcze nie, czasem się widujemy – wyjaśniła. – Ale tak w sekrecie ci powiem... i nie śmiej się ze mnie... że bardzo bym tego chciała.

– Co ja mogę na to powiedzieć. No, gratuluję – poklepałam ją po ramieniu.

– Nie gratuluj, bo jeszcze nic z tego nie wyszło – Zuza odparła lekko onieśmielona. – Ale i tak dzięki. Trzymaj lepiej kciuki.

Szczęściara – pomyślałam. Chyba po raz pierwszy jej czegoś tak szczerze pozazdrościłam. Nie, nie konkretnie tego Jarka, ale że ma kogoś, chłopaka, z którym może się spotykać. To musi być coś bardzo fajnego. Mówię, że „musi", bo ja jeszcze nikogo takiego nie miałam. W przeszłości byli jacyś chłopacy, przyznaję, tyle tylko, że to po prostu kumple, a dodatkowo pod względem myślenia większość to jeszcze dzieciaki. Co z tego, że pogadamy o muzyce, jak w innych tematach to jest, nieskromnie mówiąc, przepaść. Nie wiem, może to ja jestem po prostu taka wybredna, ale jak mi coś nie pasuje, to mi nie pasuje. Nic na to chyba nie poradzę.

Siedząc tam z Zuzą na ławce na rynku wśród setki innych osób, poczułam się nagle bardzo samotnie. Nie było to dobre uczucie. Myślę, że samotność wśród

ludzi jest jeszcze gorsza niż ta, gdy nie ma wokoło ciebie faktycznie nikogo. Chciałam coś zrobić, czy raczej musiałam coś zrobić, bo czułam, jak się w tych myślach zapadam, jak w bagnie. Zuza coś tam do mnie mówi, ludzie obok żywo terkoczą a ja jestem jakby nieobecna, jakby mnie wcale na tej ławce nie było.

– OK. Zwijamy się do biblioteki – oznajmiłam.

I poszłyśmy. Po drodze Zuza mi opowiedziała trochę więcej o swojej nowej szkole. Okazało się, że nie miała wcale tak źle i już nawet zdążyła zapoznać kilka osób. Opisała mi też co bardziej dziwnych nauczycieli. Opowiadać to ona potrafiła i momentami miałam wrażenie, że zamiast życia, opisuje mi fabułę jakiejś dobrej książki. Cała Zuza.

Na chwilę znów poczułam, że jesteśmy blisko, jakbyśmy dalej chodziły do podstawówki. To uczucie akurat było bardzo przyjemne. Mówię wam, całkiem jakbyśmy były na dawnym, zwariowanym wypadzie na miasto. Patrzyłam na nią, z jakim zaangażowaniem przechodzi do coraz to nowych historii, jak się wczuwa i gestykuluje, aby mi wszystko najdokładniej opisać. To ciągle była ta sama Zuza. Nic się pod tym względem nie zmieniła. Cieszyłam się, że taka jest.

– Zuza? – przerwałam jej w pół zdania.

– Tak? – zapytała.

Zatrzymałyśmy się. Popatrzyła na mnie, jakby czując, że chcę jej coś ważnego powiedzieć.

– Chciałam cię o coś poprosić – zaczęłam.

– No wal. Mów – rzekła.

– Nie zmieniaj się – powiedziałam. – Tylko tyle.

– Nie rozumiem – lekko się zdziwiła. W jej oczach oprócz zdziwienia zauważyłam teraz również troskę.

– Ja też tego nie rozumiem – westchnęłam. – Ale za dużo znam osób, które się zmieniły, wyrosły na kogoś innego. No wiesz, jakoś dziwnie spoważniały i zrzuciły z siebie to, co w nich najfajniejsze. Nie chciałabym, abyś kiedyś wyrosła z siebie.

– Dzięki, Gośka – odpowiedziała. – Chyba wiem, co masz na myśli – zamilkła, a zaraz dodała. – Ja też się tego boję.

Godzinę później wracałyśmy z biblioteki. Ja szłam z zestawem kilku dobrych książek, który teraz obok szkolnych podręczników ciążył mi w plecaku. Zuza wypożyczyła tylko jedną książkę, bo jak mi wyjaśniła, obecnie ma mało czasu na czytanie. Szłyśmy wolnym krokiem na przystanek autobusowy, rozmawiając przy tym, jakbyśmy się chciały nagadać na zapas.

– Mogłabym cię w przyszłym tygodniu odwiedzić?

– Ooo, super – przyznałam.

– Czyli da radę? – zapytała.

– Da, jasne, że tak – odpowiedziałam. – Oskar pewnie też się ucieszy, bo cię bardzo lubi.

– Właśnie! Oskar. Co u niego?

– Aaa, rollercoaster – tak bym to określiła. Czyli że albo jest bardzo dobrze, albo bardzo źle, aż uszy bolą. Znasz go, zresztą.

– Jasne, że znam – rzekła z uśmiechem i dodała. – A co do przyjazdu, to się zdzwonimy.

– A pewnie.

Na przystanku autobusowym było sporo ludzi, bo o tej porze wszyscy wracali ze szkół i pracy. Stanęłyśmy z boku, żeby się nie pchać przez tłum.

– To super – rzekła Zuza. – Przywiozę ci dobrą herbatę, moje nowe odkrycie.

– Jaką? – zaciekawiłam się.

– Niech to będzie na razie tajemnica. Ale, uwierz mi, jest nieziemsko smaczna.

Mówiła coś jeszcze do mnie, ale jej już nie słyszałam. Słowa ginęły gdzieś w powietrzu i gwarze, a ja gapiłam się na kogoś przez jej ramię. Chyba o coś mnie nawet pytała, czy pokazywała coś dłońmi. Nie wiem. Jej głos niby był, ale jakby go nie było, poruszały się jedynie usta.

– Gośka! – krzyknęła.

Ocknęłam się.

– Co z tobą?

– A co ma być?

– Mówię, że ta herbata to jest mango z cytryną. Halo! To te twoje ulubione mango, a ty nic.

– Aaa, mango. Sorry. Chyba się zagapiłam.

– Wszystko OK? – zapytała.

– Tak. Patrz – wskazałam ruchem głowy, by się odwróciła. – Ten chłopak na przystanku – powiedziałam – Ten wysoki o czarnych włosach. Widzisz go?

Popatrzyła we wskazaną stronę.

– Widzę. A co?

– Jeździ tym samym autobusem, co ja do szkoły.

– No i? – zaciekawiła się.

– No i nic. Fajny jest – przyznałam. – W każdym razie ma coś w sobie takiego, co lubię – rzekłam i od razu asekuracyjnie dodałam. – Tylko nie pytaj mnie, co to takiego, bo nie wiem.

– Ha, Gośka. Znaczy się, że ci się podoba.

– Nieee... yyyy... Znaczy tak – rzekłam. – Yyyy... znaczy się... – zaczęłam się tremować – znaczy, no fajny jest i tyle.

Czy mi się podobał? Ba, podobał, to mało powiedziane. Zuza trafiła w mój czuły punkt i zdaje się, że ona też to zauważyła.

– To czad! Gośka. Pięknie. Gadacie ze sobą?

– Jakby ci to powiedzieć... Nie gadamy – wzruszyłam ramionami.

– Ooo, szkoda – Zuza aż pstryknęła palcami, a ja zauważyłam, że ją zaczynało nosić.

– Zresztą, nigdy nie gadaliśmy – dodałam.

– Aha – pokiwała ze zrozumieniem głową. – Czyli, że się nie znacie?

– Nie znamy.

– Hmm... – zastanowiła się. – A myślisz, że się kiedyś poznacie?

– Zuza. Co ty! Ja tak nie myślę – zaczęłam żałować, że pokazałam jej tego chłopaka. – Skończ już pytać.

– Dobra, dobra. Już kończę – rzekła. – Ale powiedz mi na koniec tak szczerze. Jakbyś miała możliwość z nim pogadać, to chciałabyś?

– Och, przestań już.

– OK, przestaję – rzekła. Spojrzała raz jeszcze w stronę chłopaka. – Ale powiedz tylko, czy byś chciała.

– No, weź. Daj spokój.

– Dobra. Daję. Ale czy...

– Pewnie! Pewnie, że tak! – przerwałam jej. – Wiesz co, Zuza? Jesteś męczybuła.

– Hi hi – zaśmiała się. – Jeszcze nikt mnie tak chyba nie nazwał. Ale powiem ci, czemu o to pytałam.

– Tak?

– Pytałam, bo jakiś czas temu nauczyłam się, że takie rzeczy nie dzieją się same, że jak coś chcesz, to po to musisz sięgnąć. To jak ta złota myśl, że samo się nie zrobi.

– Wiem, wiem – westchnęłam. – Tyle tylko, że to łatwe nie jest.

– Nie jest. Zgadza się. Ale da się zrobić – powiedziała Zuza. – A myślisz, że Jarek mnie sam zaczepił? Powiem ci coś. Jakbym miała czekać na takie rzeczy, to prędzej wygrałabym w wielkiej loterii, niż doczekała się, że Jarek zacznie. Ludzie czasem mają różne zahamowania czy tremy, przez które nie robią tego, co naprawdę by chcieli.

– Ja też mam zahamowania – odparłam.

– OK. To spróbuj je przełamywać.

– Ach, daj już spokój – rzekłam. – To wszystko jest trudne. Tak gadać o tym tylko jest łatwo.

– Tylko gadać łatwo? – powtórzyła Zuza.

– No.

– Jak tak, to patrz – powiedziała i odeszła w stronę przystanku.

– O, nie! Zuza! Stój! – ruszyłam za nią. – Co robisz?!

Zdążyłam ją złapać jeszcze za kurtkę, ale się wyślizgnęła. O, szlag jasny! Wariatka! Stój! Chodź tu! Stanęłam jak wryta i z przerażeniem patrzyłam, co dalej się stanie. Zuza w tym czasie była już przy chłopaku. Podeszła do niego i zaczęła coś mu mówić. On też do niej coś powiedział. O ja pierdu... Rozmawiali!

Czułam, że wrastam w chodnik jak drzewo w ziemię, tylko milion razy szybciej. Po prostu nie potrafiłam się ruszyć. Zamurowało mnie! Totalna panika. Zuza dalej gada z nim, coś tłumaczy i rękami pokazuje. W końcu oboje spoglądają w moją stronę. Aż mi ciarki lecą po plecach.

Zuza pokazuje palcem na mnie. Szok, szok, no, po prostu byłam w szoku. Ja ją normalnie zamorduję! W jeszcze większym byłam szoku, gdy oboje do mnie ruszyli. O, ja nie mogę. Wiej, Gośka, wiej! – wołałam w myślach. Serio, chciałam uciekać stamtąd jak najdalej. I pewnie to bym właśnie zrobiła, gdyby nie to, że tamci już przy mnie byli.

– Jestem z powrotem. Poznajcie się – jak gdyby nigdy nic powiedziała Zuza. – To jest Konrad – pokazała na chłopaka. – A to Gośka – pokazała na mnie.

Wyciągnęłam nieśmiało rękę i się przywitałam.

– Gośka – wydusiłam cicho.

– Konrad. Miło mi.

– Właśnie mówiłam Konradowi, że widujesz go w autobusie – powiedziała Zuza.

– Zgadza się – pogodnie rzekł Konrad, po czym spojrzał na mnie. – Tak, twarz bez wątpienia znajoma. I jeśli dobrze pamiętam, to czytasz podczas jazdy?

– Tak. Czytam – rzuciłam. W myślach czułam totalną pustkę, żadnego pomysłu, co mogłabym powiedzieć.

– Właśnie. Czytasz albo rozmawiasz z jedną dziewczyną. Długie włosy, kolor blond... – zaczął wymieniać.

– To Anka – rzekłam. – Moja kumpela.

– Aaaa, Anka – powiedziała Zuza. – My w trójkę z Gośką chodziłyśmy do tej samej szkoły. Znamy się, znamy.

W tej właśnie chwili na przystanek podjechał autobus. Zuza odwróciła się w stronę pojazdu i zawołała:

– O, to mój! Fajnie się gada, ale muszę lecieć.

Uduszę! Uduszę! No, ja ją chyba zaraz uduszę. Stój! Nie zostawiaj mnie teraz! Zuza, świnia jesteś! Wołałam w myślach, patrząc jak wsiada do autobusu.

– Trzymajcie się! – zawołała beztrosko w naszą stronę i już jej nie było.

Jeszcze widziałam jej facjatę przez szybę, jak się uśmiecha i macha do mnie ręką na pożegnanie. Pa, pa, wariatko. Ja się z tobą jeszcze policzę.

Spojrzałam z zakłopotaniem na Konrada, a on na mnie. W głowie miałam same pytajniki. Co tu mówić?

Jak zagadać? Nie odejdę przecież teraz bez słowa jak jakaś dzika. W co ty Zuza mnie wpakowałaś?! Konrad przyglądał mi się nieśmiało. Widać było, że też się tremował, ale na pewno nie tak, jak ja. Z bliska wydawał się jeszcze ładniejszy niż w autobusie. Staliśmy tam na przystanku jak dwa posągi, które ktoś na chwilę postawił obok siebie. Myśl, Gośka, myśl. Powiedz coś wreszcie. Zagadaj...

– Lubisz Bastarianów – wydusiłam z siebie, wskazując naszywkę „Amok Bastarian" na jego kurtce.

– Tak. Bardzo lubię – przyznał. – A co? Też słuchasz?

– Jasne – rzekłam. – Ale tylko pierwsze trzy albumy.

– Ooo, popatrz. To ciekawe, bo ja też. Te nowe brzmienia są już całkiem inne. To już nie dla mnie.

– No, dokładnie.

– Czego jeszcze słuchasz? – zapytał Konrad.

– A różnie. „Magerot", „Foundation Not Foundation", „Gabatron Via"... mogłabym wymieniać długo. Generalnie wszystko, co jest ciężkie, smutne i z czym na słuchawkach można „odlecieć".

– Ha, słucham cię, jakbym siebie słuchał. Mam tak samo, szczególnie z tym odlatywaniem.

– Super. A najnowszych „Kabatels" słyszałeś?

Ten muzyczny temat całkiem mi pasował. Czułam, jak schodzi ze mnie napięcie. Z każdym następnym zdaniem robiło się odrobinę łatwiej, a do tego wyglądało, że jeżeli chodzi o muzykę rockową, to Konrad zna się na rzeczy. Jeżeli miałabym naszą rozmowę do czegoś przy-

równać, to chyba tylko do sportowego treningu, gdzie na początku jest męcząca rozgrzewka, a potem idzie już tylko lepiej, gdy człowiek poczuje w mięśniach siłę.

Gdy zapytałam go o jeden zespół, zaskoczył mnie zupełnie.

– Tak, znam. A nawet gramy ich dwa numery.

– Ooo – zaciekawiłam się. – Gracie? Co masz na myśli?

– Mamy zespół rockowy. Właśnie tam je gramy – wyjaśnił.

Zespół rockowy! Ja nie mogę. Ten facet gra w zespole. Czym on mnie jeszcze zaskoczy?

– Super! – rzekłam z podziwem. – A jaki to zespół?

– Nazywamy się „No Hope Revolution".

W ułamku sekundy przewertowałam w głowie wszystkie znane mi nazwy zespołów rockowych. Nazwa „No Hope Revolution" nic mi nie mówiła.

– Niestety, nie znam – odparłam. – Macie jakieś demo w Internecie?

– Nie, jeszcze nie. Zespół jest całkiem świeży. Dopiero kompletujemy materiał.

W rozmowie czułam się już prawie dobrze. Chyba przechodziłam już z rozgrzewki do treningu właściwego, a w każdym razie zaczynałam czuć w „mięśniach" siłę. Tak bardzo chciałam, by grał na gitarze elektrycznej. Do gitarzystów zawsze miałam wielką słabość. Ha! Jak powie, że gra na gitarze, to się z nim umówię. Normalnie, się chyba z nim umówię – zażartowałam sobie.

– Rozumiem. A powiedz jeszcze, na czym grasz? – zapytałam.

– Gitara elektryczna.

O, ja nie mogę! Powiedział „gitara". On powiedział „gitara"! Rach-ciach, trafiony-zatopiony, w samą dziesiątkę.

– O, rety! – aż westchnęłam z zachwytem. – Ale bym chętnie was posłuchała.

– Tak, to możliwe – odpowiedział. – Mamy próby we wtorki i piątki o dziewiętnastej.

Uuuu. Wow! Teraz to całkiem mi zasunął. Niech mnie ktoś uszczypnie! Czy on mnie przypadkiem nie zaprasza na próbę?!

– Jak chcesz, to wpadnij do nas. Posłuchasz, jak gramy.

– Miło – tłumiłam emocje, jak tylko mogłam, a nie było to wcale proste. – Bardzo chętnie do was zajrzę – dodałam.

– Fajnie. Poznam cię z chłopakami.

– Czad! – rzuciłam. – Już się cieszę.

– Świetnie. Podam ci adres, gdzie mamy próby.

To było dopiero coś. W zaledwie kilka minut tyle się działo, jakby nade mną przeszło tornado. A co było dalej? Dalej temat muzyczny szedł nam gładko jak marzenie. Gadalibyśmy tak jeszcze długo, gdyby nie to, że właśnie nadjeżdżał jego autobus. W jednym momencie zrobiło mi się szkoda. Wszystko trwało zaledwie chwilę, a wrażeń miałam tyle, jakby trwało to co najmniej dobę. Gdy się żegnali-

śmy, podał mi kartkę z adresem, wsiadł do autobusu i już go nie było.

Ha, ale przygoda! Kto by przypuszczał. Coś mi się zdaje, Zuza, że póki co, to cię jeszcze nie uduszę. Ale wiedz, że dziś byłaś bardzo blisko tego. Jakby mi ktoś rano powiedział, że po południu będę gadała z wymarzonym facetem, to bym chyba nie uwierzyła. Ba! On mnie jeszcze zaprosił na próbę! To wszystko było dla mnie wciąż trudne do uwierzenia. Potrzebowałam trochę czasu, aby ochłonąć i poukładać myśli w głowie. Och, odpocznij Gośka, dość na dziś wrażeń. Naprawdę – ten dzień był niesamowity.

Do domu wróciłam późnym popołudniem. Byłam tak podekscytowana spotkaniem z Konradem, że nie umiałam myśleć o niczym innym. Nie co dzień trafia mi się taka rozmowa. Zresztą, kogo ja chciałam okłamać? Nigdy jeszcze tak nie miałam. Jak daleko by w przeszłość nie patrzeć i szukać, to się nie znajdzie. Tak, Gośka, tak, jesteś singielka, która właśnie spotyka faceta-marzenie.

Myśli o Konradzie leciały w głowie jedna za drugą, jakbym coś tam uruchomiła, przestawiła zwrotnicę i rozpoczęła nieznany dotąd proces. To było jak jazda na karuzeli, gdzie przed oczami szybko migają obrazy. Co to było? Szczerze, nie wiem. Okropnie przyjemny trans.

Ocknęłam się dopiero w kuchni podczas obiadu.

– Ale masz apetyt! – przyznała ze zdumieniem mama. – I to dziś gulasz, nad którym zawsze tak bardzo marudzisz.

Miała rację, bo wsunęłam cały obiad dosłownie w minutę. Przez tę głupią Żyłkę i przez spotkanie na mieście, jedynym moim posiłkiem było śniadanie przed wyjściem do szkoły.

– Można dokładkę? – zapytałam.

– Ha, Gosia, ja cię dziś nie poznaję – zażartowała mama, a zaraz potem zawołała do ojca, będącego w sąsiednim pokoju – Grzesiek! Chodź zobacz, jak nasza córa je gulasz.

– Oj, mamo! – zawołałam z wyrzutem. – Daj spokój.

– Chyba ci zaraz zdjęcie z tym talerzem zrobię – zaśmiała się mama.

– Mamo! – znów zawołałam.

– Żartuję, no żartuję – wyjaśniła. – A tak serio, to może ty jesteś chora? – zapytała.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniłam.

Zjadłam do końca dokładkę i poszłam do swojego pokoju. Ale tu duszno – pomyślałam. Uchyliłam okno, po czym pstryknęłam włącznik komputera. Dopiero gdy usiadłam przy biurku, poczułam zmęczenie. Opadłam plecami na oparcie krzesła. Uff, ale ulga. Od rana do tej pory działałam, jak na jakimś turbo-przyspieszeniu, teraz przyszedł czas, by zwolnić. Zamknęłam oczy. Pod powiekami wciąż miałam Konrada. Był tam, prawie jak żywy. Coś rzeczywiście działo się we mnie nowego, takie dziwne uczucie, które rozchodziło się od klatki piersiowej po całym ciele. Coś jakby łaskotanie, lecz nie łaskotanie, przypominało mi trochę niewidzialne pędzelki, które przesuwają mi się po

skórze. Ale odczucia fizyczne, to było nic, bo w głowie działo się o wiele więcej. Może to śmieszne, ale miałam wrażenie, że „magnes", który Konrad miał w sobie, zostawił we mnie coś niewidzialnego. Jakkolwiek by nie było, okropnie chciałam się znów z nim spotkać.

Na myśl o spotkaniu otworzyłam oczy i sięgnęłam ręką do kieszeni spodni. W dłoni trzymałam teraz kartkę z adresem, który mi napisał.

No Hope Revolution
ul. Reymonta 12
wtorek i piątek o 19:00

Pójdę tam we wtorek, bo dziś już było za późno. Spojrzałam na zegarek. Wskazywał 18:45. Cały weekend czekania przede mną.

– Co tam masz? – usłyszałam głos Oskara. – Pokaż!

Brat ciekawsko zaglądał mi przez rękę.

– A nic – odparłam. – List od Świętego Mikołaja.

– Akurat – rzekł niepewnie.

Patrzył na mnie tymi swoimi dużymi oczami. Wyglądało, że na chwilę się zawiesił, albo myślał nad czymś intensywnie. Nie zwracając na niego uwagi, schowałam kartkę z powrotem do kieszeni.

– Serio? – Oskar w końcu się ocknął.

Postanowiłam z niego zażartować. Zrobiłam bardzo poważną minę, spojrzałam mu w oczy i powiedziałam:

– Serio.

W jednej chwili się odwrócił i błyskawicznie wybiegł z pokoju. Zaraz potem z oddali doszedł mnie jego głos:

– Mama! Mama! Gosia ma list od Mikołaja!

Ach, ten Oskar – roześmiałam się.

Sięgnęłam do klawiatury komputera i wpisałam w okno wyszukiwarki hasło „No Hope Revolution". Zobaczymy, co o was jest w Internecie – pomyślałam. Przebiegłam wzrokiem wyniki wyszukiwania. O, ciekawe. Nic nie ma. Chyba faktycznie jesteście zupełnie nowym zespołem. Zaraz po tym zobaczyłam na mapie w komputerze, gdzie jest ulica Reymonta i numer 12. Było to nie tak znowu daleko, pieszo jakieś dwadzieścia minut, a autobusem to pewnie ze cztery minuty.

– Słuchaj – w drzwiach pokoju pojawiła się mama. – W przyszłym tygodniu we wtorek idziemy z tatą odwiedzić państwa Sosnowiczów. Zostaniesz z Oskarem. Wrócimy pewnie późno.

– Dobra – odparłam, nawet nie odwracając wzroku od monitora.

Gdy padło nazwisko Sosnowiczów, przypomniałam sobie starsze, spokojne małżeństwo. Znali się z rodzicami, bo mama kiedyś pracowała z nimi w tym samym zakładzie. Nawet sympatyczni, tyle tylko, że zupełnie nie miałam z nimi wspólnego języka.

Nagle w głowie coś mi zaskoczyło.

– Cooo??? We wtorek?! – zawołałam. – Nie ma mowy! Nie dam rady we wtorek.

Wiadomość od mamy aż mnie zmroziła. Perspektywa czekania na spotkanie z Konradem cały tydzień do następnego piątku była dla mnie nie do przyjęcia.

– Dasz radę, dasz – spokojnie odparła mama.

– Ale ja jestem już umówiona – zaczęłam się bronić.

– Ooo, z kim?

– Z kolegą.

– Aaa, z kolegą – rzekła beztrosko – To sobie przełożysz.

– To może wy sobie przełóżcie, co? – zaczęłam się denerwować.

– Niestety. Już umówione.

– Jak to umówione?! Czemu nikt nie bierze moich planów pod uwagę? – rzuciłam z wyrzutem.

– Oj, Gośka – uspokajała. – Z kolegą spotkasz się jeszcze nie raz. Nie rób z igły widły.

– To weźcie Oskara ze sobą – ratowałam się jak mogłam.

– Nie ma mowy! – zrobiła poważną minę. – Wracamy późno. Zostajesz z Oskarem i tyle.

– O, szlag jasny! Mamo! – zawołałam.

– Nie przeklinaj – skarciła mnie. – Jak ty się do mnie odzywasz?

Sytuacja zaogniała się bardzo szybko.

– Nie przeklinam. I z Oskarem też nie zostanę.

– Zostaniesz – rzuciła nerwowo. – I nie dyskutuj ze mną.

– No nie, ja nie mogę – wstałam od biurka i wyszłam z pokoju.

– Gdzie idziesz? – zapytała mama, gdy zaczęłam ubierać buty.

– Idę się przejść – burknęłam. – Potrzebuję powietrza.

– Dobra, idź – machnęła w moją stronę ręką. – Tylko nie wracaj późno.

Nic na to nie odpowiedziałam. Zarzuciłam na siebie kurtkę i już mnie tam nie było. Zbiegłam po schodach na parter, wyszłam z klatki schodowej i poszłam prosto na pobliski skwer. Czasem tam chodziłam, gdy chciałam odreagować trudne emocje, szczególnie po potyczkach z rodzicami.

Przysiadłam na ławce. Jak oni mogą mnie tak traktować? Gośka zrobi, Gośka pójdzie, Gośka to, Gośka tamto, Gośka sramto. A Gośka musi się na to wszystko zgadzać. I do tego mieć zawsze czas, a najlepiej to jeszcze się przy tym szeroko uśmiechać, a broń Boże nie marudzić. A jak ja coś chcę, to co? „Niestety, już umówione". Ehhh... szkoda nawet gadać. I jeszcze, że niby przeklinam. Szlag jasny, szlag jasny. Oni chyba na serio nie słyszeli przekleństw. Ale mniejsza o to, chrzanię wszystko. Na dziś mam dość.

Wyciągnęłam z kieszeni kartkę od Konrada. Obróciłam ją kilka razy w palcach i spojrzałam na zegarek. Była 19:30. Niebo ciemniało nad głową, a daleko nad blokami sąsiedniego osiedla przebijał księżyc. Patrzyłam w górę i się zastanawiałam. A, niech się dzieje, co chce. Ja tam muszę być – pomyślałam. Wstałam z ławki i skierowałam się w stronę autobusowych przystanków.

Rozdział 3

Chłopaki

Po wyjściu z autobusu rozejrzałam się. Byłam w tej okolicy kilka razy, ale zawsze tylko przejazdem i ani razu sama, a w dodatku nigdy wieczorem. To poczucie bycia samej teraz wywoływało we mnie różne emocje, z których najsilniejszą był strach. Wcześniej wszystko było łatwiejsze, jednokolorowe, brzmiało prosto i fajnie. Teraz, im bliżej byłam celu, czułam, jak aktywują się we mnie coraz mniej przyjemne emocje. Z jednej strony bardzo chciałam się widzieć dzisiaj z Konradem, porozmawiać z nim i posłuchać, jak gra. W końcu po to tu przyjechałam. Z drugiej strony... hmm, no właśnie, coś mi mówiło, że pakuję się w kłopoty.

Opanuj się, Gośka. Czego ty się boisz? Pójdziesz, pobędziesz i wrócisz – próbowałam się uspokoić. Ale to nie działało. Nigdy w takie „dialogi ze sobą" nie byłam dobra. Teraz miałam nawet wrażenie, że wywołuję tym odwrotny efekt. W każdym razie strach rósł bezlitośnie, im bliżej byłam celu. Uspokój się Gośka, bo nic się nie dzieje. Nie bądź panikara.

Idąc ulicą domów jednorodzinnych, czytałam numery z kolejnych tabliczek: „Reymonta 2", „Reymonta 4", „Reymonta 6"... Zza płotów szczekały psy, ulica

była prosta i słabo oświetlona. Nikt nie przechodził, nie było nic, nawet żywego ducha, jedynie w oknach niektórych domów paliły się światła. Konrad, gdzie wy macie te próby? Co to w ogóle jest? Przecież to jakieś totalne zadupie. Oj, Gośka, obyś tego nie żałowała.

Na lekko miękkich od strachu nogach dotarłam wreszcie na Reymonta 12. Myślałam, że coś większego tu będzie, jakaś hala, choćby dom kultury, czy coś. Nic takiego nie było. Stałam przed domem mieszkalnym, a przynajmniej tak to wyglądało. Zwykły, jednopiętrowy dom, nie wyróżniał się specjalnie od innych na tej ulicy. Na parterze w oknie paliło się blade, żółte światło. Spojrzałam raz jeszcze na tabliczkę zawieszoną na płocie – „Reymonta 12". Niby wszystko się zgadza. Dobra Gośka, raz się żyje. Idę.

Gdy dochodziłam do furtki wejściowej na posesję, doszła mnie cicha muzyka. Czy mnie słuch nie myli? O, ja nie mogę! Aż się uśmiechnęłam sama do siebie. Przecież to „Lost hill" Magamonersów. Ten kawałek poznałabym wszędzie. Dźwięk był mocno stłumiony i dochodził z daleka, ale wystarczyło, bym go wychwyciła. Czyli jednak tu jesteście. Pięknie. Nieprzyjemne emocje schodzą ze mnie, jak wypuszczane powietrze z balonika. Podchodzę do furtki. OK, dzwonię.

Patrzę w stronę domu i nic. Żadnej reakcji. No, to próbuję raz jeszcze. Rozglądam się i czekam. Znowu nic. Po trzecim naciśnięciu dzwonka wreszcie coś się ruszyło. Z daleka dostrzegłam, że drzwi się otworzyły i z domu wyszedł jakiś mężczyzna. Mógł mieć pięćdzie-

siąt lat, nie więcej. Był wysoki, miał na nosie okulary, a na głowie zaznaczała mu się łysina. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał groźnie, raczej spokojnie, ruchy miał flegmatyczne. Nie spiesząc się podszedł do furtki. Kto to mógł być? Może to ojciec któregoś z członków zespołu. Całkiem możliwe. Ale nie wiem. Zobaczymy.

– Słucham – odezwał się pierwszy. – W czym mogę pomóc?

– Dobry wieczór. Yyyy... Miałam... – zaczęłam mówić. – Znaczy, miałam tu przyjść na próbę zespołu – wydusiłam. – Konrad mnie zaprosił.

– A, jasne. Proszę – otworzył furtkę. – Chłopaki już grają – dodał, wskazując głową na mały, położony niedaleko budynek. Spojrzałam w tamtą stronę. Właściwie nie był to budynek, a po prostu większy garaż. Wyglądało, że to stamtąd dochodziła muzyka. Mężczyzna wskazał ruchem ręki, abym weszła.

– Dziękuję – odparłam. Uff, udało się. Wchodzę.

Zaraz potem szliśmy chodnikiem przez podwórze. On szedł pierwszy, a ja za nim. Poprowadził mnie parę kroków do bocznych drzwi budynku. Cicha muzyka stawała się odrobinę głośniejsza. A więc to tu grasz, Konrad, w tym garażu – pomyślałam. Już, już, idę do ciebie. Ciekawe, czy będziesz bardzo zaskoczony. Jak to w ogóle wszystko wypadnie? Nie mogłam się już doczekać.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił głowę w moją stronę.

– Zawsze lubię ten moment – powiedział.

O co mu chodziło? Nie rozumiałam. Sięgnął do klamki i szeroko otworzył drzwi garażu. W jednej chwili po całej okolicy rozległy się głośne riffy gitar i dźwięk perkusji. Wow, ale moc! Było naprawdę głośno. Widać, garaż był dźwiękoszczelny, a co najmniej dobrze wytłumiony. Jeżeli on tylko lubił ten moment, to ja za tym momentem już przepadałam. Trwało to zaledwie kilka sekund, a potem wszystko nagle ucichło. Trach. Cisza. Jakby ktoś w jednej chwili wyciągnął wtyczkę z gniazdka.

– Chłopaki! Gościa macie! – zawołał mężczyzna i wskazał mi, bym weszła do środka.

O rety! Ale emocje. Serce mi wali jak szalone. Robię niepewnie dwa kroki. Dobra, niech się dzieje. Jeszcze jeden krok i już. Wchodzę. Staję w drzwiach garażu. Chaotycznie wodzę wzrokiem, rozglądam się. I co? I jest! Konrad stoi na środku z gitarą. Ja nie mogę, ale super widok. Prawie jak z muzycznego plakatu. Wzrok wychwytuje więcej i więcej. Widzę teraz już nie jednego, a czterech chłopaków. Przyglądają mi się, miny mają mocno zaciekawione.

– O, przyszłaś – odzywa się Konrad. – Cieszę się. Chodź dalej.

Od tych spojrzeń łapie mnie solidna trema, ale trzymam się i wchodzę do środka. Konrad wskazał ręką w moją stronę:

– To jest... yyy... Gośka – powiedział niepewnie, spojrzał na mnie i zapytał. – Jesteś Gośka, dobrze zapamiętałem, nie?

– Tak – zaśmiałam się. – Gośka.

– Uff, bo już myślałem, że coś pomieszałem. Sorry.

– Nie. Spoko. Jest dobrze – zapewniłam.

– Gośka chciała posłuchać, jak gramy – wyjaśnił Konrad i się uśmiechnął. – Uważajcie na nią, bo zna się na muzyce lepiej niż niejeden z nas – zażartował.

Podszedł do mnie niski, krępy chłopak, którego przed chwilą widziałam za perkusją. Właściwie, to nie wyglądał jak chłopak, lecz jak dorosły facet. Obcięty był całkiem na łyso, a na przedramionach miał kolorowe tatuaże. Najbardziej moją uwagę przykuwał jego duży, owalny kolczyk zawieszony na lewym uchu.

– Sebek jestem – uścisnął mi dłoń.

– Miło mi – rzekłam.

Następnie przywitał się długowłosy, wysoki basista. Wyglądał dziwnie i w pierwszej chwili nie umiałam zaskoczyć, co sprawiało tę jego dziwność. Gdy tylko podszedł, zrozumiałam, że to jego oczy, nadawały mu wyraz wesołości. Były takie nazbyt wyłupiaste i trochę rozbiegane. Skinął głową i uścisnął mi dłoń.

– Makary. Sie ma – przywitał się.

– Cześć – uśmiechnęłam się serdecznie do niego.

Ostatni przywitał się chłopak z gitarą elektryczną. Był szczupły, średniego wzrostu. Miał ciemne włosy, taką czuprynę trochę w nieładzie, w stylu – coś między Edwardem Nożycorękim a wokalistą zespołu The Cure.

– Wiktor – odezwał się.

– Hej, hej – odpowiedziałam.

Konrad odłożył gitarę i rzekł do wszystkich:

– To może zróbmy przerwę na fajkę.

– Jestem za – przyznał Sebek.

– Tu mamy specjalne miejsca dla gości – powiedział Makary, wskazując mi krzesła przy ścianie.

– Dzięki – pokiwałam głową.

– Fajnie, że jesteś – powiedział Konrad.

Zrobiło mi się przyjemnie. To znaczyło, że cieszył się, że mnie widzi. Obserwowałam go, jak szuka czegoś na regale, rozgląda się. W końcu znalazł. Wyciągnął otwartą paczkę papierosów w moją stronę.

– Dzięki – pokręciłam głową. – Nie palę.

Zastanawiałam się, co mogłabym powiedzieć. Muszę przyznać, że nie było łatwo. To takie chwile, gdzie nie wiadomo, co mówić, ani nawet jak zacząć.

– A z Gośką to poznaliśmy się dzisiaj – uprzedził mnie Konrad, zwracając się do kolegów. – Spotkaliśmy się na mieście.

– Jak to się stało? – zapytał mnie Sebek.

O, pierwsze pytanie i to jedno z tych trudniejszych. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie będę przecież gadać o Zuzie, ani o tym, że zaczepiła faceta, który mi się podoba. Zresztą, do tej pory nie wiem, co Zuza wtedy mu powiedziała na przystanku autobusowym. A jak nagadała mu jakieś głupoty?

– Aaaaa, no... – wydusiłam z siebie. – Aaaa, no jakoś tak wyszło. A potem Konrad mi powiedział, że macie zespół. Tak szczerze wam powiem, że nazwa „No Hope Revolution” nic mi nie mówi.

– Nazwa nie jest znana, bo dopiero zaczynamy – wyjaśnił Makary.

– Tak, wiem. Konrad mi wspominał.

– Ale to się zmieni – powiedział Konrad. – Za dwa tygodnie gramy pierwszy koncert.

– Ooo, świetnie – przyznałam. – Gdzie gracie?

– W Aligatorze.

Na myśl przyszedł mi klub studencki w centrum miasta. Nigdy tam nie byłam, ale nazwę dobrze znałam, bo słynął w okolicy z różnych koncertów.

– To super – powiedziałam.

– Super to będzie na koncercie – zaśmiał się Sebek. – Normalnie, nie mogę się już doczekać.

– Fajnie – odparłam. – A skąd w ogóle ta nazwa? „No Hope Revolution", to coś znaczy?

W tej chwili wszyscy skierowali wzrok na Wiktora. Siedział na krześle przy drzwiach i zapisywał coś w zeszycie.

– Wiktor ją wymyślił – powiedział Konrad. – Rzucił propozycję, spodobała się i tak zostało.

– No, tak – Wiktor uniósł wzrok znad notatek. – Wszystko się zgadza.

– A co to oznacza? – zainteresowałam się. – To chyba „Rewolucja bez żadnej nadziei", dobrze mówię?

– Tak, coś mniej więcej takiego – Wiktor pokiwał głową.

– To smutna nazwa – zauważyłam. – Bo rewolucja zwykle oznacza zmiany, a rewolucja bez nadziei, to chyba taka przegrana rewolucja, gdzie się nie wygrywa.

Wiktor spojrzał na mnie, jakby coś go poruszyło w tym, co mówię.

– Rewolucja bez nadziei – wyjaśniał Konrad – to taka, gdzie nie ma nadziei, a jednak się wygrywa. Tak to widzę. To jak w dobrze zrobionym filmie sensacyjnym, gdy przez cały film bohater dostaje po dupie, a na końcu i tak wychodzi cało.

– No, dokładnie. Tak jak w tym filmie... – zaczął Sebek. – Zaraz, zaraz... Jak on się nazywał? Czekajcie, przypomnę sobie... A wiem. „Blask szkarłatnych łańcuchów". Finałowa scena w samolocie. Znacie to?

Na to pytanie nikt się nie odezwał. Przez chwilę była cisza. Wreszcie Makary zaciągnął się papierosem i wypuszczając dym powiedział:

– To mi mówi... – zastanowił się. – To mi mówi, że mi nic nie mówi.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wyszło naprawdę komicznie.

– Aaach, Makary – śmiał się Sebek. – Jak ty coś zasuniesz...

Po chwili Konrad zaklaskał w dłonie, a Wiktor odłożył notes.

– Dobra. Gramy panowie – powiedział Konrad.

Dym tytoniowy unosił się w powietrzu, aż nieprzyjemnie się oddychało. Patrzyło się też nie najlepiej. Spoglądam co chwilę na Konrada i nie mogę się doczekać, kiedy zaczną. Wreszcie chłopaki zajmują swoje miejsca. Sebek uderza kilka razy pałkami perkusyjnymi o siebie i się zaczyna... Bam, bam, bam,

rozlega się perkusja, wchodzą gitary, a we mnie wali ciężka ściana dźwięków. Ale moc! Szał! Normalnie wbija mnie w siedzenie. Lecą kolejne ostre riffy, chłopaki wczuwają się w muzykę. Nie przeszkadza mi już nic, ani dym, ani oddychanie, ani nic innego. Chłonę muzykę i czuję się szczęśliwa. Aż nagle rozlega się głos wokalu. Wow, Konrad, ty śpiewasz?! Tak, śpiewa. I muszę przyznać, że robi to naprawdę dobrze.

– Krzyk tnie powietrze! Krzyk tnie powietrze! Dokładnie jak skalpel! – śpiewał Konrad.

Siedziałam i słuchałam jakby mnie ktoś zaczarował. Czułam się prawie jak na koncercie. To był prywatny koncert dla mnie. No dobra, chyba za bardzo się rozmarzyłam, ale wierzcie mi, że właśnie takie miałam uczucie, jakby grali tylko dla mnie. Wieczór był świetny, ba, wszystko było super, tak super, że nic innego do mnie nie docierało.

Ocuciło mnie dopiero, gdy spojrzałam na zegarek. O szlag, 21:55. Rodzice mnie chyba zabiją. Zebrałam się i pospiesznie pożegnałam ze wszystkimi. Kiedy żegnałam się z Konradem, zapytał mnie, czy ich jeszcze odwiedzę. To było dopiero pytanie. Konrad, czy ja cię odwiedzę? No, jak myślisz? Poczułam się, jak się chyba czuje Oskar, gdy się go pyta, czy chce mleko w tubce. Czy chciałam moje „mleko”? A jak wam się wydaje?

Nie oglądając się już, poszłam szybko na autobus. W uszach jeszcze przez długie minuty miałam ich muzykę, w przyjemnie dziwny sposób się we mnie

odtwarzała. Potem jadąc niemal pustym autobusem, gapiłam się tępo przez szybę, a myślami wciąż byłam na próbie w garażu, jakbym w ogóle stamtąd nie odchodziła.

W końcu dotarłam do domu. Jak przypuszczałam, czekała na mnie chryja.

– Gośka. Przesadziłaś! – od drzwi przywitała mnie mama. – Wiesz, która godzina?!

– Zasiedziałam się, no sorry.

– Gdzie byłaś?

– A, posmykałam się tak trochę.

– Zaraz, zaraz... Podejdź tu – rzuciła ostro i nachyliła się nade mną. – Co to jest?! Ty palisz?! – znów się nachyliła. – Śmierdzisz papierosami!

– To nie tak. Mama, tylko spotkałam znajomych, co palą.

– Czyli nie palisz?!

– A skąd.

– No, no – pogroziła mi palcem. – Gdybym się dowiedziała, że palisz, to...

– Mówię, że nie palę.

– Ale gdyby...

– No, przecież mówię. Mamo, daj już spokój.

Wreszcie odpuściła. Rety, co to był za dzień. Szczęśliwie już się dla mnie kończył. Zaczął się parszywie od Żyłki i petów, a skończył też parszywie na nocnym ochrzanie od mamy. Za to pomiędzy jednym a drugim było bardzo fajnie, bo i Zuza i Konrad i ten szalony wypad na próbę zespołu. Co ja tu jeszcze mogę po-

wiedzieć? No chyba tylko tyle, że miałam wrażenie, jakbym coś napoczęła, jak zaczyna się jeść pyszną, nieznaną dotąd potrawę. Ona to sprawiała, że czułam na sobie niewidzialne pędzelki i że robiło się tak przyjemnie w środku, jak nigdy dotąd. Konrad, co ty mi zrobiłeś? Nie wiem, co to było, poddawałam się temu i chciałam więcej i więcej.

Rozdział 4

Gwiazdy

W poniedziałek znowu było to samo, co zwykle działo się w tygodniu szkoły – tłok w autobusie i znów trafił się jakiś mechanik czy hydraulik, co zionął na mnie tytoniowym oddechem. Chyba mam do takich pecha albo jakoś magicznie ich nawet przyciągam. Kto wie. Ale dobra, jakoś wytrzymałam. Potem było już lepiej, bo tłum wysiadł, a ja zajęłam miejsce siedzące.

Rozejrzałam się uważnie, czy jedzie ze mną Konrad. Nigdzie go nie zauważyłam. Zwykle był z tyłu autobusu przy wejściu, lecz dziś w tym miejscu stała rozbawiona grupa dziewczyn. Jeszcze raz się rozejrzałam. Nie, faktycznie go nie ma. Hmm... No trudno, szkoda, może jutro będę miała więcej szczęścia. Zobaczymy.

Na kolejnym przystanku wsiadła Anka. Tym razem nie musiałam nawet do niej machać, bo mnie od razu wypatrzyła. W trzy sekundy potem siedziała już obok.

– Jesteś wreszcie! – ucieszyłam się. – Gdzie ty się podziewałaś?

– A, dziewczyno. Co ja przeżyłam – machnęła ręką – to by można o tym książki pisać.

Ciekawość aż mnie zakuła od środka.

– Nie mów! – szturchnęłam ją łokciem. – Gadaj. Co się działo?

Wzięła głęboki oddech i pokręciła lekko głową. Wyglądało, jakby zapowiadała długą, emocjonującą opowieść.

– Bo widzisz, we wtorek pojechaliśmy z rodzicami w góry do wujka – zaczęła mówić. – Niby fajnie, bo to zawsze nowe miejsce, ładna okolica, widoczki, wiesz zresztą, jak to w górach.

– Wiem.

– Wszystko byłoby spoko, tyle tylko, że ten wujek to grzeje jeszcze gorzej niż mój ojciec.

– Grzeje? – zdziwiłam się. – W sensie, że pije?

– Tak, pije, pije, niestety – pokiwała głową. – Jak przysiedli we wtorek do stołu, to skończyli w niedzielę nad ranem. No mówię ci, ledwo co stamtąd na dziś wróciłam – westchnęła. – A mieliśmy wracać tego samego wtorku wieczorem.

– Przykre – przyznałam.

– Wiesz, ja się już trochę uodporniłam na takie widoki i na takie sytuacje zresztą też. Ale powiem ci, że to była tylko połowa tragedii.

– A co?

– Ach, szkoda nawet gadać – pokręciła głową. – Na samą myśl się denerwuję.

– No, mów.

– Telefon mi wpadł do studni, bo jak głupia chciałam zobaczyć, co tam w środku widać.

– Ojej, to faktycznie krucho.

– Mówię ci, porażka. Pięć dni bez telefonu na takiej wiosce, gdzie gęsi, kaczki, bydło i tak dalej. Co tu robić? Myślałam pod koniec, że sama zacznę gęgać.

– Współczuję – rzekłam. – I co robiłaś?

– A co ja mogłam robić? – rozłożyła bezradnie ręce. – Pochodziłam trochę po górach. Ale ile można po górach chodzić? Sama powiedz.

Gdy autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku, Anka wskazała mi głową w stronę okna.

– Patrz – rzekła. – Czy to przypadkiem nie ten chłopak, co mi o nim raz wspominałaś? No wiesz, ten tajemniczy nieznajomy co ci się tak podoba.

– Gdzie?! – spojrzałam przez szybę. Konrad faktycznie tam był. Stał przed drzwiami autobusu i czekał aż ludzie wysiądą, by wejść do środka. – Tak, to on – odparłam.

Patrzyłyśmy na niego przez szybę autobusu. Tymczasem Konrad wsiadł, rozejrzał się i od razu nas zauważył. Uśmiechnął się do mnie i kiwnął lekko głową.

– Ty, patrz Gośka – poruszyła się Anka. – On się chyba do nas uśmiecha. Czy mi się tylko tak zdaje?

Co ja mogłam jej powiedzieć? Chciało mi się śmiać, ale powstrzymałam się, zaciskając mocno wargi. W końcu nic na to nie odpowiedziałam, obserwowałam tylko, co będzie dalej. A dalej było jeszcze zabawniej, bo Konrad podszedł do nas i jakby nigdy nic uścisnął mi dłoń.

– Cześć, Gośka, dobrze cię widzieć – powiedział.

Ance aż oczy miały wyjść z orbit. Widać było, że sytuacja mocno ją przejęła. Strzelała spojrzeniem to na Konrada, to na mnie, jakby obserwowała zacięty mecz tenisa. Jak ją znałam, to pewnie w głowie jej się nie mieściło, że ta cicha i nieśmiała Gośka mogła pod jej nieobecność zapoznać się z „tajemniczym nieznajomym", jak go określała.

Jakby tego było mało, Konrad w tym czasie wyciągnął rękę do Anki.

– A ty jesteś Anka, dobrze kojarzę?

Zamurowało ją, no mówię wam, normalnie ją zamurowało. Popatrzyła na Konrada baranim wzrokiem. No nie, nie wytrzymam – pomyślałam. Tłumiłam śmiech, jak tylko mogłam, by tylko nic nie dać poznać po sobie.

– Yyyyyyyy – Anka się przywiesiła. – Taaak, Anka. A co? – zapytała.

– Jestem Konrad – uścisnął jej dłoń. – Miło mi. Gośka opowiadała mi o tobie.

– Nie mów – zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Serio, mówiła – zapewniał Konrad. – Ale spoko, nie martw się, bo to były same dobre rzeczy.

– Czyli, że co? Że wy się znacie? – Anka zapytała wprost.

– Tak, jasne – przytaknął głową.

– Gośka – Anka odwróciła głowę w moją stronę. – Nic, a nic mi nie mówiłaś.

Zrobiłam niewinną minę, wzruszając przy tym ramionami.

– A kiedy ci miałam mówić, jak cię nie było?

– Aaa... tak, w sumie racja – przyznała.

– Co u ciebie? – Konrad zwrócił się do mnie. – Zdążyłaś w piątek na czas do domu?

– Tak, zdążyłam. Mama trochę biadoliła, ale to było nic. Przeżyłam. Powiedz lepiej, co u ciebie?

– Leci, jakoś leci. Jest dobrze. W sobotę robimy ognisko z chłopakami z zespołu. Może wpadniesz do nas?

To ci dopiero zaproszenie! Czy mnie słuch nie myli? W jednej chwili zrobiło mi się bardzo miło. Czyli on naprawdę się mną interesuje, skoro mnie zaprasza. Och, Gośka, szczęściara jesteś, i to jeszcze jaka. Poczułam się wyjątkowo.

– Pewnie, że wpadnę – odparłam bez namysłu.

– Super.

Anka tymczasem nabrała kolorów. Twarz miała rumianą, jakby z sauny wyszła. Widać było, że ta sprawa mocno ją poruszyła. Wtem Konrad zwrócił się do niej:

– Anka, może też wpadniesz?

W jednej chwili moja wyjątkowość spadła w dół o jakieś pięćdziesiąt procent. Nawet mnie trochę to zabolało. Ale dobra, jakoś szybko to sobie zaczęłam tłumaczyć. Może on pytał ją tylko tak grzecznościowo, że tak wypada.

– Dzięki – rzekła Anka. – A co tam będzie?

Konrad wzruszył ramionami.

– Ognisko, trochę znajomych, jakieś pieczone jedzenie, gitary...

– O, nieźle – Anka się zainteresowała. – Też gram na gitarze.

– Świetnie – ucieszył się Konrad. – O tym Gośka mi nie wspominała. To koniecznie weź gitarę, coś pogramy wszyscy razem.

– Hmm... no nie wiem. Pomyślę, zobaczymy czy wpadnę – zastanawiała się i smutno dodała. – A co do grania, to chwilowo nie mam gitary.

Ja też zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy chciałabym, żeby była ze mną Anka. Właściwie to chciałam, czemu nie, na pewno byłoby nam raźniej. Zawsze to jedna znajoma osoba więcej i to taka bliska, na której można było polegać.

– Nie szkodzi. Mogę ci użyczyć swojej – zapewnił Konrad.

– Anka, zgódź się – zachęcałam. – Pójdziemy razem.

– Nooo... dobra – odparła. – Niech będzie.

Jechaliśmy dalej i gadaliśmy. Było naprawdę fajnie, a z każdą chwilą robiło się jeszcze lepiej. Muszę przyznać, że dzień zaczął się wyjątkowo, poranek-petarda, tak bym to określiła. Ja w każdym razie czułam się świetnie, jakbym przełamała nieznaną barierę, za którą nigdy do tej pory nie byłam. Zaproszenie na ognisko. Hmm, kto by pomyślał, że taka rzecz się stanie i to zaledwie dwa dni po pierwszym spotkaniu. Czy się cieszyłam? No pewnie, że tak. Oznaczało to, że jestem gdzieś w głowie Konrada w jakimś miejscu, że tam istnieję, a chciałam tam być i to być jak naj-

więcej. To zdaje się ta różnica i moment, gdzie człowiek obojętny staje się kimś nieobojętnym, na kim w jakimś stopniu zaczyna nam zależeć. Jest ta relacja, tworzą się wiązania, jak dwa elementy zszywane nicią razem.

Dwa przystanki potem wysiadłyśmy z Anką, a Konrad pojechał dalej. Pomachałam mu jeszcze ręką na pożegnanie i odprowadziłam wzrokiem odjeżdżający autobus.

– No, no – westchnęła Anka. – Ja cię Gośka z tej strony nie znałam.

– Że co? – uśmiechnęłam się.

– Że ty tak sobie chłopaków zapoznajesz.

– A, daj spokój – machnęłam lekceważąco dłonią. – Tak jakoś wyszło i tyle.

– Taaa, wyszło. Znam ja to „wyszło".

– No co ja mogę? – roześmiałam się.

– Cicha woda!

– A pewnie – śmiałyśmy się teraz obie.

Po południu wróciłam ze szkoły. Czułam się, jakby mnie ktoś mentalnie kijem poobijał. Cały dobry nastrój poranka tak sobie prysnął w jednej chwili, jak mydlana bańka. Najpierw dostałam niedostateczny z polskiego, a potem przyatakowała mnie nauczycielka z materiałoznawstwa, że niby się nie przygotowałam do zajęć. Właściwie to była prawda, bo przez weekend nawet nie zajrzałam do zeszytu, jednak sposób, w jaki to zrobiła, bolał mnie bardziej niż złe oce-

ny. Ach, dobra, już nawet nie chce mi się o tym pisać.

Coś mi się widzi, że ta moja edukacja jest jak spora bomba zegarowa, która pewnego dnia wybuchnie. Na razie z tygodnia na tydzień idzie coraz gorzej, zegar sobie tyka i odlicza. Jakby nie Anka, to chyba bym w ogóle tam już nie chodziła. Trzymam się jej, jak tylko mogę. Najbardziej obawiam się wielkiego zaskoczenia, jakie będzie, gdy to wszystko kiedyś wyjdzie. Już słyszę te głosy rodziców: „Gosia? Ty się nie uczysz?", albo „Gosia, z tymi ocenami, to ty nie przejdziesz dalej". „Weź się w garść. Co z tobą?". A potem będzie lament, że nic im nie sygnalizowałam. A co mam im gadać, jak sam tata mówi, żebym dała szkole szansę. No to daję. Póki co, chodzę tam, jak do ubikacji, czyli chodzę, bo zwyczajnie muszę.

Pod wieczór zadzwoniła do mnie Zuza, aby się umówić na odwiedziny.

– To może jutro byś zajrzała? – zaproponowałam.

– Niech pomyślę – powiedziała Zuza. – Wygląda, że wtorek po południu mam wolny, więc zgoda.

– Fajnie. Już teraz ci powiem, że będziemy miały wolną chatę.

– Serio?

– Serio – potwierdziłam. – Rodzice idą do znajomych na wizytę.

– Koniecznie trzeba to wykorzystać. Robimy imprezę? – zaśmiała się. – Dobra, żartuję. A wiesz, że jutro ma być noc spadających gwiazd?

– Nie, a co to? – zapytałam.

– Mówię ci. Dziś o tym czytałam. Meteoryty będą przelatywać, czy coś takiego. Już nie pamiętam dokładnie, ale mają być wyraźne, że będzie można je zobaczyć bez żadnego sprzętu.

– Brzmi nieźle. Możemy poobserwować je z balkonu.

– Tak zrobimy – powiedziała. – OK, kończę, bo mnie mama woła.

– Trzymaj się, do jutra.

– Do jutra. Hej.

Wtorek przywitał mnie deszczem. Lało praktycznie od samego rana, a jak nie lało, to wiał silny, chłodny wiatr. To był pierwszy z cyklu szarych, mokrych dni tej jesieni. Wracając ze szkoły, miałam naciągnięty kaptur kurtki na głowę, a i tak wiatr i wilgoć wdzierały się do środka i nieprzyjemnie mroziły szyję. Pomyślałam o Konradzie i ognisku, jak to wszystko wyjdzie, jeśli będzie taka pogoda. Chyba będą musieli imprezę odwołać albo co najmniej przenieść ją pod dach. Na razie nie chciałam się martwić tym na zapas, jednak spoglądając na sine niebo, wewnątrz mnie przebijała obawa o to, że być może impreza się nie odbędzie.

Było jeszcze coś, co martwiło mnie bardziej niż pogoda. Chodziło o to, że musiałam w końcu rodzicom powiedzieć, że idę na ognisko. Zupełnie nie było mi to na rękę, ale z drugiej strony nie miałam wyjścia, potrzebowałam ich zgody, bo nie wiadomo dokąd to spo-

tkanie miało potrwać. Aby móc więc wrócić później niż zwykle, postanowiłam im powiedzieć o wszystkim podczas obiadu. Niestety, sprawy zaczęły się komplikować, gdy tylko rozpoczęłam temat.

– Co?! Na ognisko? – zawołała mama. – Chyba oszalałaś. Zobacz za okno, jaka pogoda. Kto o zdrowych zmysłach o tej porze roku organizuje ogniska?

– Nic nie wiadomo. Może się wypogodzi – próbowałam uspokoić mamę.

– Tak, całkiem możliwe, że się wypogodzi – do rozmowy włączył się tata. – Ten weekend ma być słoneczny i ciepły. Podobno ostatni taki tej jesieni, tak przynajmniej mówią w prognozie.

– A kto to organizuje? – zapytała mama.

– Konrad – oznajmiłam.

Rodzice wymienili między sobą lekko zdziwione spojrzenia.

– Konrad? – zainteresował się tata. – Kto to?

– Kolega – wyjaśniłam. – Całkiem spoko kolega.

– Nie znam żadnego Konrada – przyznał.

– Ja też nie – dodała mama. – Skąd się znacie?

– Oj, mama. Wy od razu cały wywiad robicie – westchnęłam. – To zwykła sprawa, normalne ognisko. Po co komplikować proste rzeczy?

– A kto ma wiedzieć, jak nie rodzice? – zapytała mama.

Nie jest dobrze – pomyślałam. Jak im teraz powiem, że wypatrzyłam go w autobusie, że znamy się kilka dni i że Konrad gra w zespole rockowym, to

równie dobrze mogłabym im powiedzieć, że chcę iść na spotkanie z jakimś gangsterem. Popatrzyłam z nadzieją na tatę.

– Ze szkoły się znamy – skłamałam.

Wyglądało, że tata w porę wychwycił moje spojrzenie, bo powiedział:

– Dobrze słyszeć, że masz już tam znajomych. Relacje w szkole to ważna sprawa.

Wreszcie poczułam jakieś wsparcie zamiast samych pytań. Spróbowałam pociągnąć temat i dodałam:

– Zgadza się. A my z Konradem to fajnie się dogadujemy.

– Zaproś go kiedyś do domu – zaproponował tata.

– Tak, chętnie go poznamy – rzekła mama.

– Dobrze, kiedyś zaproszę.

Odetchnęłam z ulgą. Czułam, że już ich mam prawie w garści. Jeszcze tylko sakramentalne „tak" na moje wyjście na imprezę i będzie super – pomyślałam.

– No dobrze. Idź – powiedziała mama. – Ale najpóźniej wracasz o 23:00.

– Dzięki – aż mi się twarz zaśmiała.

Pełna radość trwała jednak tylko moment, bo zaraz potem dobiła mnie mama.

– Tylko zostawisz nam adres, gdzie to będzie i telefon do rodziców Konrada.

Już to sobie wyobrażałam. Niby jak miałam pytać Konrada o telefon do jego rodziców? Pomyślałby o mnie, że ma do czynienia z dzieckiem. To rozwiąza-

nie było dla mnie nie do przyjęcia. Faktycznie trudna sprawa. Do soboty będę musiała coś wymyślić, aby wyjść z tego wszystkiego cało, a jednocześnie zadowolić rodziców. Jest jeszcze trochę czasu, zobaczymy – pomyślałam.

Po obiedzie rodzice wyszli na umówioną wizytę do państwa Sosnowiczów, a kilka minut potem przyszła do mnie Zuza. Gdy tylko weszła do mieszkania, podała mi małe, papierowe zawiniątko.

– To jest to mangowe cudo – rzekła.

– Znaczy się herbata? – zapytałam.

– Tak, herbata.

Zbliżyłam torebkę do nosa i zaciągnęłam się zapachem.

– Mmmmmm – westchnęłam z przyjemnością. – Jeżeli smakuje choć w połowie tak, jak pachnie, to już będzie super.

W przedpokoju pojawił się Oskar. W ułamku chwili przebiegł cały przedpokój.

– Zuza! Zuza! – wołał radośnie.

– O, jest nasz zuch! – przywitała się z nim. – Dla ciebie też coś mam.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki paczkę żelków owocowych. Oskar wziął je do rąk i zaczął dokładnie oglądać opakowanie.

– Co jest, Oskar? Rozczarowany? – zaśmiałam się. – Nie jest to może mleko w tubce, ale na pewno jest smaczne.

Maluch popatrzył na mnie z miną, jakby przed chwilą ugryzł cytrynę. Od razu było widać, jak „lubił" żelki, nie musiał nam mówić już nic więcej.

Chwilę potem siedziałyśmy z Zuzą w moim pokoju, pijąc z kubków herbatę o smaku mango. Z głośników cicho roznosiła się spokojna, gitarowa muzyka. Oskar poszedł do siebie, więc mogłyśmy swobodnie sobie pogadać.

– Opowiadaj w końcu, jak to było z tym chłopakiem – zaczęła Zuza. – Przypomnij mi, jak on się w ogóle nazywa? Kacper?

– Konrad.

– Właśnie, Konrad. Pogadaliście sobie trochę?

– Tak, pogadaliśmy, ale wiesz co? Tego numeru to ja ci do końca życia nie zapomnę – pogroziłam jej serdecznie palcem. – Jak do niego wtedy na przystanku zagadałaś, to myślałam normalnie, że ci coś zrobię – zaśmiałam się. – A potem nas jeszcze tak samych zostawiłaś.

– Daj spokój. Chyba nie narzekasz, co? – rzekła z uśmiechem, a zaraz dodała bardziej serio. – Widziałam, że w tej sprawie potrzebujesz pomocy. Co mogłam, to zrobiłam.

– Wiem, wiem. Teraz o tym gadam luźno, ale wtedy to dopiero miałam stresa.

– No, widzisz, nie było wcale źle i co najważniejsze, dałaś radę.

– Dałam – przytaknęłam. – Tak bardzo dałam, że jeszcze tego samego dnia byłam na próbie jego zespołu rockowego.

– Nie gadaj! Serio?! – Zuza zrobiła wielkie oczy.

– Serio.

– Dziewczyno, ja cię normalnie nie poznaję – rzuciła z uznaniem.

– A w sobotę idę do niego na imprezę – dodałam.

– Pięknie. Takiego tempa to nawet ja nigdy nie miałam.

– Dzięki – zaśmiałam się.

Zuza zamyśliła się przez chwilę, a zaraz potem rzekła:

– To może znaczyć tylko jedno, że na znajomości z Konradem bardzo ci zależy.

– No, w sumie... – nieco spoważniałam.

Znała się na rzeczy i potrafiła wyciągać dobre wnioski. Podziwiałam w niej to, że pomimo bycia rówieśniczkami, to częściej ona była tą roztropniejszą, jakby mnie o kilka lat w myśleniu prześcigała. Chciałabym kiedyś też być taka, aby umieć zauważać to, czego normalnie się nie zauważa, albo zauważa dopiero po czasie, gdy zaczynają się kłopoty.

Gadałyśmy razem aż do wieczora. Znów było fajnie, jak za dawnych, dobrych czasów i znów czułyśmy przyjacielską jedność. Od czasu wyprowadzki Zuzy z osiedla brakowało mi takich chwil, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej.

Gdy zaczęła pytać o szkołę, skrzywiłam się:

– Powiem ci, że nie jest dobrze. Mizeria. Nie wiem, co będzie, ale nie idzie mi tam najlepiej.

– Ale co nie idzie najlepiej? – zainteresowała się. – Nauka, znajomości czy co?

To było dobre pytanie. W każdym razie uderzyła w samo sedno. Zastanowiłam się chwilę i rzekłam:

– Właściwie chodzi o to, że mi nie zależy – wyjaśniłam. – Wszystko jest mi takie obojętne.

– W sensie, że co? – dopytywała.

– Wiesz, jak masz jakiś cel, to jest łatwiej, bo kiedy jest źle, zawsze masz motywację, która ci pomaga przetrwać. A w tej szkole ja chyba nie mam celu.

– Przykro mi – Zuza posmutniała.

– Zresztą, od czasu rozpoczęcia nowej szkoły wszystko stało się inne. Czuję się tam, jakby mnie ktoś posadził za sterami rozpędzonego pojazdu, którym zupełnie nie umiem kierować. Z jednej strony niby jadę, a z drugiej czuję, że to się zaraz źle skończy.

– Chodzi o specjalizację w odzieży, nie?

– Dokładnie.

– Rozumiem.

– Dzięki. Chyba ty pierwsza to rozumiesz – wyznałam. – Bo komu o tym mówię, to słyszę tylko „złote" rady, jak sobie poradzić. Kłapią tymi paszczami w najlepsze. A ja nie chcę sobie radzić. Nie chcę, do cholery – rzuciłam z emocją. – Nie uśmiecha mi się zarabiać na życie maszyną do szycia. Jak kogoś to kręci, to fajnie, ale mnie nie.

– A gadałaś z rodzicami? Powinni jakoś pomóc, co nie?

– Dobre słowo „powinni”, ale powiem ci tak. Mama nie widzi problemu. Twierdzi, że to zawód z przyszłością, że nie mam co narzekać. A tata znowu nakłania mnie, bym poczekała i zobaczyła, że może jakoś magicznie mi się nagle spodoba.

– Niedobrze – pokręciła głową.

– Wiesz, ja sobie zdaję sprawę, że na tej szkole się świat nie kończy. Ale to są trzy lata. Zuza, zrozum. Trzy długie lata życia, po których nie będę miała nic, co bym chciała. Dziura w życiorysie. Jakby tej szkoły wcale nie było.

Poczułam bolesny żal. Taką rozmowę powinni przeprowadzić ze mną rodzice, a zamiast nich robi to Zuza. Chciałabym liczyć na rodziców, żeby mnie chociaż zrozumieli, a w każdym razie wymagałam od nich więcej, niż obecnie mi dawali. Czasem wydawało mi się, że patrząc na mnie i moje problemy, widzą sprawy jedynie w kategoriach opłacalności i pieniądza. Tylko czy życie na tym ma polegać – aby mi się opłacało i abym miała dużo pieniędzy? Chyba nie o to w tym wszystkim chodzi, a przynajmniej na pewno nie mi. Tylko pytanie, czy to ja jestem taka młoda i głupia, czy może z nimi jest coś nie tak?

– Gośka! – nagle zawołała Zuza.

Popatrzyłam zaskoczona na nią.

– Co się dzieje?

– Przecież dziś gwiazdy mają spadać! Pamiętasz, mówiłam ci, te meteoryty czy coś.

– O, ekstra! – odparłam. – Faktycznie, mi też wypadło z głowy.

– Lecimy na balkon – rzuciła.

Chwilę później stałyśmy na balkonie i gapiłyśmy się w ciemne, brunatne niebo. Wszystko spowite było przez chmury, że nawet księżyc w tym wszystkim się całkiem zagubił. W którą stronę by nie spojrzeć, nic nie było widać, nic nie przelatywało, żadnych deszczów meteorytów, żadnej gwiazdy czy choćby iskierki, nic.

– Lipa, nie? – westchnęła Zuza.

– No, lipa – potwierdziłam.

Czułam się, jakby nas ktoś po chamsku wystawił. Jakbym miała jakoś nazwać te uczucie, to „rozczarowanie" chyba byłoby za mało. Gdy tylko o tym pomyślałam, w tej samej chwili zaczął padać gęsty deszcz.

– Lipa – powtórzył za nami Oskar.

Dopiero teraz się zorientowałyśmy, że też wszedł na balkon. Stał za nami i podobnie jak my, gapił się w górę.

Zawiedzione i nieco mokre od deszczu wróciłyśmy do mojego pokoju.

– Szkoda – powiedziałam, pociągając z kubka herbatę.

– Może za rok się uda. W Internecie pisali, że takie zjawisko zdarza się co roku.

– Ha, nie dobijaj mnie – rzekłam.

Co będzie za rok? Czy w ogóle coś fajnego tam na mnie czeka? Pomyślałam o tym i zrobiło mi się smutno.

Chciałam Zuzie powiedzieć, że boję się tego roku i że nie mam ochoty go w taki bezcelowy sposób przeżyć, ale nic nie powiedziałam. Miałam już tego wszystkiego dość. Bezradnie spojrzałam na dekorację w pokoju na ścianie. Było to wymalowane niebo z przyczepionymi plastikowymi gwiazdkami. Tak bardzo potrzebowałam coś zmienić w swoim życiu, coś zrobić, choć ruszyć się z miejsca, zrobić cokolwiek. Tylko to wszystko było cholernie trudne, bo wierzcie mi, że ciężko jest zmieniać życie, gdy masz piętnaście lat.

Wstałam z krzesła i podeszłam do dekoracji. Zaczęłam zrywać te gwiazdki jedna po drugiej i rzucać nimi w górę, tuż nad Zuzą.

– Patrz, Zuza! – wołałam. – Mamy wreszcie spadające gwiazdki!

Zuza popatrzyła z obawą na mnie i na to, co robię.

– Nic nie przegapiłyśmy! – krzyknęłam. – Patrz, wszystko widać!

Zerwała się z łóżka i już była przy mnie.

– Są takie piękne, co nie, Zuza?! – odrywałam kolejne i rzucałam je w górę na oślep.

– Daj spokój, Gośka! – złapała mnie za ręce.

– Są piękne! Co nie?! – chciałam je rzucać dalej, ale mnie powstrzymała. Objęła mnie całą rękami i tak trzymała.

– Już dobrze, Gośka. Spokojnie.

– Powiedz, że są piękne, Zuza... Powiedz, że są... – szepnęłam. Z rezygnacją opuściłam głowę na jej ramię i zapłakałam.

– Już dobrze, Gośka – objęła mnie mocniej. – Już wszystko dobrze – uspokajała.

Jednak nie było dobrze.

Rozdział 5

Zakazany owoc

Po wtorkowej wizycie Zuzy nie czułam się dobrze. Tamtego wieczoru coś we mnie puściło, czy raczej wylało się na zewnątrz, jakbym była naczyniem pełnym smutku, z którego już się przelewa. A temat szkoły i mojej przyszłości właśnie taki był, że sączył się we mnie kropla po kropli i teraz się w końcu przebrało. A skończyło się tak, jak się skończyć musiało, czyli że załapałam doła.

Jak się człowiek czuje, gdy ma doła, pisać raczej nie trzeba, bo każdy mniej lub bardziej w swoim życiu doły przechodził. To, co jednak trochę odróżniało go od innych, to że poza smutkiem było też swego rodzaju destrukcyjne uczucie, jakby mi ktoś ciągle szeptał do ucha, że to, co robię, jest bez sensu. Biorę się za poranne mycie zębów i mi się po prostu nie chce, jakby ktoś zamiast zębów kazał mi wyszorować zaniedbany kibel. Sprzątanie na biurku? Też bez sensu, bo w końcu znowu się nabałagani. Śniadanie? Bez sensu. Ścielenie łóżka? A po co, skoro wieczorem znów się je rozłoży. Wszystko się tak głupio kręci, jak na karuzeli, od szczoteczki rano do szczoteczki wieczorem, od leżenia w łóżku do leżenia w łóżku, od jedzenia do jedzenia. W porywach miałam wrażenie,

że to życie składa się z samych tylko cykli, które się powtarzają, aż do znudzenia. Spojrzałam przez okno na zażółcone liśćmi drzewa. Nawet te pory roku to są cykle, że za rok znów będzie jesień. A ja? W końcu ja też jestem cyklem, bo ludzie przychodzą, rodzą się i umierają. Cykl goni cykl. To wszystko jest takie bez sensu.

Cały środowy ranek przeszedł mi w ten sposób i pewnie przeszłoby tak też południe, gdyby nie to, że w autobusie do szkoły szczęśliwie spotkałam Konrada.

– Nie wyglądasz najlepiej – od razu zauważył. – Chyba słabo spałaś, co?

Trochę mnie to pytanie skrępowało, bo nie chciałam mu mówić, o co chodzi.

– Nie. To nie to.

– Przeziębienie?

– Też nie – zaprzeczyłam.

– A co?

– Życie.

– Hmm, brzmi poważnie.

– I tak też wygląda. Ciężko choruje się na życie – rzekłam. – Zawsze taką infekcję trudno się przechodzi i co gorsza, najlepsza aspiryna nawet nie pomaga. Ale nie ma tak źle, bo każdy to przechodzi, mniej lub bardziej. To po prostu trzeba przeżyć, powolutku, z wysiłkiem, doczołgać się do samego końca...

– Ty tak serio, czy sobie jaja robisz?

Popatrzyłam na niego całkiem poważnie. Musiałam wyglądać naprawdę słabo, bo Konrad zrobił zmartwioną minę.

– No, żartuję – z pewnym wysiłkiem wykrzesałam z siebie uśmiech.

– Uff, to dobrze, bo brzmiało tak, jakbyś na ciężkim haju była – też się zaśmiał.

– Nie martw się. Nic nie biorę – uspokajałam. – choć może tylko...

– Tak? – zainteresował się.

– Może tylko szprycuję się muzyką.

– Hehe. Taki drag to ja rozumiem – zaśmiał się.

– Ja też. Dziś pakowałam już w żyłę Magerotów – znów zaserwowałam mu uśmiech.

Potem uśmiechów było coraz więcej i więcej. Przez następne dwa przystanki gadaliśmy sobie luźno, jakbyśmy znali się od dawna, że nawet sama byłam zaskoczona sobą i moją śmiałością. Jego obecność działała na mnie bardzo pozytywnie, wyciągał mnie z doła i to w najlepszym możliwym stylu. To zdaje się była pierwsza taka nasza rozmowa, gdy byliśmy całkiem wyluzowani. Wyglądało na to, że tamtego dnia coś się w nas na siebie otworzyło, lekko uchylone do tej pory drzwi teraz rozwarły się znacznie bardziej. Gdybym miała do czegoś porównać to uczucie, to porównałabym je do tańca. Te nasze pierwsze rozmowy to jakbyśmy próbowali tańczyć na skalistym, chropowatym terenie, ciągle się o coś potykając i robiąc niezgrabne ruchy. A dziś podłoże było całkiem inne, przyjemne

i gładkie, sunęliśmy nie po ziemi, a po śliskim, błyszczącym lodzie. Tak, nasze poruszanie się to była właśnie jazda figurowa. Myślę, że Konrad też to dobrze widział, bo w pewnym momencie powiedział:

– Mam pomysł.

– Wal – odparłam.

– Co powiesz na to, gdybyśmy się dziś urwali z lekcji?

To ci dopiero propozycja – wagary z Konradem. Z wrażenia zrobiło mi się gorąco. Pomyślałam nad tym chwilę, ale wierzcie mi, że długo zastanawiać się nie musiałam. Wystarczyło, że przypomniałam sobie moją szkołę i plan dzisiejszych lekcji. Nie należałam do osób, które chodzą na wagary i raczej trzymałam się od takich z daleka. Jednak w obecnej perspektywie to wszystko wydało mi się zupełnie bez znaczenia, a propozycja Konrada brzmiała niezwykle kusząco. Chwila zawahania, krótka kalkulacja. A co mi tam. Kurcze, to był przecież Konrad, ten mój fajny Konrad.

W chwili, gdy nad tym się zastanawiałam, autobus otworzył drzwi na kolejnym przystanku. Wymieniliśmy z Konradem porozumiewawcze spojrzenia. Nie musiał mi mówić nic więcej.

– Dobra, urywamy się – rzuciłam i szybko udaliśmy się do drzwi.

Zaraz potem szliśmy chodnikiem w stronę rynku, gadając, żartując i zwyczajnie czując taką zwariowaną, szczeniacką frajdę, że robimy razem coś niecodziennego. Sama nie wierzyłam, że to robię. Pod

nogami szeleściły liście, wszędzie było widać i czuć jesień, ale w głowie za to miałam najprawdziwszą wiosnę. Słońce, skowronki i budzące się życie. Jak daleko by nie spojrzeć, ani grama pozostałości z porannego doła. Wszystko dookoła wydawało się być żywe i kolorowe, że nawet ta żółć, zamiast trącić smutkiem, działała rozweselająco. Świat kręcił się jakby szybciej, tak samo jak szybciej biło moje serce. Coś mnie nosiło i poddawałam się temu, niespotykane i przyjemne uczucie.

Na rynku usiedliśmy na ławce. Przyglądałam się Konradowi bardziej otwarcie i bez stresu który zwykle miałam, że też spojrzy na mnie i nasze spojrzenia się skrzyżują. Teraz tego w ogóle nie było. W zamian za to była we mnie odwaga, która działała jak motor napędowy do dalszych posunięć i sprawiała, że zadawałam bardziej konkretne pytania.

– Gdzie ty w ogóle chodzisz do szkoły? – zapytałam.

– Chodzę do „Kolejówy", do czwartej klasy.

Fraza „czwarta klasa" prawie mnie zastrzeliła, że aż zrobiłam duże oczy.

– Ja nie mogę. To ile ty masz lat?

– Osiemnaście, a co?

Upsss, kłopoty. Toż to już nie jest chłopak, a całkiem dorosły facet. Normalnie szok. Nie wyglądał na takiego, a przynajmniej ja bym mu tyle lat nie dała. Jeszcze nie wiedziałam, co to może oznaczać, ale na pewno lepiej, że miał więcej niż miałby mieć mniej.

A co będzie, jak on mnie zapyta o wiek i wyjdzie, że mam piętnaście. Pomyśli, że jestem małolata, zwykła gówniara, co ledwo wyszła z podstawówki. Tylko nie to. Błagam, tylko nie to.

– A ty? Gdzie chodzisz do szkoły? – zapytał.

– Do odzieżówki – odpowiedziałam niepewnie.

– Do której klasy?

– Patrz – wskazałam głową w jedną stronę. – Widziałeś?

– Co?

– A nie, nic – westchnęłam. – Przywidziało mi się tylko.

– Co ci się przywidziało?

– W sumie to nic. Nie ważne. Myślałam, że szedł Makary. Facet wyglądał podobnie do niego.

– Nieźle – zaśmiał się. – To na pewno nie on. Makary od trzech dni siedzi w domu. Ma nadzieję wyleczyć grypę przed sobotą. Solidnie go złapało, że nawet próbę wczorajszą odwołaliśmy.

– To niedobrze.

Gdy tak siedzieliśmy na ławce na rynku, było mi przy nim wspaniale. Słońce rozlewało się po okolicy, ludzie przechodzili, a ja miałam wrażenie jakbyśmy byli oderwani od wszystkiego, od całej ponurej rzeczywistości. Najfajniejsze chyba było to, że w tej chwili nic nie musiałam, żadnej szkoły, lekcji czy szkolnych stresów. Byłam tylko ja, Konrad i nasze wagary. To było coś.

Nie wiem, czy właśnie tak smakuje przysłowiowy „zakazany owoc", ale jeżeli to faktycznie jego smak,

to chciałam go gryźć i jeść, dalej i dalej, rozsmakowywać się nim do samego końca. Z jednej strony głęboko w środku czułam, że przekraczam jakąś nieprzekraczalną do tej pory granicę, coś tam się we mnie odzywało, że nie powinnam, że muszę iść, wracać i w ogóle... Albo to, że napytam sobie kłopotów. Ta chwila na rynku była jednak znacznie silniejsza, a myśl o Konradzie skutecznie gasiła jakiekolwiek odgłosy z wewnątrz.

Gadaliśmy na różne tematy, czasem o sobie, o znajomych albo tak generalnie o życiu czy muzyce. Miałam wrażenie, jakby świat się na chwilę zatrzymał. Ten niewidzialny magnes, którym do tej pory Konrad mnie przyciągał, teraz działał już z pełną siłą. Chciałam z nim być, gadać, patrzeć na niego i się uśmiechać. Poddawałam się temu, jak unoszona na jakiejś fali, byle dalej, dłużej i mocniej. Czy to właśnie nazywa się zauroczenie? Nie wiem. To z resztą nie było ważne. Wiem za to, że coś się we mnie działo, dziwne niespotykane uczucie, którego nie potrafiłam nawet nazwać, a które było przyjemne i wywoływało łaskotanie w ciele, taki dreszcz jak przy słuchaniu solówki z utworu Magamonersów.

Konrad zaczął szukać czegoś w kieszeniach. Wyglądał przy tym na zakłopotanego.

– O kurcze. Nie wziąłem kasy – pokręcił głową. – Chyba muszę już lecieć.

O, nie! Nie możesz tak po prostu sobie iść. Nie przyjmowałam tej myśli do siebie.

– Mam kasę – odparłam od razu. – Potrzebujesz?

– Nie no, łyso mi brać od ciebie – skrzywił się nieco.

Nie czekałam na dalsze reakcje, sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam banknot.

– Masz, weź – zaoferowałam.

Konrad pokręcił przecząco głową.

– Muszę fajki kupić. Nie będę brał od ciebie – odparł i podniósł się z ławki.

Wyciągnęłam rękę, ponawiając ofertę. Nie chciałam pozwolić mu odejść.

– No, Konrad. Weź. Masz! – niemal wciskałam mu banknot do kieszeni kurtki.

– Fajnie się gadało. Dzięki, ale serio nie mogę – odsunął się.

Nie wiedziałam już, co robić. W końcu desperacko rzuciłam:

– Masz! Weź. Nauczysz mnie palić.

Konrad zatrzymał się. Spojrzał na mnie nieruchomym wzrokiem, jakby nagle coś mu zaskoczyło w głowie.

– Nie, no co ty – zdziwił się. – Serio?

– Serio.

Usiadł z powrotem na ławkę i spojrzał gdzieś w dal. Wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Na pewno chcesz? – zapytał raz jeszcze.

– Na pewno.

Sama nie wiedziałam, na co się piszę i co będzie dalej. Poczułam, jak coś we mnie narasta. Takie dziwne uczucie niepewności, pobudzenia i zbliżającej się

nieznanej przygody. A co tam, Gośka, poudajesz trochę, wciągniesz dym, powiesz, że to fajne i tyle. Nic się przecież złego nie stanie, a zawsze się człowiek czegoś nowego nauczy. Przecież to tylko jeden papieros, nic wielkiego, świat się nie zawali.

– Dobra. Stoi – Konrad wziął banknot.

Uff, wreszcie. Udało się. Dreszcz przeszył mi plecy. Ja nie mogę! Czy to dzieje się naprawdę? Sama nie wierzyłam, że to robię. Puściłam mu niepewny uśmiech, którego tym razem nie odwzajemnił. Dalej był trochę zamyślony.

– Poczekaj tu na mnie. Zaraz przyjdę – rzekł, a chwilę potem odszedł w stronę sklepów.

W parku było jeszcze przyjemniej niż na rynku. Jesienne aleje usłane liśćmi, mało ludzi i przebijające przez drzewa słońce. Poszliśmy tam zaraz po tym, jak Konrad wrócił ze sklepu. Zajęliśmy ławkę na tyłach parku, gdzie już prawie kończyła się część spacerowa, a zaczynały bardziej dzikie tereny. Od czasu do czasu ktoś tamtędy przeszedł, a poza tym to nie było nikogo. To właśnie mi pasowało.

– Jak tam? W porzo? – szturchnął mnie łokciem.

– W porzo – przyznałam. Pomyślałam o ostatnich minionych dniach, w których wydarzyło się tak dużo, że nie sposób było mi to nawet ogarnąć. – Już dawno tak w porzo nie było – dodałam.

Gapiłam się na jego dłonie, jak otwiera paczkę papierosów.

– To fajnie – odparł. – W tym życiu nie ma nic lepszego jak bycie „w porzo”. Kiedyś mój brat mnie tego nauczył, żeby łapać chwile, wybierać te najlepsze i rozsmakowywać się nimi jak gumą do żucia.

– Gumą? – zaśmiałam się.

– Tak. Nie śmiej się – rzekł. – Brat nazywał to właśnie gumą, że trzeba z chwil brać, to co najlepsze, bo są ulotne i szybko się kończą, tak jak kończy się smak każdej gumy.

– Fajne – przyznałam. – Nigdy na to tak nie patrzyłam.

– Ja też nie. Ale to trafne – rzekł. – To jak wrzucenie hamulca, zatrzymanie się na tu i teraz. Bez myślenia co było i bez skupiania się na tym, co będzie. Jest coś fajnego, to się to bierze.

– Chciałabym umieć tak myśleć.

– Znaczy jak? – zapytał.

– No właśnie tak – bez zmartwień.

– To spróbuj. To nic trudnego.

Na chwilę zamilkliśmy oboje. Nic mi nie przychodziło do głowy, co mogłabym na to odpowiedzieć. W końcu tak zupełnie znikąd przyszła mi myśl i powiedziałam tylko:

– Konrad?

– No?

– To się właśnie dzieje, to tu i teraz – wyznałam.

Spojrzałam mu w oczy. On też na mnie patrzył. Sprawiał wrażenie kogoś pewnego siebie, kto wie, o czym mówi, a co lepsze, chce się tym ze mną po-

dzielić. Chyba tym właśnie imponował mi najbardziej. Czułam się przy nim spokojnie i całkiem bezpiecznie. Był jak silne, mocno osadzone drzewo, o które można się wesprzeć.

– Ta chwila, to jest właśnie to – szepnęłam nieco zawstydzona.

Chyba się wtedy zarumieniłam. W każdym razie czułam napływające w ciele ciepło.

– Świetnie – odparł. – To odczuwaj tę chwilę. Jest twoja.

Wyciągnął do mnie dłoń z otwartą paczką papierosów. Nie czekając ani chwili, wydobyłam z paczki papierosa.

– Sorry za głupie pytanie, ale jak się to robi? – rzekłam, po czym włożyłam końcówkę papierosa do ust.

– Spoko. Luz. Obiecałem, że cię nauczę.

Obserwowałam, jak odpala swojego papierosa. Gdy się zaciągnął, rzekł:

– Wciągasz dym do ust, ale nie przetrzymujesz go. Wciągasz go tylko na chwilę, a zaraz potem zaciągasz go w płuca. Patrz, tak – rzekł i powoli pokazał, jak to się robi, po czym wypuścił chmurę dymu.

Wyglądało na nic trudnego. Nie mogłam się już doczekać, gdy sama tego spróbuję. Gdyby teraz mogła mnie widzieć Zuza, to by dopiero było. Strzeliłaby mi mowę pouczającą, że hej. O rodzicach to nawet nie chciałam myśleć. Nie czekając dłużej, dałam mu znak kiwnięciem głowy, że jestem gotowa. Konrad pstryknął ogniem zapalniczki i przystawił go do końcówki

mojego papierosa. To musi być proste, wciągnąć, zaciągnąć się i wypuścić dym. OK. Jestem gotowa. Niech się to już dzieje. To musi być fajne. Zaciągnęłam się.

Chwilę potem ocierałam z oczu łzy, które napłynęły mi po solidnym rozkaszleniu się. Zaczęłam kaszleć, gdy tylko wciągnęłam dym w płuca. To było okropne uczucie. Tak nieprzyjemnie gryzło w środku, a do tego w ustach czuć ten odrzucający smród. Nie potrafiłam powstrzymać kaszlenia. Najgorszy jednak nie był kaszel, ale nieprzyjemne zawirowanie w głowie, jakbym wchłonęła właśnie jakąś truciznę.

– Spoko, Gośka – mówił Konrad. – Już dobrze. Poszło ci nie najgorzej – pocieszał. – Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Każdy następny będzie łatwiejszy. Sama zobaczysz.

Na myśl o następnym papierosie skrzywiło mnie na twarzy. O nie, to nie jest dobry pomysł. Zdecydowanie nie. Zakaszlałam jeszcze kilka razy. Między palcami wciąż trzymałam palący się papieros, który chciałam jak najszybciej mu oddać.

– Musisz kilka razy popróbować, aby organizm się przyzwyczaił – wyjaśnił Konrad. – Zaciągaj się słabiej, to łatwiej ci pójdzie.

– Nie chcę już – podałam mu papierosa.

– Nie, nie – odparł. – Spróbuj, serio. Teraz już będzie łatwiej. Sama zobaczysz.

Konrad, nie rób mi tego. Nie chcę już więcej. To nie jest w ogóle fajne. Patrzyłam na niego z nadzieją,

że odpuści. Nie mogłam wydusić słowa z siebie, więc pokręciłam tylko przecząco głową.

– Spróbuj, Gośka. Naprawdę, to nie jest trudne.

Wciąż trzymałam wyciągniętego papierosa w jego stronę i czekałam, kiedy go ode mnie weźmie. Nic takiego jednak nie następowało, sekundy natomiast dłużyły się jak minuty.

Wtem Konrad zrobił coś zupełnie niespodziewanego. Sięgnął ręką i dotknął mojej dłoni. Złapał ją i objął swoją dłonią, tak po prostu, spokojnie i delikatnie, jakby chciał sprawić mi tym przyjemność. Zastygłam w bezruchu.

Ups... coś się dzieje. Gośka, coś się do cholery dzieje. Czerwony alarm! On dotknął mojej dłoni. Alarm! Trzeba coś zrobić. Od dłoni ciarki lecą mi przez ramię i rozlewają się po ciele. Brrr, aż mnie coś w środku trzepło. Już prawie mam zareagować, odsunąć dłoń i zrobić cokolwiek. Tylko... tylko że ten jego dotyk, ta jego dłoń, to jest... to jest... okropnie przyjemne. To tylko zdrowy rozsądek tak głośno wrzeszczy i alarmuje, cała reszta mnie myśli zupełnie inaczej. To przecież jest Konrad, tak, tak, Konrad, ten fajny facet, facet-marzenie. Czego ja się właściwie spodziewam po wagarach z chłopakiem? Że pójdziemy do biblioteki wspólnie pouczyć się matmy? Albo, że nad stawem będziemy karmić łabędzie? No, szlag. Jasne, że nie. To nie jest jakiś film dla dzieci. To życie. Dorośnij, Gośka. Jeżeli kiedykolwiek miałaś lepszą szansę, aby dorosnąć, to jest to właśnie ten moment, ta chwila.

Konrad, wspólny papieros i dotyk. Tak właśnie zaczyna się moja dorosłość. Nie zmarnuj tego Gośka. Nie możesz tego zmarnować.

Spojrzałam mu w oczy. Przyglądał mi się ciekawie, jakby badając mnie w ten sposób i obserwując, co teraz zrobię. Nie czekałam ani chwili. Dobra, Konrad. Dla ciebie, dla dorosłości. Sięgnęłam papierosem do ust i zaciągnęłam się raz jeszcze.

Rozdział 6

Orbitowanie

Po wagarach z Konradem coś we mnie zaskoczyło. Zakręcił mnie ten facet, i to jak! Czułam się, jakby mnie ktoś włożył w rakietę i wystrzelił gdzieś w przestrzeń kosmiczną. W każdym razie unosiłam się gdzieś nad Ziemią, orbitowałam sobie, jak w błogim stanie nieważkości. Nawet mama zauważyła, że coś ze mną jest nie tak. Zapytała, czy coś mnie trapi. Wzruszyłam tylko obojętnie ramionami, bo co jej miałam powiedzieć? Że „trapi" mnie Konrad? Albo, że jej córka się zabujała? Jednak mamy mają taki dodatkowy zmysł, który okropnie trudno oszukać, bo nawet ta moja udawana obojętność nie dała jej spokoju i potem widziałam tylko, jak mnie obserwuje i niby przy okazji dopytuje o to czy tamto. Ach, te mamy.

No, ale nic. Życie toczyło się dalej. Trzeba było żyć. Siedziałam nad zadaniem domowym z matmy i mimo najszczerszych chęci, nie potrafiłam w żaden sposób go przygotować. Między iloczyny, ilorazy i pierwiastki jak zaczarowany wciskał się Konrad. Niemal słyszałam ten jego przyjemny, męski głos, którym mówił do mnie. Potem wracałam znów do obliczeń, by za chwilę znów usłyszeć Konrada. „Gośka! Chrzań tę matmę". – prawie że mówił do mnie. – „Życie to nie tylko szkoła. Po-

myśl o sobie, o mnie. Pomyśl o życiu". Głos kusił coraz bardziej. I znów te pierwiastki. Pierwiastek sześcienny ze sto dwadzieścia pięć? A kto to wie?! Iloczyn dwóch ułamków? Albo pierwiastek kwadratowy z Konrada? Iloczyn z... O ja pierdu! Czy ja pomyślałam – Konrada? Ja już chyba wariuję nad tą matmą. Konrad, niegrzeczny jesteś! Wpychasz się nawet w te nudne pierwiastki. Daj już spokój. Daj się uczyć.

W końcu zaśmiałam się z samej siebie. Kogo ja próbuję oszukać? Natury się nie oszuka. Odłożyłam zeszyt i podeszłam do okna. Dziś padało niemal cały dzień. Zegarek na ręce pokazał mi, że dochodziła siedemnasta, a to oznaczało, że do próby zespołu były jeszcze dwie godziny. Obiecałam Konradowi, że dzisiaj będę. Ba, zresztą muszę tam być, inaczej sobie nie wyobrażam. Ciekawe, co tam dzisiaj będzie? Czy będziemy mogli pogadać na osobności? Bardzo bym tego chciała. No, ale zobaczymy. Ciekawe też, czy Makary już wyzdrowiał. Niebawem wszystkiego się dowiem. To jeszcze tylko kilka chwil, jeszcze dwie długie ciągnące się jak ser na spaghetti godziny. Ech, niech ktoś przyspieszy ten czas.

Gapiłam się na padający deszcz, jak rozlewa się po osiedlowym placu zabaw. W głowie pojawiały mi się coraz większe obawy o to nadchodzące ognisko z chłopakami z zespołu. To już jutro wieczorem. Oby tata miał rację, że weekend będzie słoneczny. Oby był, oby tylko był. A co, jak nie będzie? Aaa, nie myśl dłużej o tym, Gośka. Nie gdybaj. Co będzie, to będzie.

Ech, nie mogłam się tego wszystkiego doczekać. Będę musiała się jeszcze dogadać z Anką co do szczegółów, no i rozwiązać sprawę telefonu i adresu dla rodziców. Miałam wrażenie, że problemy, zamiast się rozwiązywać, to się tylko piętrzą.

W końcu doczekałam się do próby zespołu. Uff, nareszcie. Z domu pożegnał mnie jeszcze głos mamy, o tym, abym wzięła parasol i nie wracała późno, a zaraz potem już mnie tam nie było. Szłam szybko niesiona prawie jak na skrzydłach, zwinnie omijając przy tym kałuże, a czasem dynamicznie przeskakując ponad nimi. Coś mnie niosło ponad ziemią i bynajmniej nie była to muzyka, jaką słuchałam z telefonu przez słuchawki. Konrad, idę do ciebie, prawie że lecę.

W autobusie poczułam, że ktoś lekko klepie mnie w ramię. Odwróciłam się. Przede mną stał Wiktor. Poznałam go od razu, przez tą jego charakterystyczną czarną czuprynę. Przed sobą miał postawiony pionowo futerał z gitarą. Coś do mnie mówił, lecz przez grającą muzykę w słuchawkach, widziałam tylko jak „niemo" poruszają się jego usta. Wyciągnęłam słuchawki z uszu.

– O, hej. Fajnie cię widzieć – przywitałam się.

– Cześć. Ciebie też – uścisnął mi dłoń. – Pytałem, czy jedziesz do nas na próbę.

– Aaa, tak. Jasne. Jadę.

Przyjrzałam się jego twarzy. Miała przyjemny wyraz, bił z niej taki niewyjaśniony spokój. Oczy miał

bardziej przygaszone, w nich trochę mniej było życia, a więcej jakiejś tajemnicy. Po prawej stronie przy oku zauważyłam lekkiego sińca.

– Coś ci się stało? – zapytałam, wskazując palcem w to miejsce.

Na to pytanie Wiktor się zmieszał. W każdym razie widać było, że nie spodziewał się takiego pytania.

– To nic – odparł i z zakłopotaniem nasunął na siniec kędzior włosów. – Mam taką szafkę, o którą się czasem uderzam.

– Szafkę? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak, szafkę. Zawsze o niej zapominam – machnął obojętnie dłonią. – Ale nieważne. Powiedz, co u ciebie.

Co, jak co, ale wyglądało mi na to, że chciał zmienić temat, a co najmniej od niego uciec. Przez to sprawa szafki wydała mi się mocno naciągana.

– Jest dobrze – przyznałam. – A w środę byliśmy z Konradem na wagarach.

– O, nieźle – rzekł. – Jak było?

– No, powiem ci, że bomba – rzuciłam. – Poszwędaliśmy się trochę tu i tam. Taki fajny jesienny dzień.

– Zazdroszczę. Też bym się tak poszwędał.

– Jasne. To dobre na wyluzowanie się – zauważyłam. – Polecam.

Wiktor spojrzał gdzieś w widok za oknem.

– Pewnie tak – rzekł. – Z tym że ja nie potrzebuję wyluzowania.

– A czego potrzebujesz?

Wiktor nie odpowiedział. Błądził gdzieś wzrokiem na mijane przez autobus miejsca, lecz widać było, że myślami jest gdzieś daleko. Gapiłam się tak na niego, jak się nad czymś zastanawia, jakby dotarł myślami do jakiegoś ważnego miejsca.

– Nie wiem – w końcu wzruszył ramionami. – Albo wiesz co?

– Tak?

– Chyba chciałbym umieć zapominać – westchnął.

– O, ciekawe – przyznałam. – Co masz na myśli?

– A, wiesz Gośka – machnął ręką w powietrzu. – Czasem mam wrażenie, że ta moja mózgownica – wskazał palcem na głowę – to jest jak taki worek, do którego się tylko wrzuca, a z którego nic się nie wydostaje.

– W sensie, że co? – zaciekawiłam się.

– W sensie, że za dużo pamiętam.

– Rozumiem.

– To ma i dobre i złe strony, przyznaję. Bo dobre chwile zapamiętują się na stałe, ale i te złe też się zapamiętują na stałe. Wszystkie pakują się razem do worka. I tak już zostają na zawsze.

– Hmm... – zamyśliłam się. – Chyba teraz rozumiem, czemu chcesz zapomnieć.

– To fajnie – przyznał. – Mało kto to rozumie. A ja po prostu chciałbym kiedyś wysypać ten worek, zacząć od nowa, tak normalnie się wyresetować... – urwał.

Skierował wzrok na mnie. W jego oczach pojawił się lęk. Wyglądało to tak, jakby powiedział za dużo i się wystraszył tej swojej szczerości.

– Zresztą, nieważne – rzekł, a zaraz dodał. – Już nasz przystanek. Wysiadamy.

Faktycznie, byliśmy na miejscu. Popatrzyłam w niebo. Deszcz przestał padać, tak iż nie otwierałam parasola. Gdy wysiedliśmy, powiedziałam do Wiktora:

– To by było nawet fajne, taki reset, że człowiek wybiera, co chce zapomnieć.

– A ty masz coś do zapominania? – zapytał.

Przeleciałam myślami po swojej przeszłości. Czy chciałabym o czymś zapomnieć? Na pewno by się coś znalazło. Tylko czy warto to w ogóle kasować? To wydawało się być dobre pytanie. Nagle pewna myśl wskoczyła mi do głowy, którą momentalnie zapragnęłam się z nim podzielić.

– Każdy ma – odparłam. – Jednak tak sobie myślę, że te złe wydarzenia też są potrzebne, bo ubogacają nas tak samo jak te dobre. Ze wszystkiego można się czegoś nauczyć czy doświadczyć coś, czego normalnie byśmy nigdy nie mieli możliwości przeżyć.

Nie wiem, czy dobrze czytałam Wiktora, ale widać było, że ta odpowiedź mu się nie spodobała.

– Ja tak nie myślę – wyjaśnił. – Powiedz stłuczonemu przez ojca dziecku, że będzie mogło się czegoś z tego nauczyć.

– No, w sumie... – zastanowiłam się nad tym. – To chyba zależy od tego, co się stało i jak bardzo cię boli.

– To się tak łatwo tylko mówi – westchnął. – A zresztą, ja myślę, że cierpienia nie da się porównywać. Co

tu dużo mówić. To nie ziemniaki w sklepie, że można je sobie odważyć i z kilograma zawsze wyjdzie tyle samo. Tak czuję, że tego się nie powinno nawet porównywać, bo każde z nich jest tak samo ważne.

Hmm, zaciekawił mnie tą odpowiedzią. A trzeba było przyznać, że miał w tym sporo racji. Nie spodziewałam się, że pogadam z nim w taki sposób i na taki temat. To wszystko było dla mnie nowe. Sam Wiktor wyglądał mi na kogoś interesującego, z kim chciałabym kiedyś pogadać więcej. Tak sobie myślę, że to mogłoby być ciekawe. Brakowało mi kogoś, z kim mogłabym pogadać o czymś więcej niż tylko o sprawach codziennych czy muzyce, a na pierwszy rzut oka Wiktor wyglądał na kogoś właśnie takiego.

– Dla mnie jedno, co w tym wszystkim się liczy, to zdolność radzenia sobie w trudnych sytuacjach – powiedział Wiktor. – „Nie ważne, ile razy polecisz na dechy. Ważne, abyś po każdym razie umiał wstać i się pozbierać". To taki cytat z mojej mamy.

– Masz mądrą mamę – przyznałam.

Wiktor zacisnął wargi, po czym odwrócił w bok głowę, jakby go coś w środku ugodziło. Jak się okazało, istotnie trafiłam w coś bolesnego.

– Miałem – powiedział smutno. – Mamy już nie ma... – urwał.

– O! To przykre – ja też posmutniałam. – Przepraszam, Wiktor – w jednej chwili poczułam się głupio, jakbym palnęła wielką gafę. – Przepraszam.

– W porządku. Jest dobrze. Przecież nie wiedziałaś. Skąd mogłaś wiedzieć.

Zamilkłam. To są takie sytuacje, w których nie wiadomo, co powiedzieć, aby tę drugą stronę jeszcze bardziej czymś nie dotknąć. Było to jeszcze trudniejsze, bo Wiktora prawie wcale nie znałam.

– Chodźmy – rzekł w końcu wskazując w stronę garażu, gdzie odbywały się próby.

– Właśnie, miałam już o to kiedyś pytać – rzekłam. – Powiedz mi, czyj to dom?

– Tu mieszka Makary.

– Aaa, Makary – odparłam. – Wyzdrowiał czy dalej jest chory?

– Nie wiem. Zaraz sama go o to będziesz mogła spytać.

W środku wszyscy już byli. Sebek przykręcał coś przy perkusji, gwiżdżąc przy tym pod nosem wesołą melodię. Pomachał nam tylko ręką, nie odrywając się od swego zajęcia. Konrad stroił gitarę. Kiwnął głową i uśmiechnął się do nas. Choć tak w sekrecie wam powiem, że wydawało mi się, jakby uśmiechał się tylko do mnie. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie i też puściłam mu uśmiech. Może to tylko wrażenie albo jakiś kobiecy instynkt, ale coś mi mówiło, że taka reakcja to coś więcej, niż tylko przywitanie, jakby Konrad miał dziś coś specjalnego dla mnie. Obym tylko się nie pomyliła.

Zaraz po tym Konrad odłożył sprzęt i podszedł bliżej.

– Gośka. Cześć. Świetnie cię widzieć.

– Sie ma, brachu – przywitał się Wiktor.

– Sie ma – odpowiedział Konrad.

Podczas tej próby zespołu wszyscy byli trochę inni, nieco bardziej zmobilizowani, jakby im bardzo na czymś zależało. I rzeczywiście tak było, bo co chwilę któryś z chłopaków mówił coś o zbliżającym się wielkimi krokami koncercie. W sumie to ja im się nie dziwię, bo taki pierwszy koncert dla zespołu to na pewno jest wielkie wydarzenie, po którym nigdy nie wiadomo, co dalej będzie. Pewnie też każdy z nich na swój sposób się tego obawiał. Zwykle po koncertach w Aligatorze w lokalnej prasie pojawia się recenzja z wydarzenia, gdzie redaktor opisuje wrażenia i opinie. Powiem wam szczerze, że sama obawiałabym się tego wszystkiego, gdybym była na ich miejscu. Samo wyjście na scenę, gdzie za barierkami stoi tłum ludzi, to już musi być spore przeżycie. Nigdy w takiej sytuacji nie byłam, ale chyba nie musiałam być, by móc sobie to wyobrazić. To na pewno wielka rzecz.

Siedziałam na swoim miejscu na krześle z przodu garażu i obserwowałam ich, jak grają, jak się wczuwają w muzykę i jak dbają o każdy detal. A szło im naprawdę dobrze. To będzie mega wydarzenie – ten koncert. Sama nie mogłam się tego doczekać. Będę pewnie stała tuż przy barierkach przy scenie i przeżywała z nimi każdy utwór. Na samą myśl przechodziły mnie dreszcze. Wow, niech to się już wszystko stanie.

Konrad był dziś w bardzo dobrym nastroju. Przyglądałam mu się jak gra i śpiewa i jak mówi co warto dopracować czy poprawić. Myślę, że funkcję lidera zespołu pełnił bardzo dobrze i szczerze mówiąc wśród chłopaków nie widziałam nikogo lepszego na to miejsce. Po zagraniu kolejnego utworu nastąpiła przerwa, a Konrad usiadł przy mnie.

– Co tam u ciebie? – zapytał.

– W porzo – odparłam z lekkim uśmiechem.

– Hehe, widzę, że załapałaś, o co w tym „w porzo" chodzi.

– Trochę tak.

– Palisz? – podsunął mi paczkę papierosów.

Oj, znów zapowiadały się kłopoty. Nie rób mi tego, Konrad. W głowie za to ruszyła kalkulacja, co będzie jak wezmę, a co jak nie wezmę. Choć Konrad nic na mnie nie wymuszał, to czułam się prawie jakbym była szantażowana. Nie, nie przez niego, ale przez samą siebie i przez jakieś dziwne swoje wyobrażenia o nim, o tym, co się teraz dzieje i o naszej relacji. Jak nie wezmę, to pewnie poczuje się zawiedziony. W końcu to on uczył mnie palić. Teraz pomyśli, że w jakiś sposób go odrzucam, a tego nie chciałam. Drugi głos w głowie zaczął mnie pouczać. Nie bierz tego syfu, Gośka, nie bądź głupia. Jak on jest naprawdę w porzo, to powinien uszanować to, że nie chcesz. Tylko... tylko... że ja się boję tego, że on się odsunie. To dopiero by było. Myśl, Gośka myśl. Przecież to jest bagno, nie idź w to. Za nic nie idź. Nooo,

dobra. Zdecydowałam. Niech się dzieje, co chce. Jestem silna, muszę być silna. Nie ma mowy, nie palę, nie biorę.

Chwilę potem zaciągałam się już papierosem. Wiem, wiem, co pomyślisz o mnie teraz, że wymiękłam i zrobiłam to dla niego. I pewnie będzie w tym sporo racji. Tylko że to wszystko jest cholernie trudne. To przecież był Konrad, mój fajny Konrad. Nie mogłam mu tego zrobić. Traktowałam sprawę papierosa jako tymczasową, taką na moment, na chwilę. Zawsze mogę się przecież wycofać i przestać palić. To nie jest kontrakt na całe życie.

Tym razem dym nie gryzł tak bardzo. Dalej był mocny i trochę drażniący, ale paliło się łatwiej niż za pierwszym razem. Wspólnym elementem z poprzednią próbą były te nieprzyjemne zawroty w głowie. Nogi stawały się takie miękkie, jakby z waty, a w głowie kręcił się świat. Uff, to było prawie jak rollercoaster i to taki konkretny, po którym niektórzy jeszcze przed metą dostają wymiotów. Jeżeli chodzi o mnie – ostatecznie wytrzymałam.

– O, Gosia. Palisz? – podszedł do nas Makary.

– Aaa, tak. Znaczy się... od czasu do czasu – rzekłam żartobliwie. – Powiedz lepiej jak tam zdrowie? Wyzdrowiałeś?

– Tak, jest OK. Już po wszystkim – machnął lekceważąco ręką. – Zresztą, na koncert to muszę być zdrowy. Nie ma innej opcji.

– Fajnie.

Spojrzałam w stronę Wiktora. Siedział z boku i na kolanie zapisywał coś w swoim zeszycie. Ze wszystkich chłopaków, był on najmniej rozmowny. Znałam takie osoby, z którymi „jeden na jeden" można sobie fajnie pogadać, ale jak jest więcej osób, to mało co mówią. Sama zresztą byłam podobna, choć może nie tak całkiem małomówna, ale do dusz towarzystwa na pewno nie należałam. Konrad gdzieś na chwilę poszedł, a ja w tym czasie zaczęłam przyglądać się Wiktorowi. Co on tam w tym notesie pisze? Może pisze jakiś wiersz dla kogoś? Wyglądał mi trochę na romantyka, ale nie na takiego, co się z wierszami obnosi i chwali, lecz bardziej skromnego, taki co po cichu robi swoje. A może to nie wiersz, a notatki albo wielkie życiowe plany? W jednej chwili uruchomiła mi się ciekawość. Nie, żebym była wścibska, ale ta myśl cały czas wierciła mi się w głowie. A co mi tam, pójdę i go po prostu zapytam. Zaciągnęłam się jeszcze raz papierosem i podeszłam do niego.

– Hej, Wiktor. Nie przeszkadzam?

Uniósł wzrok znad zeszytu i spojrzał na mnie. Niezdarnym gestem odgarnął kędzior czupryny:

– Nie. Siadaj – wskazał na krzesło.

– Widzę, że coś z pasją notujesz – zagadnęłam i usiadłam obok.

– Tak.

Upsss. Nie pociągnął tematu notatek, więc pewnie nie chce się ze mną tym dzielić. Może naruszam tym

jego prywatność? Nie byłam już taka pewna siebie. Nie dawałam jednak za wygraną.

– Też czasem sobie notuję, bo zdarza mi się zapominać, często zwyczajnie z roztargnienia – przypomniałam sobie co mówił w autobusie o swojej pamięci i szybko dodałam. – Pod tym kątem zazdroszczę ci twojej pamięci.

Chyba szybko zauważył moje podchody, bo powiedział tylko:

– To są moje myśli – odparł wskazując ruchem głowy na notes.

– Myśli? – zdziwiłam się.

– Tak, myśli.

– Hmm. Ciekawe.

– No wiesz. Czasem coś wpadnie do głowy, coś fajnego, to zapisuję – powiedział, a ja zauważyłam, że się trochę stremował. – Czasem wyobrażam sobie, że myśli są jak motyle, no wiesz, są piękne, kolorowe i latają nisko nad głową – wskazał palcem nad swoją czupryną. – Szkoda mi ich, aby odleciały, bo często pojawiają się tylko raz, jeden jedyny raz w życiu i odlatują. A dzięki zapisywaniu łapię je, jakbym chwytał je w siatkę i nadaję im trwałości, daję im nowe życie.

Uśmiechnęłam się, bo to porównanie momentalnie mi się spodobało. A trzeba przyznać, że było niezwykle trafne.

– Czemu się śmiejesz? – zapytał niepewnie.

– Nie śmieję się. Tylko to, co mówisz, jest fajne – wyjaśniłam. – Musisz mieć sporo myśli w głowie.

Nie odpowiedział. Zamknął tylko notes i zaczął coś sprawdzać przy swojej gitarze. Oj, chyba go czymś uraziłam. Nie wiedziałam, co dalej powiedzieć. Dziwnie się z nim rozmawia. Zaczęłam czuć się jak słoń w składzie porcelany, który ciągle musi uważać, aby czegoś nie potrącić i rozbić. Rozejrzałam się dookoła, w poszukiwaniu Konrada. Dalej go nigdzie nie było. Konrad, gdzie jesteś? Gdy zapytałam o to Sebka, powiedział, że chyba na chwilę wyszedł na zewnątrz.

Znalazłam go przed garażem, siedział na ogrodowej ławce i rozmawiał przez telefon. Gdy podeszłam bliżej, usłyszałam, że właśnie kończy rozmowę.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, gdy schował telefon.

– Tak. Musiałem przekręcić do brata.

– No to w porzo – uśmiechnęłam się.

Usiadłam obok niego na ławce. Wieczór był nawet ciepły, dookoła panował już mrok, a teren ławki i części domowego podwórza oświetlał blado reflektor zawieszony przy drzwiach pobliskiego domu. Dookoła rozpościerała się cisza, czasem tylko przerywana odgłosami szczekania psów z daleka. Było naprawdę przyjemnie. Zaciągnęłam się ostatni raz papierosem i zgasiłam niedopałek o leżący tuż obok kamień.

Tym razem Konrad nic nie mówił. Ten energiczny i rozgadany facet teraz siedział w milczeniu, jakby go ktoś pociągnięciem magicznej różdżki zaczarował. Przyglądał mi się tylko zagadkowo. Wyczułam, że coś się dzieje. On dalej się na mnie gapił, powoli przesu-

wając po mej twarzy wzrokiem, który w tych okolicznościach działał prawie jak dotyk. Naprawdę czułam, jakby mnie po twarzy dotykał palcami. Z jednej strony to było bardzo przyjemne, z drugiej onieśmielało mnie zupełnie. Wszystkie dotychczasowe syreny i alarmy, które tak głośno we mnie w takiej sytuacji wyły, teraz nie wydały nawet piknięcia, żadnego odgłosu, zupełnie jakby mnie z nich wszystkich spacyfikował. Czułam się bezbronna.

Chciałam coś powiedzieć, bardziej, aby zbadać, co w nim teraz siedzi, niż aby zatrzymywać ten cały proces. Zresztą we mnie też coś się działo. Nie wiem co dokładnie to było, ale odbierało mi jakąkolwiek uważność i koncentrację. W końcu cicho zapytałam:

– Konrad?

– Tak?

– Coś się dzieje?

– Nie – rzekł spokojnie.

– To czemu nic nie mówisz?

– Patrzę na ciebie – powiedział zupełnie naturalnie, jakby to było takie naturalne. A wierzcie mi, że za nic nie było.

Myśl Gośka, co tu powiedzieć, myśl, co zrobić. Nie potrafiłam się w tej sytuacji odnaleźć. To było coś nowego, czego nie umiałam instynktem wybadać, jakby mi ktoś ten instynkt mocno zagłuszał. Gapiłam się tylko na niego, prawie tak samo, jak on na mnie. Niecierpliwie i z wielką ciekawością czekałam, co będzie dalej.

– Wiesz... – powiedział cicho.

– Tak?

– Czasem fajnie jest posiedzieć w ciszy, tak wspólnie się przymknąć, nic nie mówić i tylko patrzeć.

– Mhmm – przytaknęłam.

– To taka zasada, że gdy się wyłącza jakiś zmysł, to wtedy wyostrzają się pozostałe.

– O, nie wiedziałam.

– To znaczy, że im więcej zmysłów wyłączysz, tym pozostałe są bardziej czułe.

Wyciągnął rękę w stronę mojej twarzy, a następnie wziął w palce kosmyk moich włosów i założył mi go za ucho. Wow. Aż mnie w środku coś ścisnęło! O, mega! To dopiero było! Serce zabiło mi mocniej. Już otwierałam usta, by coś powiedzieć, gdy uprzedził mnie on.

– Ccciiiii – powiedział, przykładając palec do swoich ust. – Nic nie mów.

Po tym wyciągnął dłoń i delikatnie palcami zamknął mi oczy. Przejechał tylko opuszkami przy powiekach i zamknęłam oczy.

– Pamiętaj – znów szepnął. – Im mniej zmysłów działa, tym mocniej czujesz.

Ja pierdu...! Co tu się dzieje! Gośka, tylko nie wymiękaj! Błagam cię. Nie wymiękaj! Siedzę tak przy nim z zamkniętymi oczami i czekam, co będzie dalej. Czuję się... czuję... O, jjjjaaaa, już sama nie wiem, co czuję. Tego się nawet nie da opisać. Dobra, dwa uczucia: niepewność i ekscytacja. Tyle. Koniec. Wszystko

przeplatane szybkim waleniem serca. Co się stanie? Co będzie dalej. Jesteś tu Konrad? Mów, co robisz? Powiedz. Jesteś...?

Wtem czuję... Tak, dzieje się. Teraz. Gośka, dzieje się! Czuję, jak jego usta dotykają moich. Wow, Konrad!!! Na dłoni znów czuję jego dotyk, a usta się lekko poruszają. Odwzajemniam się tym samym. Konrad... Świat eksploduje. Eksplozje!

– Konrad! – wtem od strony garażu dochodzi nas głos Makarego. – Gdzie jesteś?! Koniec przerwy. Czasu nie ma! Gramy dalej.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam twarz Konrada. Był przy mnie, blisko, tak blisko, jak nigdy dotąd. Z tej odległości jego oczy były jeszcze piękniejsze. Konrad, jesteś mega! To jest właśnie on, Konrad, mój facet.

Wracałam do domu jakbym była zahipnotyzowana. Już nic innego się nie liczyło, ani rodzice, ani późna godzina, ani nic. Nie patrzyłam nawet na zegarek, tak sobie po prostu szłam powoli chodnikiem. Znów się unosiłam, orbitowałam gdzieś w przestrzeni kosmosu. Niby był wieczór, niby szłam na autobus, a myślami byłam daleko stąd, w głowie przemierzałam nieznane dotąd galaktyki.

Nie wiem ile czasu czekałam na autobus, czy trzy minuty czy trzydzieści. To wszystko nie było ważne. W końcu wsiadłam, gdy nadjechał autobus i zajęłam miejsce przy oknie. Gapiąc się przez szybę na mijane dzielnice, sięgnęłam do ust i dotknęłam opuszkami

warg. Konrad wciąż na nich był, jakby zostawił na nich kawałek siebie. Miałam go teraz wszędzie, i na ustach i w głowie i niemal przed oczami.

Rozdział 7

Helikoptery

W sobotę zwykle najwięcej mam zajęć w domu. Głównie chodzi o nudne sprawy porządkowe czyli sprzątanie. Nie inaczej było tym razem, bo od samego rana mama przygotowała mi listę zadań do zrobienia. Normalnie to staram się negocjować, spychać część zadań z listy jak się da na tatę czy nawet na Oskara. Potem czasem zdarza mi się marudzić, że to jest trudne, a do tamtego potrzebować będę pomocy, tak, by sobie porządki ułatwić. Tym razem, gdy mama podała mi listę, przebiegłam ją szybko wzrokiem i rzekłam:

– Dzięki, mamo. Już się biorę.

Popatrzyła na mnie zagadkowym spojrzeniem, jakbym zrobiła coś zupełnie nie w porządku. Ja za to od razu wzięłam się za ścieranie kurzy z mebli.

Mama dalej stała w miejscu i przez krótką chwilę nic nie mówiła. Nie odwracałam się do niej, ale prawie że czułam na plecach jej wzrok.

– Gośka!

– No? – zapytałam.

– Czy ty coś przypadkiem nie przeskrobałaś?

– Nie – wzruszyłam ramionami. – A co?

– A nic – powiedziała już bardziej z uśmiechem, a zaraz dodała. – Przyznaj się. Co nabroiłaś?

– No, mówię ci, że nic – też się zaśmiałam.

I tak to ze mną tej soboty było. Robiłam porządki, sprzątałam, myłam okna, odkurzałam, jednocześnie nucąc sobie pod nosem ulubione utwory. To był dopiero dzień. W środku natomiast niemal rozsadzała mnie nieznana dotąd energia. Działałam jak na jakimś turbo-dopalaniu, zupełnie jakbym była postacią w grze, której ktoś właśnie włączył ekstra-moce. Jakkolwiek by nie było, coś nosiło mnie i rozpierało niemal od środka.

Nie mogłam doczekać się wieczora i imprezy z ogniskiem. To dopiero będzie wydarzenie – moja pierwsza duża impreza. Szczęśliwie tata miał rację, bo pogoda za oknem od samego rana była wręcz bajkowa – słońce, ciepło i czyste, błękitne niebo, prawie jak w lecie. No, tego było mi trzeba. Wszystko zaczynało się układać. Jeszcze tylko tę sprawę adresu i numeru telefonu dla rodziców załatwię i będzie całkiem super. Ale na to miałam już pewien pomysł. Na kartce zapisałam prawdziwy adres domu Makarego, a obok dodałam telefon do Zuzy. Chociaż połowicznie ich nie okłamałam. Wreszcie podałam kartkę mamie i niepewnie czekałam, czy coś powie.

– Dzięki – mama spojrzała na kartkę – Ale zapomniałaś napisać nazwisko. Jak się ci państwo nazywają?

O, to mnie mama zaskoczyła! Nie przewidziałam tego. Jak Makary ma na nazwisko? Zlękłam się, że już

na starcie coś pójdzie nie tak. Z braku innych pomysłów rzuciłam pierwszą nazwę, jaka przyszła mi do głowy:

– Makarowie – rzekłam. – Państwo Makarowie.

– Aha. Dobra – powiedziała mama, po tym wzięła długopis i dopisała na kartce, powtarzając na głos nazwę. – Państwo Makarowie.

No to kolejna sprawa z głowy. Odetchnęłam. Ze wszystkiego został mi jeszcze telefon do Anki, aby się umówić, gdzie się spotkamy, by wspólnie dotrzeć na miejsce. Pomyślałam, że lepiej będzie, abym nie dzwoniła do Anki z domu, bo jeszcze coś niechcący wygadam, a w mieszkaniu ściany mają uszy. Lepiej dmuchać na zimne. Postanowiłam zadzwonić do Anki, gdy wyjdę na małe zakupy.

Gdy kończyłam domowe porządki, do mojego pokoju wszedł tata. Ja nie wiem, czy on ma jakiś dodatkowy zmysł, wyczuwający, co mam w głowie, czy to tylko przypadek, bo zapytał wprost:

– Ten Konrad... – zaczął.

– Tak? – zapytałam niepewnie.

– Ten Konrad, to kto to właściwie jest?

O, zdaje się, że radar taty właśnie wyczuł, że coś się dziś kroi. No, bo skąd by tak znikąd nagle pytał o Konrada?

– No, mówiłam, że kolega – odpowiedziałam.

– Tak, to wiem, że kolega ze szkoły. Ale powiedz coś więcej – wyjaśnił. – No, pochwal się, Gośka – dodał bardziej serdecznie.

– A, co ja ci mogę powiedzieć? – wzruszyłam ramionami. – W porządku jest.

– Tylko tyle? – ojciec trochę się zdziwił. – W porządku i tyle?

– No, tatoooo – odparłam. – To po prostu zwykły, miły chłopak. Aaaa – pstryknęłam palcami – Lubi tą samą muzykę, co ja słucham.

– To znaczy, te twoje szarpidruty?

Uśmiechnęłam się na ten jego zwrot i od razu odpowiedziałam:

– Tak, te moje szarpidruty.

– Aaach, wy młodzi – westchnął, kręcąc głową. – Ja za tą waszą muzyką po prostu nie nadążam. Kto to widział, słuchać takich głośnych krzyków.

Spojrzałam na tatę z lekkim politowaniem. Rozbawił mnie tym stwierdzeniem. Ja ci dam szarpidruty, tata! Machnęłam beztrosko ręką.

– Nie przejmuj się, tato. Ja też twojej muzyki nie trawię – zaśmiałam się.

– Której? – odpalił od razu.

– No choćby ten brodaty w kapeluszu, co śpiewa o jakimś „rym cim cim".

– Który? – odparł bardziej niepewnie.

– Ten, co go tak głośno czasem puszczasz. No wiesz, „rym cim cim" – powtórzyłam wesoło.

Zobaczyłam, jak ojciec zaczyna się czerwienić. Nabrał w płuca powietrza, jakby miał dmuchać balon. Widać było, że „rym cim cim" go mocno trafiło.

– Dobra. Koniec rozmowy. Idę stąd – rzucił tylko i już go w pokoju nie było.

Po załatwieniu porządków i zakupów miałam trochę czasu dla siebie. Przygotowałam wszystko do wieczornego wyjścia: ubranie, plecak i kilka drobiazgów. Nie mogłam się już doczekać ogniska. Ciekawe kto jeszcze przyjdzie. Mam nadzieję, że „tłumu" nie będzie, bo zdecydowanie wolałam, jak jest mniej osób. Z Anką umówiłam się na przystanku autobusowym, skąd miałyśmy razem pojechać na imprezę.

Tuż przed wyjściem z domu spojrzałam po raz nie wiadomo już który przez okno, aby sprawdzić, czy nie zbiera się na deszcz. Było w porządku. Ubrałam się, założyłam buty i już miałam wychodzić, gdy z kuchni doszedł mnie głos mamy:

– Gośka! Chodź tu. Podejdź!

Oj, czy to oznaczało jakieś kłopoty? Trudno powiedzieć. Oby wszystko było w porządku.

– Tak? – zapytałam, podchodząc niepewnie do drzwi kuchni.

Mama podeszła do mnie i podała mi jakieś zawiniątko w przezroczystej torebce.

– Masz – rzekła tylko.

Zdziwiłam się nieco.

– Co to? – wskazałam na torebkę.

– Idziesz na ognisko, tak?

– Tak – przytaknęłam ruchem głowy.

– To chyba coś się tam na ogniu piecze – uśmiechnęła się. – To kiełbasa. Zapakowałam ci też chleb. Tu-

taj osobno obok masz coś ekstra, znaczy się, ciasto śliwkowe – wskazała palcem na torebkę. – Będziesz mogła poczęstować kogoś.

– Wow, bomba – aż westchnęłam ze zdziwienia. Podeszłam bliżej do mamy, objęłam ją i przytuliłam. – Dzięki, mamo. Ty zawsze myślisz o wszystkim.

Na przystanku autobusowym czekała Anka. Gdy mnie tylko wypatrzyła, zaczęła machać do mnie ręką.

– Siemka – przywitałam się.

– Hej, Gośka. Dobrze, że jesteś – odpowiedziała. – Już myślałam, że cię będę musiała dziś wystawić. Dasz wiarę?

– Oo! W sensie, że co? – zdziwiłam się.

– W sensie, że mój ojciec znowu dał popis. Zresztą, łatwiej jest wyliczyć, kiedy popisu nie daje niż daje. Ale mniejsza o to – machnęła ręką. – Słuchaj. Teraz, jak on się zdoi, to zaczyna być agresywny.

– To przykre – smutno westchnęłam.

– Tak, cholernie przykre – przyznała. – I wyobraź sobie, że teraz przed wyjściem też się stawiał. Że niby „gdzie idę?", że „mam zostać w domu" i że „on mi dopiero pokaże". No wiesz, taki pijacki bełkot. Normalnie, ja już nie daję z nim rady. Ledwo co wyszłam z domu. Teraz mama się z nim będzie męczyć. Ehhh... Zawsze jakieś ekscesy. Powiedz lepiej, co u ciebie?

– A, spoko. Leci. Nie wiem, Anka, jak mogę ci pomóc. Wyrazy współczucia – rzekłam.

– A zostawmy to. Grunt, że się udało i że jedziemy na imprę. O tym myśl.

I faktycznie o tym myślałam, bo temat ogniska i spotkania z Konradem nie schodził z mych myśli. Byłam nim wypełniona po brzegi, że aż się ze mnie wylewało. Im bliżej byłyśmy domu Makarego, tym bardziej się ekscytowałam. Anka trochę się wlekła, idąc powoli, a ja z kolei przyspieszałam kroku, aby ją trochę ponaglić. Ta znów co chwilę mówiła:

– Zwolnij, Gośka. Gdzie tak gonisz?!

Kulminacja nastąpiła, gdy weszłyśmy na teren posesji. Przy furtce wejściowej przywitał nas Makary. Łypał ciekawsko na nas tymi swoimi wesołymi oczami, ale najbardziej to gapił się na Ankę. Mi wreszcie zaskoczyło, że oni się jeszcze nie poznali.

– Aaa, sorry. Przecież wy się nie znacie. Wybaczcie. Anka, to Makary. Makary, to Anka.

– Serwus – rzucił Makary.

Zaraz potem poinstruował nas, gdzie odbędzie się ognisko:

– Pójdziecie tam za dom, okrążycie go tutaj z prawej i za nim jest taka duża łąka. To idziecie cały czas prosto ścieżką, aż zobaczycie z daleka ogień. Tam właśnie się rozbiliśmy. Nie sposób nie trafić. Kilka osób już jest. Ja też tam zaraz przyjdę.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, faktycznie było tam kilka osób. Ognisko nie było takie duże, jak sobie wyobrażałam, ale może to i dobrze. Zobaczymy. Dookoła paleniska rozmieszczone były ławy, wykonane

z drzewnych kłód. Z tyłu natomiast znajdował się stół, na którym rozłożone były przeróżne towary. Z boku o jedną z ław oparte były dwie gitary akustyczne. Zapowiadało się całkiem fajnie.

Przebiegłam wzrokiem po ludziach. Oprócz członków zespołu były jakieś dwie dziewczyny, na pierwszy rzut oka – bliźniaczki, i jak się potem okazało, nie było to jedynie pierwsze wrażenie. Nie tylko z wyglądu były podobne, ale nawet mówiły niemal w ten sam sposób. Trochę śmiesznie to wyglądało, ale nic nie komentowałam. Przywitałam się, Anka zrobiła to samo. Poznawałyśmy kolejne osoby, podchodziłyśmy do nich i zamieniałyśmy kilka zdań, trochę uśmiechów, czasem naturalnych a czasem sztucznych, jak z kimś trudniej było złapać pierwszy kontakt, ale to w niczym nie przeszkadzało. Cały czas rozglądałam się za Konradem, lecz jak na złość, nigdzie go nie było.

Usiadłam na jednej z ław. Czułam się trochę zmęczona. Te wszystkie dzisiejsze porządki i ta rozpierająca energia w ciągu dnia trochę mnie wykończyły. Dopiero teraz, gdy nie miałam do roboty nic więcej, gdy mogłam zwyczajnie usiąść i odetchnąć, poczułam w ciele zmęczenie. Ufff, wreszcie wolne, można się wyluzować. W obecnym stanie nawet nie chciało mi się za bardzo gadać i poznawać ludzi, pasowało mi tak po prostu siedzieć.

Uniosłam w górę głowę. Niebo ciemniało z minuty na minutę, wychodziły też nieśmiało gwiazdy. Zmrużyłam lekko oczy i tak gapiłam się w niebo. Powietrze

było przyjemnie chłodne, wciągałam je powoli przez nos, czując przy tym, jak orzeźwiająco wypełnia mnie od środka. Z każdą kolejną chwilą wlewało się we mnie odprężenie. To trochę tak jakby nagromadzone zmęczenie było ciężkim, starym płaszczem, który ciążył na ramionach, a który teraz powoli zsuwał się ze mnie. Wtem niespodziewanie ktoś z tyłu zasłonił mi dłońmi oczy.

– Zgadnij kto? – powiedział głos.

Ooo, co za niespodzianka! Sięgnęłam rękami do twarzy i tych dłoni. Znałam te dłonie i znałam ten dotyk. A nawet nie musiałam ich znać, bo zdradzał go już sam ton głosu. Na mej twarzy niemal automatycznie pojawił się uśmiech.

– Konrad – powiedziałam cicho.

Odsłonił mi oczy. Przeskoczył przez ławę i usiadł obok.

– Zgadłaś – szturchnął mnie serdecznie łokciem. – Fajnie, że jesteś.

I tak to się wszystko zaczęło. W międzyczasie przyszło jeszcze kilka osób, ludzie się poznawali, rozmawiali i śmiali się, że aż w powietrzu unosił się już gwar. Myślałam, że pogadam sobie z Konradem, ale zaraz po tym, jak przyszedł, ktoś go porwał do rozmowy. Dobra, Gośka, poczekamy. Mamy przed sobą prawie całą noc. Obserwowałam, jak rozmawia ze znajomym, coś tam szeroko gestykuluje, jakby pokazywał w powietrzu jakieś plany czy szkice. To akurat nie było ważne. Dalej siedziałam w tym samym miejscu i czekałam na to, co będzie dalej.

Po drugiej stronie ogniska wypatrzyłam Ankę, jak gada wesoło z jakimiś chłopakami. No, ta to ma zdolności, zazdroszczę jej. Ledwo przyszła, a już poznaje tyle osób, ile ja poznaję w miesiąc. W każdym razie w towarzystwie zawsze czuła się jak ryba w wodzie, to po prostu był jej klimat. Gdy tak patrzyłam, z jaką swobodą robi to wszystko, przyszło mi na myśl, że jednak nie, nie chciałabym być taka jak ona. Może i ma łatwiej, ale to nic nie znaczy, nie każdy musi się szybko odnajdywać w grupie. Ja bardziej wolę kontakt „jeden na jeden", gdzie można się skupić i rozmawiać, patrząc tej drugiej stronie w oczy, bez przekrzykiwania innych osób i bez walki o uwagę. To mi wyglądało bardziej na jakieś siłowe zawody niż na rozmowę.

Kątem oka zauważyłam, że Konrad skończył rozmawiać. Już się podnosiłam, by do niego iść, gdy podeszły do niego jakieś dwie dziewczyny. Usłyszałam tylko, jak głośno woła „O, Klaudia! Sie ma Ewa!" i zaczyna coś z nimi gadać. Dobra, ostatecznie to nie mam go dla siebie na wyłączność, jeżeli chodzi o rozmowy, niech sobie ludzie gadają. Przecież to jest impreza.

Ognisko robiło fajny klimat. Było już całkiem ciemno i ogień był jedynym źródłem światła. Z jednej strony to bardzo fajne i nastrojowe, ale z drugiej ograniczało widzenie, że już kilka metrów dalej nie było widać, kto jest kto. Było też coś, co jeszcze bardziej przykuło moją uwagę – stół za ogniskiem. Co chwilę ktoś do niego podchodził i czasem coś stamtąd zabierał, a czasem nawet i dokładał. Zauważyłam, że jest

tam nawet piwo i to wcale nie w małej ilości. To ono cieszyło się największą popularnością wśród imprezowiczów. Ludzie sięgali do zgrzewek i się częstowali. Trochę mnie to wszystko zaskoczyło. Konrad też pociągał piwo z puszki.

Czego ja się właściwie spodziewałam po takim ognisku? Przecież w większości to są już dorośli ludzie. No dobra, chcą, to niech piją, ich sprawa. Siedziałam dalej w tym samym miejscu i czekałam, kiedy Konrad skończy z tamtymi dziewczynami. Mijały kolejne minuty, ludzie stawali się coraz głośniejsi. Gadali na przeróżne tematy. Najczęściej słyszałam, jak mówili o zbliżającym się koncercie „No Hope Revolution", albo jak ktoś opisywał przeżytą historię, czy po prostu opowiadał dowcip. Czasem ktoś przechodził obok i wymienialiśmy uśmiechy, ktoś pomachał ręką czy kiwnął głową. Jedną z takich osób był Sebek.

– Jak tam, Gośka? Jak się żyje? – zapytał.

Usiadł obok. Jego duży kolczyk w uchu połyskiwał w świetle ogniska.

– No, żyje się. Dzięki – wzruszyłam ramionami.

– Nie wyglądasz na zadowoloną – zauważył. – Na pewno jest OK?

– Tak, w porzo.

– Jakbyś coś potrzebowała, to śmiało mów. OK?

– Jasne. Dzięki.

Pociągnął z puszki piwo, po czym pokazał mi znak kciukiem, że jest w porządku. Zaraz potem już go nie było. Poszedł dorzucić drzewo do ogniska.

W tym samym czasie rozległ się dźwięk gitary. W powietrzu unosiła się znana mi melodia, lecz w tamtej chwili nie potrafiłam przypomnieć sobie, czyj to dokładnie był utwór. Spojrzałam w stronę Konrada, by sprawdzić, czy skończył gadać z dziewczynami. Niestety, już go w tamtym miejscu nie było. Zaczęłam się rozglądać.

Konrad? Gdzie jesteś? Znajdziesz dla mnie chwilę? Rozglądałam się dalej, gdzie on może być. Konrad. No nie, nigdzie cię nie ma. Gdzie się podziałeś? Aż w końcu go wypatrzyłam. Siedział z tyłu ogniska, a obok niego siedziała Anka. Trzymali w rękach gitary i razem grali. Ha, no widzisz Anka. Masz wreszcie gitarę i możliwość grania. To fajnie, pograjcie sobie. Bawcie się dobrze.

A trzeba było przyznać, że wychodziło im to bardzo fajnie. Anka prowadziła melodię, a Konrad dogrywał partie solowe. Ludzie czasem podchwytywali te dźwięki i sobie nucili, byli i tacy, co kołysali się w rytm muzyki. Robił się klimat.

Po tym utworze zagrali kolejny utwór, bardziej znany, podczas którego wiele osób zaczęło śpiewać. Ludziom się podobało, a jakaś para nawet zaczęła tańczyć, kołysząc się razem trochę dalej z boku. Po tym utworze Konrad i Anka zagrali jeszcze jeden, a po nim jeszcze jeden.

Gdy wreszcie skończyli, ucieszyłam się. No, Konrad! Teraz jesteś mój. Już cię nie puszczę. Szybko wstałam i udałam się w jego stronę. Ludzie zaczęli

wołać, żeby zagrali coś jeszcze, rzucali kolejne propozycje piosenek do zagrania:

– Zagrajcie „Balladę o Józku K”!

– Nie! Zagrajcie „Nocne łzy”! To musi być.

– A lipa. Dajcie lepiej coś z Magamonersów!

Już prawie byłam przy Konradzie. Już niemal chciałam do niego coś powiedzieć, gdy usłyszałam, jak znów zaczynają grać. No nie, znowu?! Oj, to przestawało być fajne. Wróciłam na swoje miejsce i z rezygnacją usiadłam. Zegarek na ręce pokazał mi, że dochodziła dwudziesta druga, a to oznaczało, że jeżeli chciałam być na czas w domu, to za pół godziny musiałam stąd iść. Ufff, no dobra. Poczekam ten jeden utwór. Tyle wytrzymam. Niech będzie.

Ludzie stawali się coraz bardziej hałaśliwi. Znów śpiewali, niektórzy to nawet na całe gardła, widać było, że chyba za dużo wypili. No, powiem wam, że całościowo nie umiałam się tam odnaleźć. Trochę inaczej sobie to wyobrażałam, że będzie fajnie, że będziemy gadać z Konradem i że nie będę ciągle siedzieć w tym samym miejscu jak kołek i gapić się, jak wszyscy dobrze się bawią.

Wtem gitary przestały grać. Wstałam i znów podeszłam do Konrada. Odkładał właśnie instrument. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się i kiwnął do mnie głową. No, bomba. Wreszcie.

– Hej, Gośka. Jak się bawisz?

Hmm? No, jak się bawię? A, zgadnij. Czekałam na ciebie tak długo. A ty byłeś wciąż zajęty. No, dobra. Ale tego ci nie powiem. Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Jest fajnie – odparłam. – Cieszę się, że jesteś.

Niezadowolenie zaczęło schodzić ze mnie, a w jego miejsce znów witał spokój. Chciałam mu powiedzieć, że chciałabym razem gdzieś usiąść, że mam mało czasu i niedługo będę musiała się zrywać, gdy nagle z lewej strony rozległ się jakiś krzyk.

– Konrad! Konrad!!! – piszczała jakaś dziewczyna. – Ja nie mogę!

Odwróciłam się w jej stronę. To była jedna z najgłośniejszych imprezowiczek, która zwróciła moją uwagę już jakiś czas temu. Teraz podchodziła do nas. Nie trzeba było się nawet przyglądać, by zauważyć, że była nieźle wstawiona. Podeszła do nas i zaczęła coś emocjonująco piszczeć:

– Ja nie mogę! Konrad. Ale ty super grasz! Przecież to jest zajebioza.

Puściłam w jej stronę ostre spojrzenie, którego nawet nie zauważyła. Odbiło się tylko od niej, jakby miała na sobie niewidzialny pancerz. Ale to nie było najgorsze. Najgorsze było to, że Konrad zaczął z tą dziewczyną gadać! No, nie. Nie wytrzymam!

Staliśmy tak w trójkę, Konrad, ja i ta piszczałka. Patrzałam na niego, próbując trzymać fason, ale cała ja w środku niemal, że krzyczała. Konrad! Tutaj jestem. Nie widzisz mnie? Spójrz chociaż na mnie. Halo. Tutaj! To ja, Gośka! Twoja Gośka!

Po kilku minutach poczułam się, jakbym była przezroczysta, zupełnie niewidoczna, jakby mnie tam wcale nie było. Po następnej minucie sobie odpuściłam...

Odeszłam na swoje miejsce, słysząc za plecami jeszcze ten wstrętny pisk, a co gorsza śmiech Konrada. Usiadłam zrezygnowana. Spojrzałam raz jeszcze w ich stronę, jak się dobrze bawią. Konrad! Przecież ty nawet nie zauważyłeś, że odeszłam. Mnie już nie ma. Rozumiesz?! Mnie tu nie ma! Nie widzisz mnie. A niech to szlag. Gówno!

Dobra, to chyba już po imprezie, nie? Koniec. To by było na tyle. Zegarek pokazał, że mam piętnaście minut do wyjścia. Wstałam wreszcie, aby się trochę przejść. Odeszłam od ogniska i wlokąc się powoli poszłam gdzieś dalej w łąkę. Obojętne mi było, gdzie idę. Chciałam stamtąd odejść, byle jak najdalej.

Coś się stało, Gośka. Nie udawaj, że nie. Siebie samą możesz okłamywać, ale faktów nie oszukasz. Coś tam w środku trzasnęło, nie? Z czym ty chcesz się mierzyć? No sama powiedz. Przecież Konrad to jest jak wystawny, kolorowy paw, a ty to tylko taki mały szary wróbelek przy nim, taki tyci tyci, że prawie wcale. Z czym do ludzi, Gośka?! Szary, cholerny wróbelek. Tak, to ja.

Dochodziłam chyba do jakiejś rzeki, bo słychać było cichy szum wody. Zrobiłam jeszcze kilka kroków. I faktycznie był tam jakiś strumyk, to nawet nie była rzeka. Resztki świateł dochodzące tu z ogniska połyskiwały w nurcie płynącej wody. Z prawej strony zobaczyłam, że na brzegu strumienia siedzi jakaś postać. Oj, trzeba się zwijać. Nie wiadomo kto to i co

to za ciemny typ. Obleciał mnie strach. Odwróciłam się, by niezauważona odejść tak, jak tu przyszłam. Rzucając ostatnie spojrzenie na kontur tamtej osoby, moją uwagę przykuła charakterystyczna czupryna. Nie, w tym wypadku nie mogłam się mylić. To chyba nie był ciemny typ. Zrobiłam kilka kroków w jego stronę.

– Wiktor? – zapytałam niepewnie.

– Tak, to ja – powiedział. – Cześć.

Podeszłam bliżej. Siedział po turecku na trawie, a obok leżał ten jego słynny notes. Zrobiłam jeszcze kilka kroków i nie pytając nawet o zgodę, usiadłam przy nim. Nie zwrócił na mnie większej uwagi, gapił się gdzieś na drugą stronę strumienia, jakby się nad czymś mocno zastanawiał.

– Przeszkadzam? – zapytałam.

– Nie. Skąd.

– Widzę, że urwałeś się z imprezy – zauważyłam.

– A ja widzę, że nie ja jeden – odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– No, zgadza się. Chciałam się trochę przejść.

– Spoko.

– Nigdy tutaj nie byłam – wyjaśniłam.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. W pobliskich szuwarach cykały jakieś owady, zaczął powiewać lekki wiatr i było nawet nie najgorzej. Po kilku godzinach spędzonych na imprezie taka odskocznia siedzenia w ciszy zaczynała być nawet fajna.

– Nie ma dla ciebie czasu, co? – zapytał Wiktor.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Kto? – rzuciłam od razu.

– No, Konrad.

Upsss. Coś mi się zdaje, że Wiktor zauważa o wiele więcej od reszty, a przynajmniej był pierwszą osobą, która spostrzegła, że Konrad nie ma dla mnie czasu. Coś mi podpowiadało, że on wie znacznie więcej, niż mogę przypuszczać, bo skąd niby by wiedział, że chciałam spędzić czas z Konradem.

– Aż tak to widać? – zapytałam smutno.

– Aż tak, to może nie – odpowiedział. – Ale widać. Przykro mi.

Nie wiem, czy to był dobry moment na to, ale poczułam się miło. Sama nie byłam pewna, skąd to uczucie. Choć, nie! Wiem. Już wiem, czemu mi miło. Wreszcie poczułam się zauważona. Tak. Ktoś w końcu mnie zauważył. Tylko to takie dziwne, bo nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy po prostu płakać.

– Dzięki, Wiktor.

– To zawsze boli, gdy ktoś nie zauważa tego, co faktycznie jest ważne – rzekł – a goni za tym, co jest bez znaczenia.

– To prawda – przyznałam. – Konrad zawsze taki jest?

– Sorry, Gośka. Nie chcę gadać o Konradzie – oznajmił.

– Jasne. Rozumiem – odparłam spokojnie, choć muszę przyznać, że poczułam się, jakbym złapała za coś, za co nie powinnam łapać, tak trochę jakbym chcia-

ła podnieść gorącą szklankę, parząc się przy tym od razu. Było mi trochę głupio.

– Ale wiesz – powiedział – myślę, że czasem ludzie potrzebują innych ludzi nie dlatego, że są ważni, ale dlatego, że są im potrzebni.

– Potrzebni do czego?

– Do realizacji własnych celów.

– Jak to? – zaciekawiłam się.

– No wiesz, że są dla nich jak narzędzia dla mechanika, jak kleszcze, młotek i tak dalej. Jak jest im potrzebny młotek, to sięgają po niego, a jak kleszcze, to sięgają po kleszcze. A potem odkładają je na miejsce do czasu, gdy znów są im potrzebne. Nigdy nie używają wszystkich narzędzi naraz, lecz sięgają tylko wtedy, gdy są potrzebne.

– Aha – zamyśliłam się przez chwilę, a zaraz potem do mnie dotarło – Ale, zaraz... Czy ty chcesz powiedzieć, że ja jestem takim narzędziem? Tylko że dziś tak po prostu... – urwałam – po prostu... nie byłam potrzebna?

Ostatnie słowa niełatwo przechodziły mi przez gardło. Bardzo trudno było mi je wymówić, a jeszcze trudniej przyjąć i zrozumieć.

Wiktor spojrzał na mnie, a ja popatrzyłam na niego. Zapanowała cisza, ale nie była to cisza krępująca. To był inny jej rodzaj. To taka cisza, w której dzieje się więcej, niż powiedziałyby słowa. To ona była odpowiedzią na moje pytanie. To było tak, jakby Wiktor powiedział: „Przykro mi, Gośka, ale tak, masz rację. Dziś byłaś mu

niepotrzebna". W tej ciszy było jednak coś więcej, było tam współczucie zapisane w oczach Wiktora.

W tej chwili, gdy to wszystko do mnie dotarło, znów poczułam się źle, chyba jeszcze gorzej, niż wtedy przy ognisku, gdy Konrad nie miał dla mnie czasu. Ale czy to naprawdę możliwe? Czy Konrad taki jest? Nie potrafiłam osadzić tej myśli w głowie. Coś ją ciągle z powrotem wywalało na zewnątrz, jakby zupełnie tam nie pasowała. To było dziwne.

– A ty? Czemu urwałeś się z imprezy? – zapytałam.

– A jakoś tak. Chciałem posiedzieć trochę sam.

– O, czyli, że ci przeszkodziłam? Przepraszam.

– Nie, spoko. Nie o to chodzi – zaprzeczył.

– A o co?

– O to, że mam dużo myśli w głowie – wskazał na swoją czuprynę – i potrzebuję czasem pobyć sam z nimi. Zresztą, pamiętasz? Na ostatniej próbie to zauważyłaś.

– Ja? Nie pamiętam – zdziwiłam się.

– Tak. Powiedziałaś, że muszę mieć tu sporo myśli. To było wtedy, gdy mówiłem o motylach.

– Aaa, tak. Teraz sobie przypominam – odparłam. – Ale ja myślałam, że cię to moje stwierdzenie uraziło, bo nic wtedy nie odpowiedziałeś.

– Nie, bądź pewna, że nie uraziło.

– To czemu nie odpowiedziałeś?

Na te słowa Wiktor zastanowił się. Nawet w tym sporym mroku nocy potrafiłam bezbłędnie zauważyć, że trochę posmutniał.

– Chyba wtedy nie chciało mi się o tym gadać – wzruszył ramionami. – Dokładnie nie pamiętam.

Odwrócił ode mnie głowę i znów wpatrywał się gdzieś w dal po drugiej stronie strumienia. Hmm... dziwny facet. A może faktycznie nie powinnam naciskać? Sama nie wiem. Przez chwilę nic nie gadaliśmy, że na pierwszym planie słychać było tylko cykanie owadów.

– Popatrz, coś w tym wszystkim jest – przerwałam ciszę. – Ty wyczytałeś we mnie, że nie umiem doczekać się na Konrada, a ja w tobie, że masz wiele myśli w głowie. Fajnie, nie?

– Tak, nieźle – przyznał.

– Ha, widzisz, jak to jest. To ciekawe. Zresztą, życie tak czasem zaskakuje, że normalnie nie ogarniam.

– Też tak mam. I wiesz co...? – zapytał i nie czekając na odpowiedź dodał. – To taki może zbieg okoliczności, ale jeden motyl mi dziś przyniósł pewną myśl o życiu, no wiesz ten z tych motyli latających nad głową – wskazał na swoje włosy. – Powiedział mi, że życie jest jak jazda pociągiem. Wsiadasz, jak się rodzisz, wysiadasz, jak umierasz. A normalnie to sobie jedziesz, pociąg stukocze, czasem trzęsie, jedni wsiadają, drudzy wysiadają. Tak sobie podróżujesz przez lata do celu, do samego końca życia.

– O, no nieźle – przyznałam. – Ja też lubię takie metafory. Kiedyś porównywałam sobie koniec życia do gaszenia światła, że jak wychodzi się z kibla, to się po sobie gasi światło – zaśmiałam się.

– Też dobre – Wiktor również się zaśmiał. – No tak, każdy gasi po sobie, he he. A ja kiedyś nawet napisałem taki wiersz o życiu i kiblu. Właściwie trochę podobny do tej twojej myśli o gaszeniu światła.

– O, brzmi super. Pamiętasz go? Powiedz.

– Nie, niestety nie pamiętam. Ale czekaj – uniósł w górę palec. – Mam go gdzieś tu zapisany – zapalił latarkę w telefonie, po tym sięgnął do zeszytu i zaczął w nim szukać – O, jest. Mam go.

– Pokaż – rzekłam i zaczęłam ciekawsko zerkać na kartkę.

– No masz – podał mi otwarty zeszyt. – Przeczytaj, a ja pójdę... no wiesz, za potrzebą. Zaraz będę.

– Dobra, idź.

Wzięłam od niego telefon i skierowałam światło na kartkę. Na wszystkich czterech krawędziach starannie wyrysowane były czarnym długopisem wzory. Nie znałam się na tym, ale prezentowały się bardzo ładnie. Wyglądało, że zrobiła je wprawiona w rysowaniu dłoń. Pośrodku kartki znajdował się wiersz. Miał tytuł „Ślady" i zapisany był niezbyt starannym charakterem pisma, jakby Wiktor, pisząc go, spieszył się. Zaczęłam czytać:

Dwadzieścia siedem razy spłukiwałem w kiblu wodę
By perfekcyjnie ślad swój po sobie zatrzeć
By nie zostało nic, żadna cząstka mnie
By kibel został dziewiczym, nie odkrytym, nowym
Podobnie w życiu, choć z większą trudnością

Tu żaden odświeżacz powietrza nic nie pomoże
Bowiem śmierdzi, i śmierdzieć będzie
Nie tak łatwo zatrzeć ślady w życiu

Wydalam z siebie myśli i spłukuję
Rolką wspomnień podcieram umysł
Spoglądam w głębię i widzę w niej siebie
Znów spłukuję i tak do skutku

Bo w życiu chodzi tylko o to
By klapę za sobą zamknąć
Śmierdzieć i tak będzie
Choćbyś sto razy spłukał

No, fajnie. Całkiem zgrabny wiersz. Lubię poezję tak trochę na wesoło, znaczy się z przymrużeniem oka. Może poetycko zbyt nie brzmi, ale przekaz ma prawdziwie dosadny. Muszę mu o tym wszystkim powiedzieć, gdy przyjdzie.

Siedziałam tam na trawie z zeszytem w ręce, a Wiktora wciąż nie było. Mijały sekundy. Co chwilę skrobałam paznokciem brzeg notesu, gapiąc się przy tym na kartkę, to znów niecierpliwie stukałam palcem w miejsce, gdzie był wiersz. Niby nic się nie działo, ale... No dobra, przyznaję. Co ja was będę czarować. No, kusi mnie, żeby zobaczyć na inne strony. Okropnie mnie kusi...! Kusi, że hej.

Wiem, jestem okropna. Co o mnie teraz można pomyśleć? Taka wścibska baba i w ogóle. Gośka, trzy-

maj się, nie możesz naruszać jego prywatności. Będziesz ostatnią świnią, jak otworzysz inne strony. Nie rób tego. Nie wolno ci.

Szybkim ruchem odwróciłam na następną stronę. Ostatecznie to tylko jedna kartka więcej, świat się nie kończy. Był tam jakiś inny wiersz. Przebiegłam go szybko wzrokiem. Ten był o przemijaniu, całkiem ładny swoją drogą. Przerzuciłam na jeszcze następną stronę, która znów ozdobiona była wzorami. Pośrodku był rysunek poobijanej, płaczącej twarzy. Tym, co przykuwało uwagę najbardziej była przepaska zamiast oczu. Łzy ściekały spod opaski po policzkach. Zauważyłam, że ten zeszyt, to tak naprawdę nie jest zeszyt, tylko kalendarz, gdzie jedna kartka oznaczała jeden dzień. Gdy to tylko odkryłam, w pośpiechu zaczęłam przerzucać kolejne strony, cały czas czujnie nasłuchując, czy Wiktor nie nadchodzi. Okropnie chciałam zobaczyć, jaka notatka znajduje się na kartce dzisiejszej. Palce prawie trzęsły mi się z napięcia, że Wiktor mnie nakryje i będzie draka, ale kartkowałam dalej. W końcu dotarłam do strony z dzisiejszą datą, przyłożyłam bliżej światło latarki i aż z wrażenia wstrzymałam oddech. Na kartce narysowany był długi, wielo-wagonowy pociąg, a pod nim znajdował się rysunek rączki wyrwanego hamulca bezpieczeństwa. Na dole był zapisany tym samym koślawym charakterem pisma napis:

Moje życie przypomina mi jazdę pociągiem z ręką stale zaciśniętą na uchwycie hamulca bezpieczeń-

stwa. Cały czas się boję, że pociągnę hamulec... Boję się wysiadać...

– Już idę – usłyszałam głos Wiktora.

Ze strachu aż podskoczyłam w miejscu. Momentalnie zamknęłam zeszyt.

– Sorry, że tak długo. Ale już jestem – uśmiechnął się.

Z walącym sercem podałam mu zeszyt i spojrzałam na niego. Ufff, nie zauważył.

– Świetny ten wiersz – zaczęłam mówić. – Faktycznie, to zamykanie klapy podobne jest do gaszenia światła. Trzeba przyznać, że nieźle ci to wyszło.

– Dzięki, Gośka. To miłe i też ciekawe, że mieliśmy podobne pomysły. A co lepsze, obydwa są o kiblu, he he – zaśmiał się. – Popatrz, znów się zazębiamy.

Siedzieliśmy tam na trawie i sobie gadaliśmy. Nad nami była ciemna noc, przed nami płynął strumień, nikt nam nie przeszkadzał i było naprawdę przyjemnie i fajnie. Jeżeli coś zapamiętam dobrego z tej imprezy, to właśnie tę chwilę, ten moment. Zajadaliśmy się śliwkowym ciastem, a w mroku nocy połyskiwały tylko nasze czujne spojrzenia.

Patrzyłam na niego, na te smutne, przygaszone oczy i chyba już wiedziałam, jaką tajemnicę skrywają w sobie. Bałam się o tym myśleć, co będzie dalej. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Te wiktorowe motyle, może są i piękne i kolorowe, ale muszę wam powiedzieć, że obawiałam się ich. Obawiałam się, że znów

przylecą i powiedzą mu coś więcej. Muszę koniecznie pogadać o tym z Konradem. On zna Wiktora lepiej. Muszę zrobić to jak najprędzej.

Nawet się nie zorientowałam, gdy wybiła już północ. To ci dopiero było – godzina obsuwy w powrocie do domu. Mama będzie niepocieszona. Zebrałam się i pożegnaliśmy się z Wiktorem. Uścisnęłam mu dłoń. Chciałam jeszcze coś powiedzieć, chciałam zostawić go z czymś dobrym, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Na odchodne rzuciłam tylko „Trzymaj się i uważaj na siebie" i już mnie tam nie było.

Gdy przechodziłam obok miejsca imprezy, ognisko wciąż się paliło. Imprezowiczów było trochę mniej, ale ci, co zostali, bawili się bardzo dobrze. Były tańce, krzyki, a nawet ktoś spał pod ławą. Zauważyłam Konrada, jak siedzi przy ognisku z Makarym i razem o czymś dyskutują. Podeszłam do nich, mając nadzieję, że powiem Konradowi o Wiktorze i dopytam go coś więcej.

– O, Gośka! Co u ciebie? Siadaj – Konrad wskazał mi miejsce.

– Muszę już lecieć, ale chciałam z tobą chwilę pogadać.

– Fajnie. To usiądź, zaraz pogadamy.

Nie chciałam mówić o Wiktorze przy Makarym. Ufałam Konradowi, że zostawi to w sekrecie, ale do Makarego nie miałam jeszcze takiej pewności. Usiadłam przy nich, mając nadzieję, że Makary zaraz sobie pójdzie.

– Wypij z nami – Konrad sięgnął do stołu i podał mi puszkę piwa.

– No co ty? – zdziwiłam się. – Dzięki. Nie chcę.

Co ja mu innego mogłam powiedzieć? Że mam piętnaście lat i zwyczajnie nie piję piwa? No nie, tego mu nie powiem. Zresztą, jakby rodzice mnie wyczuli, to bym dopiero miała. Szczególnie mama jest uczulona na alkohol.

– No, nie wymiękaj – zachęcał Konrad. – Weź choć trochę, za ten sobotni koncert, za zespół.

Do rozmowy włączył się Makary. Wyglądało, że był już trochę wstawiony:

– Właśnie, Gośka. Za zespół nie wypijesz?

Pokręciłam przecząco głową.

– Muszę z tobą pogadać – zwróciłam się do Konrada. – No wiesz, w cztery oczy.

– Nie ma sprawy. Pogadamy. Ale najpierw zróbmy toast – rzekł i wsunął mi puszkę w dłoń.

– Serio, musimy pogadać – powtórzyłam.

– Najpierw się napijmy. Potem pogadamy.

Konrad, nie rób mi tego. Ja tu poważny temat mam, a ty mi tu o toastach gadasz. Człowieku, ja serio muszę z tobą pogadać. Walczyłam ze sobą i muszę wam przyznać, że w ogóle mnie do tego piwa nie ciągnęło. Noooo, ale dobra. Jeżeli to miało pomóc w tej naszej rozmowie, to dobra. Niech będzie. Od jednego łyka jeszcze nic się nie stało.

– Za „No Hope Revolution”! – Makary i Konrad zawołali niemal razem.

Pociągnęłam solidny łyk z puszki, a gdy ją przechyliłam, Konrad przytrzymał ją od spodu, abym napiła się więcej. Nie wiem, ile wypiłam, ale było tego sporo.

– Super – powiedział Konrad, a Makary zaklaskał w dłonie.

– To teraz za koncert! Pijemy za koncert! – zawołał Konrad.

Wkurzyłam się. Spojrzałam gniewnie na Konrada, dając mu znać, że mi się to nie podoba. Nie wiem, czy to w ogóle do niego dotarło, czy nie, bo powiedział raz jeszcze:

– Za koncert! Gośka! W górę – wskazał na puszkę.

Chcesz tego? Naprawdę tego chcesz? Wkurzyłam się tak, że aż zacisnęłam zęby. To nie było w porządku. Wezbrała we mnie złość, właściwie to już nawet nie na Konrada, ale na tą całą sytuację. Konrad, przecież Wiktor nas potrzebuje. Rozpaczliwie spojrzałam raz jeszcze mu w oczy. Dobra. Jak tak bardzo chcesz, to masz. Bierz to. Masz. Myślisz, że mnie na to nie stać? To patrz, stać mnie. Widzisz? Stać mnie. Podniosłam puszkę i piłam długo, aż do samego końca.

Po toaście za koncert był jeszcze toast za chłopaków. Potem był kolejny za młodość. Przy następnym już niewiele pamiętałam. Piwo siekło mnie, że nawet się nie obejrzałam, a byłam zalana. Czas przestał istnieć, zwyczajnie się nie liczył. Chłopaki się śmiali, przybijali piątki i coś tam głośno mówili, ale do mnie już niewiele docierało. Skończyło się, jeżeli dobrze policzyłam, na trzech piwach.

W głowie miałam helikoptery. Latały tam i z powrotem, wywołując u mnie mdłości. Mimo tego zachowała się we mnie odrobina rozsądku. Chciałam już do domu. Wracać, Gośka. Trzeba wracać. Z tamtego końcowego etapu imprezy nie pamiętam zbyt wiele. Pamiętam, że wstałam z ławy i że mnie zatoczyło. Było mi niedobrze. Po kilku kolejnych krokach zwymiotowałam. Jak się okazało, było to najlepsze, co mogłam zrobić, bo po rzuconym pawiu, odrobinę mnie ocuciło.

Chłopaki odprowadzili mnie na przystanek, a potem wsadzili do autobusu. Tak kończyła się dla mnie impreza. No i nie pogadałam sobie z Konradem. Świat kręcił się w głowie i wirował, prawie jak na karuzeli. Wyobraziłam sobie, że jestem w środku bębna pralki automatycznej, w której ktoś właśnie uruchomił wirowanie. Wow, to była jazda. Gośka, do domu. Gośka, kierunek – dom. Znowu cię mdli. Musisz wracać, bo zaraz znowu rzygniesz. Wirowanie trwało w najlepsze.

Wysiadając z autobusu, potknęłam się i o mało co nie wywaliłam się na chodnik. Ufff, w ostatniej chwili złapałam równowagę. A dalej to było już z górki, opuściłam głowę i szłam powoli w stronę domu.

– Dobry wieczór – przede mną jakby znikąd wyrosły dwie, duże postacie.

O, kto to? Co to? W głowie pojawiły się pytajniki.

– Dobry wieczór – uniosłam głowę, by zobaczyć, kto to taki.

– Poproszę dowód osobisty – powiedziała postać.

Ooo! Tylko tyle potrafiłam pomyśleć. Ooo, ja pierdu! Przecież to policja. Trzeba się jakoś z tego ratować. Sięgnęłam do kieszeni spodni i podałam im małą książeczkę.

Jedna z postaci wzięła ją w dłonie i rzuciła do środka okiem.

– To legitymacja szkolna, a nie dowód – policjant przyjrzał się bliżej, to legitymacji, to mojej twarzy. – Czyli, znaczy się, nieletnia. A do tego pijana.

O, ja nie mogę. Kłopoty! Zaczęłam się bronić i mówić im, że toastów było za dużo, że tak naprawdę nie chciałam i że to mój pierwszy raz w takiej sytuacji. Mówiłam, mówiłam, mówiłam, a słowa leciały ze mnie, jak przy ognisku wymioty. W końcu jeden z policjantów mi przerwał:

– Dobra, dobra – wziął mnie pod rękę. – Pojedziesz z nami.

Tak oto kończyła się dla mnie impreza. Dalej było już tylko gorzej...

Rozdział 8

Wolność

Twarzy mamy nie zapomnę do końca życia, gdy nad ranem odbierała mnie z policyjnej izby dziecka. Nic nie mówiła, po prostu na mnie spojrzała i to wystarczyło. Cisza była gorsza niż najtęższe lanie i bolała równie mocno. Tata stał przy niej i też nic nie mówił. Po prostu na mnie patrzyli. A potem zabrali mnie do domu.

Dostałam szlaban na wychodzenie – jedynie szkoła i tyle. Jak to określiła mama – miałam siedzieć w domu i zastanowić się nad sobą. Ostatnim słowem ich mowy było: „I wybij sobie z głowy tego Konrada. Koniec dyskusji". Tak w wieku lat piętnastu świat się dla mnie zawalił, po raz pierwszy i mam nadzieję, że ostatni. Właściwie nie wiem, co powiedzieć więcej – rozpacz i niezrozumienie. To tyle.

Ja mogłabym rodzicom mówić o Konradzie, o tym, że Wiktor potrzebuje pomocy i tym, że wcale nie chciałam pić piwa. Tylko, czy to w tej sytuacji coś by pomogło? No, chyba nie. Trzymałam więc wszystko dla siebie, tłumiłam głęboko w środku, sama nie wiedząc co dalej z tym zrobię. Nie było łatwo.

Dla rodziców to też musiał być szok, że ich spokojna i grzeczna córka teraz okazuje się nie być ani spokoj-

ną, ani tym bardziej grzeczną. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić miny mamy, gdy przyjmuje telefon z policji, że ma odebrać z izby dziecka swoją córkę. Takie rzeczy w naszym domu nigdy się nie zdarzały. Teraz, na tym wielkim szlabanie miałam mieć czas na to, by wrócić na przyzwoite, życiowe tory. Tylko, co to znaczy – przyzwoite? Czy tylko takie, jak chcą rodzice? Czy też może takie, jak ja chciałabym? Ech, ten temat mnie męczy. Nie chce mi się już o tym myśleć.

Szlaban od rodziców był dość bolesny, bo z powodu przymusu siedzenia w domu nie mogłam iść we wtorek na próbę zespołu. Zresztą, jakbym tylko powiedziała, gdzie idę, to i tak by mi zabronili. Nawet nie musiałabym mówić o samej próbie, a wystarczyło wymówić magiczne słowo „Konrad". W tym tygodniu imię to działało na rodziców jak płachta na byka, tak, iż wolałam się na ten temat nic już nie odzywać. Było też coś znacznie gorszego w tym całym szlabanie. Tak, chodziło o koncert. To przecież niemożliwe, aby mnie tam nie było. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Miał odbyć się w najbliższą sobotę o dwudziestej. Koniecznie musiałam coś na to wymyślić. Nie mogło być inaczej.

Niedziela przeszła w domu bardzo spokojnie. Z tatą jeszcze w miarę normalnie gadałam, ale mama ograniczała kontakt ze mną do minimum, jakby tym mnie chciała dodatkowo ukarać. Było to na tyle dziwne, że wieczorem przyszedł do mojego pokoju Oskar i zapytał:

– Gosia. A powiedz mi... – zaczął.

– Tak?

– Powiedz, czy mama już cię nie lubi?

Uśmiechnęłam się. Miał do tego zdolność, że czasem zasuwał właśnie takie piękne frazy. Najlepsze było to, że robił to szczerze, nie żartował, tylko co w głowie miał, to mówił.

– Nie martw się – pocieszyłam go. – Lubi mnie, lubi.

Oskar pomyślał chwilę, tak stał i nic nie mówił, że odniosłam wrażenie, że się zawiesił. Ale nie, bo zaraz powiedział:

– To dobrze – głęboko odetchnął.

– A czemu pytasz? – zainteresowałam się.

– Bo ja nie lubię, jak się ktoś nie lubi – wyznał. – To nie jest przyjemne. Tutaj – wskazał na swoją klatkę piersiową.

Nie wątpiłam, że coś złego tam czuł. Popatrzyłam na niego i w końcu skapowałam. Przy jego wrażliwości, to pewnie przeżywa moją relację z mamą nawet bardziej niż ja. Podeszłam do niego i go przytuliłam.

– Przepraszam, Oskar.

Niedziela przeszła nawet szybko. Po niej przyszedł poniedziałek i czas szkoły. Rodzice przejrzeli mój tygodniowy plan lekcji, aby wiedzieć, o której dokładnie mam ze szkoły wracać. Nie było nawet perspektyw na żaden potajemny wypad na próbę zespołu, czy aby choć poszwędać się trochę po osiedlu. No, powiem wam, że w takiej sytuacji to jeszcze nie byłam.

W drodze do szkoły w autobusie wypatrywałam Konrada. Nie mogłam się doczekać, kiedy się spotkamy. Chciałam mu tyle powiedzieć i wyjaśnić, że aż mnie roznosiło. Tym razem jednak Konrada nie było. Szukałam go co chwila między dziesiątkami pasażerów i wyciągałam w górę szyję, trochę jak żyrafa, czy aby gdzieś za kimś nie stoi, ale nie. To było smutne, bo im bardziej go szukałam, tym bardziej go w autobusie nie było.

W końcu mój radar coś wypatrzył. Nie był to co prawda Konrad, ale Anka. Wsiadła do autobusu i od razu skierowała się w moją stronę. Nie witając się, rzekła:

– No, Gośka! Gdzieś ty na tej imprezie przepadła? – rozłożyła ręce. – Wszędzie cię szukałam i nic.

– Aaa, trochę się posmykałam po okolicy – wzruszyłam ramionami.

– Posmykałaś? – zdziwiła się. – Przecież tam nic nie ma, same łąki i pola.

– Właśnie – przyznałam. – A wiedziałaś, że tam dalej za ogniskiem płynie strumień?

Popatrzyła na mnie niepewnie, jakby nie dowierzając temu, co ode mnie słyszy. Zmarszczyła przy tym czoło, aż wreszcie wypaliła:

– No chyba sobie jaja robisz! – zaśmiała się. – Co ty, na wycieczkę krajoznawczą tam przyjechałaś?

– A czemu nie? – podchwyciłam żart.

– A zresztą, mniejsza o to – machnęła beztrosko ręką. – Nie wiedziałam, że taką fajną ekipę tam spotkam.

– O, cieszę się. Bomba.

– Najlepszy był Konrad – westchnęła z podziwem, a mnie na dźwięk tego imienia, aż coś ukłuło w środku. – Ten to dopiero ma talent do gitary. Normalnie momentami wymiękałam przy jego grze. A swoją drogą można też z nim fajnie pogadać.

Oj, Anka. Odwal ty się od Konrada. Nie wiem, czy to była już zazdrość, czy jeszcze nie, ale nie dbałam, jak w ogóle takie uczucie nazwać. To nie było ważne. Liczyło się, że najwyraźniej chciała mi kawałek Konrada podprowadzić dla siebie i to na moich oczach.

– Ciekawe, czy dziś jedzie z nami – dodała Anka i zaczęła się rozglądać po pasażerach.

– Nie jedzie – ucięłam krótko.

– Oj, szkoda – odparła i rozglądała się dalej. – A może jednak jedzie? Tak bym sobie z nim dziś pogadała.

– Nie jedzie! – odpaliłam bardziej stanowczo.

Gapiłam się na Ankę, a we mnie narastała złość. Jeżeli zaraz nie zmieni tematu, to się chyba ze sobą pokłócimy. Na każde jej zdanie nerw mi zgrzytał, jak stara, nienaoliwiona huśtawka. Zgrzyt, zgrzyt.

– No, faktycznie szkoda – dodała.

Zgrzyt, zgrzyt. Patrząc na nią, przymrużam ostro oczy.

– A wiedziałaś, że zaczął grać na gitarze, jak miał osiem lat? – znów mówiła.

Zaraz jej coś zrobię. Zgrzyt, zgrzyt.

– Coś niesamowitego – przyznała. – Ten facet jest przebojowy.

Zgrzyt! Zgrzyt! Za chwilę eksploduję. Przysięgam.

W końcu sama chyba coś wyczuła, bo zmieniła temat i zaczęła pytać o mnie.

– U ciebie wszystko OK? – zapytała.

– Tak – westchnęłam. – I wyobraź sobie, że imprezę skończyłam na policyjnej izbie dziecka.

– O! Nie gadaj! – aż ją zatchnęło. – Mów, co się działo.

– A, bo chodziło o toasty. Chłopaki chcieli ze mną toasty wznosić.

– W sensie, że co? Że piłaś tam? – zapytała ze zdziwieniem.

– No, tak wyszło – wzruszyłam ramionami. – Piłam.

– Oj, Gośka. Zwariowałaś?! Alkohol to gówno. Zawsze to powtarzam.

Teraz widać było, że Anka się zaczyna denerwować, jakbym odpaliła w niej nieprzyjemny i wyuczony algorytm.

– Może i gówno – odparłam. – Ale to wszystko nie jest takie proste. Zresztą, wiem, co robię.

– Mój ojciec też wie, co robi – westchnęła smutno. – Tak bardzo wie, że my z mamą już przy nim nie wyrabiamy. A co tam, znasz te historie, co ci będę mówić.

Zachowywała się trochę jak moja mama. Nie chciałam jej tego powiedzieć, aby jej nie urazić, ale tak właśnie było. Z drugiej strony ją rozumiałam, bo to, co przechodzi, to faktycznie jest piekło. W każdym razie temat do łatwych nie należał.

Tak sobie gadając i wspominając, dotarłyśmy w końcu do szkoły. Konrad nie pojawił się do samego końca. Z jednej strony bardzo mnie to zastanawiało, bo potrzebowałam go teraz jak nie wiem co, a z drugiej sama dla siebie próbowałam go jakoś wytłumaczyć. Może dziś zaspał albo miał na inną godzinę do szkoły. To wszystko jest możliwe. Przy obecnym szlabanie od rodziców, autobus był jedynym miejscem, gdzie mogłam się z nim potajemnie spotkać. Zobaczymy, może jutro będę miała więcej szczęścia.

W szkole było do chrzanu. Już nawet nie chce mi się tego komentować. Z matmy nauczycielka wyrwała mnie do odpowiedzi i już na pierwszym pytaniu poległam. Dostałam ocenę niedostateczną i wróciłam do ławki. Potem było gorzej, bo były przedmioty zawodowe i kartkówka z poprzednich lekcji. No, kto by się spodziewał? A jednak było. Oddałam prawie pustą kartkę, cukierkowo nie będzie, na cuda nie liczę.

Ale za to wieczorem zadzwoniła do mnie Zuza. To akurat był miły akcent tego słabego dnia. Już od pierwszych słów mnie rozbawiła.

– W sobotę przekręciła do mnie twoja mama – relacjonowała Zuza.

Upsss. Czyli mama użyła kartki do państwa Makarów. Chciało mi się z tego śmiać, ale się powstrzymałam.

– Ooo, no i? – zapytałam.

– Wszystko było fajnie, tyle że ten telefon był prawie o północy. Dasz wiarę?

– He he – zaśmiałam się. – No wyobraź sobie, że dam.

– O, czyli wiesz, o co chodzi?

– Tak, wiem. Ale mów dalej.

– Teraz będzie najlepsze. Twoja mama pyta mnie, czy to państwo Makaronowie czy coś takiego. A ja wpół zaspana zaczynam kombinować w myślach, o jaki makaron jej chodzi?

Już nie umiałam się powstrzymać i wybuchnęłam śmiechem. He, he, he. Makaron, no ja nie mogę!

– Potem mi mówi już taka bardziej zdenerwowana o jakimś ognisku i Konradzie. A ja dalej się budzę, przecieram oczy i ciągle szybko móżdżę – Makaron? Ognisko i Konrad? O, matko. O co chodzi? Gdzie ja żyję? No po prostu ekstra.

Gdy słyszała, że nic nie mówię, a że w słuchawce rozchodzi się mój rechot, to zaczęła ciekawsko dopytywać:

– No mów, Gośka, o co w tym wszystkim chodzi? I po co do diaska ten cały makaron?

– Dobra, dobra, już ci mówię – upewniłam się, że drzwi do mojego pokoju są zamknięte. Były, więc bardzo cichym głosem zaczęłam jej co nieco opowiadać.

Zuza nie kryła podziwu. Opowiadałam tak z grubsza, a ona słuchała, czasem tylko coś komentując czy wyrażając zdziwienie.

– No, to dziewczyno nawywijałaś – przyznała. – Nawywijałaś, że hej!

Rozmawiałyśmy tak dobre pół godziny i było tak fajnie, że aż nie potrafiłyśmy się ze sobą nagadać. Gdy mówiłam jej, jak to było z państwem Makarów, to teraz ona nie umiała powstrzymać śmiechu. Było naprawdę fajnie, taki bardzo miły akcent po dwóch trudnych dniach.

Do mej głowy coraz częściej wracała myśl o Wiktorze. Czułam, no po prostu czułam, że on ma jakąś tajemnicę. I coś mi podpowiadało, że rysunki w samobójczym klimacie to jeszcze nie jest wszystko. Z jednej strony jest w nim niby ten spokój, ale z drugiej jest dojmujący smutek. Gdy patrzę w jego oczy, to trochę tak jakbym zaglądała przez dziurkę od klucza do środka pokoju, w którym dzieje się coś złego. Bardzo chciałabym się dowiedzieć, co to takiego. Może Konrad będzie coś więcej wiedział. Muszę znaleźć sposób, by się z nim spotkać.

I stało się. We wtorek go wypatrzyłam w autobusie. Ha, ledwo co wsiadł, a ja już byłam przy nim. Okropnie się cieszyłam, że w końcu jest.

– O, jesteś. Wreszcie – uśmiechnęłam się.

– No, jestem, jestem – odpowiedział uśmiechem. – Jak tam po imprezie?

– Aaa, nawet nie gadam – pokręciłam głową. – Tyle się działo, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Opowiadaj.

– Dobra, opowiem – rzekłam. – Ale najpierw chciałam z tobą pogadać o Wiktorze.

– O Wiktorze? – zdziwił się.

– Tak, o Wiktorze.

Konrad rozejrzał się, jakby czegoś lub kogoś szukał. W końcu spojrzał na mnie i tak po prostu wypalił:

– Gośka, urywamy się?

O! To dopiero była propozycja. Zaskoczył mnie tym i to zaskoczył zupełnie, że aż z nagłej emocji poczułam ból w żołądku. W obecnej sytuacji szlabanu perspektywa spędzenia połowy dnia z Konradem była dla mnie niebezpiecznie kusząca. No, powiem wam więcej, była tak rozpierdzielająca mnie od środka, że ból żołądka przy tym to było nic. Zmroziła mnie ta propozycja i wryła w podłogę. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. A wam jak się zdaje? Że co odpowiedziałam? Że „Sorry Konrad, ale muszę jechać do szkoły" albo że „Niestety, mam szlaban na ciebie". No, nie. Zaskoczenia tu nie ma i ja też się sama sobie nie dziwię. Drzwi autobusu się otworzyły, a ja złapałam go za rękę i pociągnęłam za sobą do wyjścia. Jesteś walnięta, Gośka. No, kurcze, jesteś.

Znów był ciepły, jesienny dzień i znów świeciło słońce tak jak wtedy, gdy poprzednio byłam z Konradem na wagarach. Lekki wiatr rozwiewał mi włosy, a ja chyba po raz pierwszy w życiu poczułam, że jestem prawdziwie i zupełnie wolna. Niesamowite uczucie. To było tak, jakby rodzice i ten szlaban byli więzami krępującymi ręce, które teraz jednym, silnym ruchem rozerwałam na strzępy. To było coś.

Trzymaliśmy się z Konradem za rękę i szliśmy powoli w stronę parku.

Chwilę potem przysiedliśmy na ławce, tej naszej, usytuowanej na tyłach parku i robiło się jeszcze lepiej. Był też wspólny papieros, który tym razem smakował mniej paskudnie i co ważniejsze paliło się go znacznie łatwiej od tych pierwszych.

– O co chodzi z Wiktorem? – zapytał Konrad.

– To delikatna sprawa – powiedziałam. – Zupełnie nie wiem, co robić.

– A co się dzieje? – zaniepokoił się.

– Bo widzisz, pogadałam trochę z Wiktorem na imprezie – urwałam, nie wiedząc, jak mu o tym opowiedzieć. W końcu zapytałam. – Powiedz mi, czy mówił ci kiedykolwiek, że ma myśli samobójcze?

Konrad zaczął się uśmiechać, zupełnie jakby go coś rozbawiło.

– Co? – zapytałam.

Ten nie reagował. Teraz śmiał się już nawet pod nosem, jakbym mu opowiedziała nie najgorszy dowcip.

– Coś nie tak? – zdziwiłam się.

– Jest w porządku. Mów dalej.

Nie chciałam mu mówić, że przejrzałam Wiktorowi zeszyt. Do tej pory wstydziłam się tego. Z drugiej strony trudno mi było wyrazić swoje obawy i to, skąd się one biorą.

– Chodzi o to, że on chyba ma w głowie myśli, aby ze sobą skończyć. Tak mi się wydaje po spotkaniu z nim.

Konrad dalej się uśmiechał. Zaczęła mnie wkurzać ta jego postawa i to, że bagatelizuje tak ważny temat.

– Konrad! – podniosłam głos. – Co z tobą?!

Na moją reakcję w jednej chwili spoważniał.

– Nic. W porządku – uspokajał. – Tylko Wiktor taki jest. Znamy się od podstawówki. Zawsze jakieś trupie czaszki rysował w zeszytach czy gadał poetycko o smutnych rzeczach. Taki po prostu ma styl. Nie martw się tym.

Trupie czaszki? Styl? Nie dowierzałam temu, co słyszę. O czym ty chłopie w ogóle mówisz? Ja tu poważnie mówię, że coś widzę, a ty spychasz to na Wiktora styl. Styl stylem, jednak nikt mi nie powie, że nie ma żadnego problemu. To tak, jakbyśmy gadali o dwóch różnych rzeczach. Ale dobra, zepchnęłam wszystkie nagromadzone emocje najgłębiej jak się tylko dało, aby nie pokazać wkurzenia i całkiem spokojnie zapytałam:

– To powiedz mi coś o nim.

– A co ci mam powiedzieć?

– Jaki on jest?

– Normalny jest – rzucił olewacko i wziął głęboki oddech. – Ojciec policjant czy wojskowy, nie pamiętam dokładnie. Matki nie ma. Mieszka z ojcem i bratem. Co jeszcze ci mogę powiedzieć?

– Powiedz, jaki on jest, a nie z kim mieszka.

– No ludzie! – zaczął się irytować, aż w końcu wybuchnął. – Nie szukaj w nim nie wiadomo czego. On jest płytki, prosty, taki zwyczajny, jak większość. Ta

cała mroczna otoczka to taki lukier, który tworzy, a raczej który chce sobą tworzyć. Pod spodem nie ma nic, jest najzwyklejszy na świecie.

Coś mi tu nie pasowało zupełnie. Konrad, czy ty przypadkiem nie jesteś o niego zazdrosny? O rety. Tak, tak, teraz to widzę. Z każdym zdaniem coraz dokładniej. Kole cię Wiktor, okropnie kole, bo okazuję mu zainteresowanie. O to tu chodzi. Nie rób mi tego, nie bądź zazdrosny. Bądź z powrotem tym fajnym Konradem, proszę cię, bądź na powrót sobą.

– To co twoim zdaniem mam robić? – zapytałam.

– Po prostu nie myśl o nim – skwitował. – A wszystko będzie OK.

Nie było OK. Miałam nadzieję, że Konrad w sprawie Wiktora pomoże, a tymczasem on jeszcze więcej dołożył problemów. Nie mieściło mi się to w głowie.

Po spotkaniu z Konradem nie czułam się dobrze. To taka sytuacja, gdy na kogoś bardzo liczysz, a ten ktoś całym sobą pokazuje, że ma cię gdzieś. Czułam się z problemem Wiktora pozostawiona całkiem sama i muszę przyznać, że bałam się tego. Coś przecież trzeba tu zrobić, ktoś musi z Wiktorem pogadać i zwyczajnie mu pomóc. Ja sama nie czułam się na siłach, aby to zrobić, Konrad się na tą sprawę teraz wypiął, a nie było nikogo więcej, kto mógłby tu pomóc. Myśl Gośka, myśl, co można by tu jeszcze zrobić? W głowie miałam pustkę, zupełnie nic. W końcu machnęłam na wszystko rękami. Aaaaaa, dobra. Pogadam z Wiktorem. Ostatecznie nawet najgorsza po-

moc jest lepsza niż jej zupełny brak. Słyszysz, Wiktor? Pogadam z tobą, jak tylko się spotkamy. Tylko o jedno cię proszę – do tego czasu trzymaj się mocno. Proszę cię, Wiktor, ty się wszystkimi siłami trzymaj.

Kolejne trzy dni minęły mi bardzo szybko i nawet się nie zorientowałam, a już była sobota. To właśnie dziś wieczorem miał odbyć się koncert. Konrada w autobusie nie było, ani w środę, ani w czwartek, ani nawet w piątek. Czy on się na mnie obraził? Mam nadzieję, że nie. Najdziwniejsze było to, że gdzieś w głębi odzywało się we mnie poczucie winy. To właśnie było głupie, bo z jednej strony dokuczało, a z drugiej nie widziałam w spotkaniu z Konradem nic, co mogłoby je wywołać. A te myśli były naprawdę niefajne, że na przykład Konrada skrzywdziłam, że mnie całkiem odrzuci czy że sprawiłam, iż się zdenerwował. Krótko mówiąc, mówiły mi „Zła jesteś, Gośka! To twoja wina!". Nie rozumiałam tego.

Mój plan dostania się na koncert pomimo szlabanu był bardzo prosty. Może ktoś powie, że jestem szajbnięta, ale chciałam tak po prostu urwać się z domu. Wyjść szybko nic nikomu nie mówiąc i wrócić już po koncercie. Jeżeli chodzi o złą atmosferę w domu, to gorsza być nie mogła, więc samowolnym wyjściem jej nie pogorszę. Rodzice mnie nie zabiją, co najwyżej mama zrobi mi pogadankę i pewnie przedłuży szlaban. Wrócę przecież gdzieś po dwudziestej pierwszej, więc tragedii być nie powinno.

Sam koncert startuje o dwudziestej, ale będę tam wcześniej o jakąś godzinę, aby móc pogadać z Wiktorem. Oj, coś czuję, że to będzie wielki wieczór – wielki dla wszystkich. Już nie mogę się tego doczekać.

Zaplanowałam wymknąć się z domu o osiemnastej trzydzieści, wsiąść w autobus do centrum i spotkać się z chłopakami w klubie. Pewnie będą tam bardzo zajęci rozkładaniem sprzętu i przygotowywaniem się, ale mam nadzieję, że znajdą choć chwilę dla mnie. Cały plan wyjścia na koncert wydawał się być bardzo prosty do czasu, gdy miałam wyjść z domu. Byłam nawet kilka minut spóźniona, po cichu wzięłam plecak do ręki i już miałam wychodzić z pokoju, gdy w drzwiach jak znikąd pojawił się tata.

– Wychodzisz gdzieś? – zapytał zdziwiony.

O, szlag jasny! Tata?! Obleciał mnie strach.

– Yyyyyyy – zaczęłam szybko myśleć – yyyyy, nie, skąd.

Ojciec popatrzył wymownie na mój plecak, który teraz trzymałam w ręce i znów spojrzał na mnie. Oj, Gośka. Spaliłaś! Jesteś spalona.

– Chciałam tylko plecak wystawić do przedpokoju – odparłam niepewnie.

To był chyba najgłupszy tekst, jaki na szybko mogłam wymyślić, bo nigdy tam plecaka nie stawiam, ale najlepsze było to, że ojciec najwyraźniej to przyjął. Tego to się nie spodziewałam.

– Acha – rzekł i się odsunął.

Wyszłam z pokoju i położyłam przy drzwiach plecak. Po tym ojciec powiedział:

– Ja to właściwie do ciebie szedłem. Chodź, Gosia, chciałem z tobą pogadać.

Ja nie mogę. W takiej chwili?! Tata, litości! Cały tydzień miałeś, żeby ze mną gadać, a wybierasz właśnie ten moment. Dobra, chodź. Zróbmy to szybko. Weszłam z powrotem do pokoju.

Tata usiadł w fotelu i chwilę nic nie mówił. Rozglądał się ciekawsko po półkach, jakby był tu pierwszy raz. Ja w tym czasie spojrzałam na zegarek. No nie. Byłam już mocno spóźniona.

– Co potrzebujesz? – zapytałam.

Ojciec zaczął coś skubać w oparciu fotela, jakieś niewidzialne okruszki czy coś takiego. No, tata! Daj spokój! Przemów wreszcie, o co ci chodzi.

– Chciałem cię zapytać, jak ci idzie w szkole – wydusił wreszcie z siebie.

Jak w szkole? I tylko tyle? To żeś sobie porę wybrał. Nieźle.

– Hmm – udałam, że się zastanawiam. Za nic nie chciałam mu pokazać, że się spieszę. – No powiem ci tak. Cukierkowo to tam nie ma.

– Czyli, że co? – zapytał.

– Aaa, tata, co ja ci będę ściemniać. Powiem ci wprost, że dalej mnie to szycie nie kręci. Z ocenami bywa różnie, raz dobrze, a raz nie, ale ze stroną zawodową, to póki co lipa.

– Lipa – powtórzył i się zastanowił.

Gapiłam się na niego, co dalej powie i kiedy wreszcie skończy. Mnie już miało powoli roznosić. Ojciec w tym czasie na pełnym luzie formował nowe myśli w głowie. Wreszcie chyba coś mu tam zaskoczyło, bo znów się odezwał:

– A powiedz mi, czy... – przerwał.

Dzyń! Dzyń! W mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Oboje spojrzeliśmy w stronę wyjścia.

– Dobra! Otworzę! – na całe mieszkanie zawołał ojciec. Podniósł się z fotela i wyszedł.

Ja w tym czasie podeszłam do drzwi pokoju i obserwowałam, co będzie dalej.

– Dobry wieczór! Spółdzielnia się kłania – usłyszałam od drzwi głos. – Coroczny odczyt wodomierzy.

– Odczyt?! – zdziwił się tata. – Przecież żadnej wywieszki nie było na klatce o odczytach.

– A była, była – odparł głos. – Tylko widocznie jakiś łobuz zerwał.

Zaraz potem zobaczyłam, jak tata wpuścił do mieszkania pracownika spółdzielni i poprowadził go do łazienki. Tak! Gośka, tak! To jest twój moment! Dokładnie teraz!

Nie czekałam nawet sekundy dłużej. W trybie ekspresowym wskoczyłam w buty, złapałam do ręki kurtkę, sięgnęłam po plecak i już mnie tam nie było. Biegłam co sił po schodach, pełna strachu i radości. Niech się teraz dzieje, co chce. Mnie już nikt nie powstrzyma.

Rozdział 9

No Hope Revolution

Do klubu dotarłam pół godziny przed koncertem. Przy wejściu ludzi nawet było sporo i ja się wcale temu nie dziwię. Gdy tu jechałam, to z autobusu zobaczyłam co najmniej kilka plakatów rozwieszonych na słupach i na budynkach. To były duże plakaty ze znanej w mieście serii „Aligator zaprasza", na których w centralnym miejscu narysowana była elektryczna gitara, a na niej duży napis „No Hope Revolution". Prezentowało się to naprawdę super. No, to się chłopaki doczekali swojego koncertu. Okropnie się cieszyłam, a nawet czułam w sobie dumę, że to moi znajomi tutaj dziś grają. Już nie mogłam się doczekać.

Teraz tylko trzeba było dorwać chłopaków. Rozejrzałam się, gdzie iść i jak to zrobić, gdy usłyszałam za swymi plecami piszczący głos. Odwróciłam się, a przy mnie stała znajoma mi postać.

– Znamy się, nie? – rzuciła do mnie wesoło.

A niech to. No, lepiej być nie mogło. To była ta piszczałka, którą poznałam na imprezie, a która tak się zachwycała grą Konrada. To mi się trafiło.

– Idziesz na koncert? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam. – Ale póki co, to muszę gdzieś dorwać kogoś z zespołu, zanim się zacznie.

Piszczałka wskazała mi palcem kierunek i rzekła:

– Jak potrzebujesz, to tam idź, od drugiej strony budynku. Kilka chwil temu chłopaki coś tam wypakowywali z auta.

– Dzięki – odparłam i nie czekając na nic, udałam się za budynek.

Chłopaki faktycznie tam byli. Stali przy czerwonych drzwiach, które wyglądały na tylne wejście do klubu, i coś ze sobą dyskutowali.

– Konrad! – zawołałam z daleka. Pomachałam mu ręką i ruszyłam w ich stronę.

Konrad obrócił się do mnie, ale tylko na krótki moment. Po tym wrócił do dyskusji, jakby mnie nie rozpoznał. Zaraz potem już byłam przy nich.

– Cześć! – zawołałam z uśmiechem. – Ale macie mega plakaty na mieście.

Na te słowa nikt z nich nie zareagował.

– No mówię, że plakaty macie fajne – powtórzyłam.

Znów cisza. Popatrzyłam po nich, miny mieli jakieś nietęgie.

– Ej, chłopaki. Co jest. Obraziliście się na mnie czy co?

– Nie, Gośka – odpowiedział Konrad. – Nie na ciebie. Spoko.

W tonie głosu Konrada było coś niepokojącego. Wtedy dopiero zaskoczyłam, że coś jest nie tak.

– Gdzie Wiktor? – zapytałam.

Konrad spojrzał na mnie nerwowo, ale nic nie odpowiedział. Sebek i Makary uciekli wzrokiem jak oparzeni.

– Gdzie Wiktor?! – powtórzyłam.

Znów nic. Cisza. Konrad odwrócił się ode mnie. Jako jedyny z nich na twarzy miał wyrysowaną złość. Do mnie coś już dotarło, a do myśli spłynęły najczarniejsze scenariusze. W głowie cichy klik. Zaskoczyłam. Czy to w ogóle możliwe? Nie, to nie może tak być. Nie, to niemożliwe. Nie wierzę... Obleciał mnie strach. Złapałam Konrada za kurtkę i potrząsnęłam.

– Gdzie Wiktor?! – krzyknęłam. Cisza. – Gdzie jest Wiktor, do jasnej cholery!!!

Konrad jednym ruchem strącił moją rękę z siebie.

– Odczep się, Gośka! Też chciałbym to wiedzieć – syknął.

– Jak to? – zdziwiłam się

– Wiktora nie ma – włączył się Sebek. – Dziś rano zniknął. Nikt nie wie, gdzie on jest.

– Zapadł się pod ziemię – dodał Makary.

– O, Boże... – tylko tyle udało mi się powiedzieć. Patrzyłam po nich, to po jednym to po drugim i nie dowierzałam temu, co słyszę. To nie mogła być prawda. W końcu wypaliłam – To trzeba go szukać! Chłopaki. Musimy go poszukać. Słyszycie?

Nikt nie odpowiedział.

– Ludzie! To nie takie proste – rzucił w końcu Makary. – Nie wiadomo, gdzie on jest. Jego ojciec mówił, że rano wyszedł i od tej pory go nie ma, nie wrócił.

– Halo! Czy jest tu ktoś?! Za dwadzieścia minut jest koncert! – wypalił Konrad.

Słuchałam Konrada i nie wierzyłam własnym uszom. Jak on może o koncercie mówić, gdy Wiktora nie ma? To się nie mieściło w głowie. Wkurzyłam się zupełnie.

– Co ty gadasz, Konrad! Musimy go szukać. Chłopaki! Ruszcie się. Chodźmy.

Nikt mi nie odpowiedział, nikt nawet nie zareagował. Na twarzy Sebka zobaczyłam tylko grymas bezradności. Konrad był nadal wkurzony.

– Chłopaki! Co wy? Trzeba Wiktora ratować! – już niemal krzyczałam. – Słyszycie?! No, ruszcie się. On sobie coś zrobi. Widziałam to w jego rysunkach w zeszycie. To było straszne, co on ma w głowie. Śmierć goni śmierć. Kapujecie? – patrzyłam po nich rozgoryczona. – Chłopaki! No, mówcie coś! Powiedzcie.

Nic. Zero. Jakbym tłukła w ścianę. Moja bezradność właśnie z całym impetem uderzyła o podłogę.

– On ten zeszyt zapomniał – odezwał się wreszcie Makary. – Zapomniał na wczorajszej próbie.

– Jak to?! Gdzie on teraz jest?

– Powinien być dalej w garażu.

– Tam musi coś być – rzuciłam. – Jakiś chociaż ślad, może coś zostawił. Jedźmy do garażu.

– Halo! – znów włączył się Konrad. – Zaraz jest koncert. Ja pierdzielę... Musimy grać.

– Bez Wiktora? – zdziwił się Sebek.

– Konrad. Przecież gówno z tego wyjdzie – dodał Makary.

– Nie! – wrzasnął Konrad. – Powiedz to tym ludziom przed klubem. Musimy grać, chłopaki. Gramy.

Po tych słowach czerwone drzwi się otworzyły od środka i pojawił się w nich łysy mężczyzna.

– Jak tam? Przyszedł już ten wasz gitarzysta? Chodźcie. Zaraz startujemy – powiedział.

– Nie przyszedł. Ale już idziemy – odpowiedział Konrad i zwrócił się do chłopaków. – Gramy!

Patrzyłam na Konrada i poczułam, że we mnie coś pęka. Chciało mi się krzyczeć ze złości. Czy to możliwe? Czy to jest ten mój wymarzony Konrad? Ten mega facet? Marzenie?

– Konrad? – powiedziałam.

Wreszcie spojrzał na mnie.

– Jesteś dupek! – wrzasnęłam. – Totalny dupek! Wiktor miał rację. Potrzebujesz ludzi jak narzędzi do promowania siebie. Nie obchodzi cię nikt! Zupełnie nikt! – wyrzuciłam z siebie. Spojrzałam mu głęboko w oczy i już ciszej dodałam. – Nie chcę cię. Odchodzę.

Odwróciłam się i odeszłam stamtąd. Nie chciałam, by widział moje łzy. Nie zasłużył nawet na nie.

Szłam ulicami miasta i było mi przykro. Tak cholernie przykro, jak chyba nigdy do tej pory. Jak mogłam być tak głupia? Wciąż to nie docierało do mnie. No, tak, tak. Przyznaj to wreszcie, Gośka, głupia byłaś, głupia jak but. Omamił cię. Dupek! Ale to nieważne. To nie jest teraz w ogóle ważne. Zostaw to teraz. Musisz szukać Wiktora. Weź się w garść. Wiktor, trzymaj

się. Idę do ciebie. A ty się weź i z całych sił trzymaj. Proszę cię tylko o to.

Otarłam policzki i ruszyłam prosto na autobusowy przystanek.

Nacisnęłam klamkę. Furtka wejściowa na posesję Makarego była zamknięta. O, to coś nowego. Czemu jest zamknięte? Rzuciłam spojrzenie na dom, w którym nie paliło się żadne światło, nawet to przed głównym wejściem. Oby tylko ktoś był w domu. Nacisnęłam przycisk dzwonka. Gapiłam się na drzwi domu, wypatrując tam taty Makarego lub w ogóle kogokolwiek. Niestety, nikt się nie pojawił. Nerwowo nacisnęłam dzwonek po raz drugi i trzeci. No, niech ktoś wreszcie wyjdzie. Ludzie, to pilna sprawa.

Po kolejnych dwóch naciśnięciach dzwonka już mniej miałam pewności, że w ogóle jest ktoś w domu. Niech ktoś wreszcie otworzy te drzwi. Halo?! Jest tam kto?! Zaczęłam się denerwować. Znów nacisnęłam dzwonek po raz kolejny i kolejny. Od strony domu cicho, zero reakcji. A niech to! I co teraz? Nic mi nie przychodziło do głowy. Muszę jakoś dostać się do garażu, nie ma innej opcji. Nacisnęłam dzwonek po raz ostatni, przytrzymałam go długo, aż w końcu zrezygnowana puściłam. Niecierpliwie gapiłam się na okna domu, a z każdą chwilą ubywało ze mnie nadziei, że ktoś otworzy.

Wtem w jednym z okien zapaliło się światło. To był taki słaby, blady rozbłysk, jak od lampki nocnej czy

czegoś takiego. O, jest! Wreszcie. Czyli ktoś tam jest. I miałam rację, że był, bo po kolejnej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna. Poznałam go. To ten sam, który mi otworzył furtkę, gdy przyjechałam tu pierwszy raz na próbę. Teraz stał w drzwiach i patrzył w moją stronę. Miał na sobie krótkie spodenki, koszulkę, a na stopach kapcie. Pomachałam mu szeroko ręką.

– Dobry wieczór! – zawołałam głośno.

Mężczyzna zarzucił na siebie kurtkę i wyszedł do mnie.

– Dobry wieczór – rzekł.

Miał zaspaną minę, wyglądało na to, że wyrwałam go ze snu. Chyba mnie poznał, bo od razu powiedział:

– Makarego nie ma. Chłopaki dziś grają na mieście.

– Tak, wiem – rzekłam. – Tylko Wiktor zapomniał swój zeszyt. To jest bardzo ważne. Sprawa życia i śmierci. Czy mogę tam na moment wejść? – wskazałam na garaż.

Mężczyzna podrapał się po głowie:

– Tak, naturalnie – powiedział i włożył klucz do furtki. – Już otwieram.

Gdy weszłam do garażu i się rozejrzałam, poczułam się jakoś nieswojo. Był taki dziwny, zupełnie inny, niż kiedy grały tam chłopaki. W środku paliło się tylko jedno słabe światło i było tak pusto i cicho, że w ogóle nie czuć było w nim życia. Ale dobra. Nieważne. Trzeba znaleźć zeszyt. Podeszłam do miejsca,

gdzie zwykle siadał Wiktor i przeleciałam wzrokiem po stole. Zeszytu nie było. Hmm... Gdzie on może być? Wiktor, gdzie go położyłeś? Wyobraźnia zaczęła mi działać, bo prawie znów zobaczyłam tam Wiktora, w tym kącie, jak coś z zeszytem na kolanie notuje. Zupełnie jakby tam siedział i był, cały, żywy i skupiony na notatkach. Wyglądało to normalnie jak na próbie. Z niedowierzaniem potrząsnęłam lekko głową i się ocknęłam. Obraz zniknął. Znów krzesło było puste. Och, musisz Gośka wypocząć, koniecznie. Jak to się wszystko skończy, to sobie na pewno wypocznę. Obiecuję.

Póki co, popatrzyłam po krzesłach i półkach, szukałam zeszytu nawet na podłodze. Nic. Nie ma. Gdzie on mógł go wcisnąć? Następnie odwróciłam się i przejrzałam regał. Półka, półka, znowu półka... i co? No i jest! Mam cię. Wzięłam zeszyt w ręce i zawołałam w stronę drzwi:

– Już mam! Znalazłam!

Podziękowałam mężczyźnie, wymieniłam uprzejmości i już mnie tam nie było.

Tuż po opuszczeniu terenu posesji zatrzymałam się. Tak stojąc na chodniku, w świetle ulicznej latarni zaczęłam zeszyt przeglądać.

Na pierwszej losowej stronie, którą otworzyłam, był zapisany tekst. Przeczytałam go po cichu:

Każdego dnia jest mnie trochę mniej. Jeszcze niby tu jestem, ale właściwie to już mnie tu nie ma. Coraz

mniej nitek łączących mnie z tym światem. Jakbym każdego dnia przecinał kilka z nich.

O mój Boże...Wiktor. Tylko tyle potrafiłam pomyśleć. Jego ukryty, mroczny świat, który dostrzegałam do tej pory jedynie przez smutne spojrzenie, teraz zaczynał nabierać więcej kształtów, zyskiwał trójwymiarowości. A więc to jest proces, ucinanie nitek łączących ze światem. Ile ci jeszcze tych nitek zostało? No, powiedz. Mam nadzieję, że się jeszcze trzymasz. Jednak patrząc na to, że poświęciłeś dziś koncert, to trudno było mi pomyśleć, co się teraz z tobą dzieje... Bbrrrrr... Na samą myśl obleciał mnie dreszcz. Obyś nie trzymał się już na ostatniej.

Nie czekając na nic, przerzuciłam na kolejną stronę. Na tej był rysunek wyciągającej się z wody ręki i pod nim tekst:

Podobno tonący łapie się nawet brzytwy. Ja jej się też łapię, ale tylko po to, żeby się nią podciąć.

Z wrażenia aż przytknęłam dłoń do ust. Nie chciałam już przewracać kartek dalej. Nie czułam się za dobrze. To wszystko się łączyło, to była jedna historia. Przypomniałam sobie, jak mi mówił o latających myślach nad głową. Nazywał je „motyle". Te cholerne, kolorowe motyle... Jak przeklęci posłańcy przynosiły mu cały ten jad. Nitki, brzytwy czy wyrwane hamulce bezpieczeństwa to wszystko miało jeden mianownik

i prowadziło do tego samego końca. Tylko, gdzie jest ten koniec? Gdzie ty teraz jesteś, Wiktor? Muszę ten koniec odnaleźć.

Spojrzałam jeszcze na datę przy rysunku ręki. To był wpis z czwartku czyli z przedwczoraj. Dobra, Gośka, nie ma wybacz. Musisz zobaczyć, co jest na ostatniej kartce, co on wpisał tam wczoraj.

Złapałam za róg strony i drżącą ręką powoli odwróciłam. O szlag! Wiktor! Otworzyłam szeroko oczy. Ja pierdu... Aż mnie zmroziło. Gapiłam się na ostatnią kartkę jak zahipnotyzowana. Na stronie znajdował się narysowany czarnym długopisem rysunek. Dotknęłam papieru opuszkami palców i powoli przesunęłam. Pod palcami czułam zagłębienia po długopisie, tak mocno było to wyryte czy raczej z silną emocją. Rysunek przedstawiał most, taki duży most, pod którym na dole nadjeżdżał pociąg. Na rysunku na torach znajdował się jeden tylko napis. Słowa układały się w tekst: NO HOPE REVOLUTION. No to znalazłam wreszcie koniec.

Rozdział 10

Koniec

Nie wiem jak długo biegłam, ale nie czułam wcale zmęczenia. Jakby ktoś wyłączył we mnie jakiś sensor odpowiedzialny za jego odczuwanie. Wcześniej podjechałam w ten rejon autobusem, to był ostatni przystanek, gdzie kończyła się trasa, a wraz z nią jakiekolwiek zabudowania miasta.

Most z ostatniej zapisanej strony zeszytu Konrada znałam dobrze, bo przejeżdżaliśmy z rodzicami przez tę okolicę zawsze w drodze do pewnej ciotki. Mieścił się na obrzeżach miasta, właściwie to już było samo zadupie, taka droga wylotowa z metropolii. Miał charakterystyczną konstrukcję z szeroko rozstawionymi przęsłami. Był wielki, a droga, która przez niego przebiegała, należała do ruchliwych. Rozpoznałam go na kartce od razu.

Gnałam tak ile sił w nogach i już prawie go widziałam. Wyłonił się zza linii drzew, wielki, oświetlony setkami drobnych podwieszanych świateł most, po którym pędziły samochody, a pod którym nisko na dole przebiegały prostopadle tory. Muszę zdążyć. Nie ma innej opcji. Byłam czujna i skupiona. Docierał do mnie jedynie świst mego szybkiego oddechu i warkot szybko przejeżdżających obok samochodów. W głowie

natomiast pulsowało rytmicznie serce. Dobra, Gośka. Jesteś. Już prawie jesteś.

Ta noc należała do ciemniejszych. Księżyca nie było wcale, żadnych gwiazd, dosłownie niczego. Wszędzie wysoko wlokły się ciężkie deszczowe chmury. Jedyne co rozświetlało most to małe drobne światełka, które w tej scenerii połyskiwały wysoko na linach, prawie jak udawane gwiazdy.

Dotarłam wreszcie na miejsce, zdyszana, spocona i cała roztrzęsiona w środku. Co ja wam będę ściemniać. Tak, bałam się. Okropnie się bałam. Obawiałam się tego, czy zdążę, co z Wiktorem, co tu znajdę i co zobaczę. Zresztą, sami powiedzcie, kto by się nie bał? Starałam się trzymać te strachy z całych sił w środku. Za nic nie mogłam ich puścić i pozwolić im się wydostać. To byłby koniec – panika i zero myślenia. A to właśnie trzeźwe myślenie było mi teraz potrzebne najbardziej.

Skup się Gośka, skup. On gdzieś tu jest. Musi być. Rozglądam się to po jednej stronie ulicy, to po drugiej. Auta pędzą jak szalone, osobówka, tir, osobówka i z znów tir. Tak w kółko. Wiktora nigdzie nie ma. Przechylam się przez barierkę i spoglądam na dół. Też nic. No nie ma go. Wiktor, gdzie ty do cholery jesteś?! Wiem, że tu jesteś. Tylko gdzie? Może na dole, gdzieś tam dalej, pod mostem? Jeszcze sprawdzę z drugiej strony i spróbuję tam zejść. Czekam, aż auta przejadą i przebiegam przez ulicę. Wychylam się przez barierkę, patrzę w dół. Nie ma, no kurcze, nie ma.

Przelatuję wzrokiem po torach. Nic nie widać. Nie no, w takim razie musi być na dole. Tylko, jak się tam na dół w ogóle dostać? Kątem oka coś dostrzegam. Coś tam widać z boku w świetle tych małych gwiezdnych świateł. Wysilam wzrok, aby zobaczyć i przechylam się przez barierkę jak tylko mogę. Coś tam jest, ktoś tam siedzi. Patrzę, pada więcej światła. O nie! Tę czuprynę poznam wszędzie.

– Wiktor!!! – wrzeszczę z całych sił. Mój krzyk ledwo przebija się przez ścianę hałasu wydawanego przez przejeżdżające tiry. – Wiktor!!!

Nie słyszy mnie. A przynajmniej nie reaguje. Biegnę w tamtą stronę. Już tam jestem. Przechylam się przez barierkę. Mój Boże. Jest! To on. Siedzi na konstrukcji mostu tuż pod spodem.

– Wiktor!!! – znów krzyczę.

Wreszcie mnie usłyszał. Podniósł w górę głowę.

– Gośka?! – krzyczy z niedowierzaniem.

Jak on się tam dostał? Jakoś musiał. Rozglądam się, jak tam można do niego zejść. Patrzę w dół i co? No jest, jest drabinka. Bez zastanowienia szybko przerzucam się przez barierkę, by do niego zejść. Pode mną kilkanaście metrów, przepaść. Oj, oj, uważaj Gośka, cholernie uważaj! Nie możesz teraz spaść. To byłby koniec. Ale nie ma czasu na myślenie. Łapię się za szczeble drabiny, krok za krokiem schodzę. Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden i już, jestem przy nim. Siadam tuż obok i bez słowa go obejmuję.

– Gośka! – woła i też mnie obejmuje.

Właściwie to nie trzeba tu mówić nic więcej. To taki moment, gdzie komentarz, choćby nie wiem jak najlepszy, jest zwyczajnie zbędny. Bo co wam będę opowiadać? Że Wiktor się popłakał? I że ja też się rozryczałam? Miałam go w ramionach i to się liczyło. Nie potrzeba było nic więcej.

– Bardzo się o ciebie bałam, Wiktor.

– Gośka. Skąd wiedziałaś?!

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Taka cisza, jak wtedy na łące przy strumieniu, gdy siedzieliśmy na trawie i zajadaliśmy się śliwkowym ciastem mamy. Tutaj co prawda huczały w górze tiry, ale ta cisza wciąż była w nas, silniejsza niż najgłośniejszy hałas. Siedzieliśmy tak dobrą chwilę, nic nie mówiąc i tylko się obejmując. A Wiktor? Co z nim? Wyglądał, jakby coś się w nim w jednej chwili rozładowało. Co dokładnie to było? Nie wiem. Wiem, że wychodziło teraz z niego i spływało po policzkach. A było w nim tego naprawdę dużo, w tych jego ładnych, smutnych oczach.

– Gośka, ja już mam dość – szepnął. – Powiem ci, że wysiadam, wysiadam zupełnie. Mnie już prawie nie ma. Kapujesz? Nie ma mnie.

Gapiłam się na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu nie odpowiedziałam nic, pozwoliłam mu mówić.

– Tutaj – wskazał na głowę. – Za dużo złych myśli. Rozumiesz? Ja już o niczym innym nie umiem myśleć. To mnie wypełnia całego, do końca – mówił przez łzy. –

Zwlekam się rano z łóżka i myślę, jak to zrobić – wskazał głową na tory. – W łazience widzę żyletki do golenia od taty, to patrzę na nie, zupełnie jakbym patrzył na tabliczkę z napisem „Wyjście ewakuacyjne". Idę do szkoły, a ruchliwa ulica kusi, cholernie kusi. Zrobić jeden krok pod samochód. Ulżyć sobie. Jeden krok. Tyle. Wszędzie to widzę, to jest ze mną wszędzie, Gośka – załkał. – Kurwa! Ja już tego nie wytrzymuję. Za dużo jest, Gośka. Uwierz. Zaaaa duużooo. Przepraszam – wyrzucił i jeszcze mocniej się rozpłakał.

Objęłam go i znów przytuliłam.

– Tak mi przykro – szepnęłam.

Chciałam mu powiedzieć, że już dobrze, żeby nie myślał, ale nie było dobrze. Było daleko od jakiegokolwiek „dobrze". To, co w nim na pewno widziałam, to że był teraz jak nabrzmiały, bolesny balon pełen tych wszystkich ciężkich myśli, który teraz pękł. Tak po prostu pękł i się z niego to złe wylewało. Chyba za długo nosił to w sobie, więcej już nie pomieścił.

– Jak ci mogę pomóc? Powiedz Wiktor, mów.

– Pomóc? – ucichł na moment. – Nie wiem, ja nie mam pojęcia. Ciężko. Co to w ogóle jest? Nie wiem – zrobił pauzę, i z obawą spojrzał na dół na tory. – Boję się.

– Czego się boisz? – bardzo delikatnie zapytałam.

Wiktor głośno westchnął.

– Sorry, Gośka. Nie wiem, jak to powiedzieć – ocierał policzki. – No, co ci będę mówić? Boję się... no, że w końcu to zrobię.

Gdzieś z dali widać było jakieś światła. Zaraz po tym rozległ się przeszywający odgłos trąbienia. Podniosłam głowę i spojrzałam przed siebie. Nadjeżdżał pociąg.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że z Wiktorem zaczyna się coś dziać. Zacisnął mocno oczy i zaczął się lekko kołysać w tył i w przód. Widać było, że coś w jego środku się dzieje. Sięgnęłam i złapałam go za rękę.

– Wiktor? Jestem tutaj. Co się dzieje? – obleciał mnie strach.

Nie odpowiedział. Tylko ściskał powieki i się kołysał.

– Wiktor?! Mów! – zacisnęłam mocniej jego dłoń w swojej.

Pociąg był coraz bliżej. Zaraz miał przejeżdżać pod nami pod mostem. Maszynista chyba już nas wypatrzył, bo zatrąbił jeszcze kilkukrotnie. Rozległ się hałas szybko nadjeżdżającego składu.

– Gośka! – krzyknął Wiktor i ścisnął moją dłoń jeszcze silniej. – Ten miał być mój! Rozumiesz?! Dwudziesta trzecia piętnaście! Katowice-Kraków! Na niego czekałem! – przekrzykiwał pociągowy huk.

Już rozumiałam, co teraz przeżywał. Troje pociągowych świateł ułożonych w trójkąt oślepiło nas zupełnie, że sama zamknęłam oczy. Ale trzymałam go mocno i już nie puściłam. Pociąg głośno turkotał pod nami, że trzęsło nawet mostem, ale dla mnie w tej chwili najważniejsze było, że go czułam tam w dłoni. Nie możesz odejść, Wiktor. Po prostu nie możesz. Ja cię już nie puszczę.

Gdy pociąg przejechał, tak nagle zrobiło się cicho. Nie, nie chodziło tylko o pociąg, ale w ogóle cicho. Żadne auta na górze nie przejeżdżały, jakby ktoś cały dźwięk w okolicy jednym pstryknięciem magicznie wyłączył. To było dziwne. Spojrzałam na Wiktora, a on spojrzał na mnie. Już wtedy widziałam, że najgorsze w nim właśnie przeszło. Przeżył to. Przeszedł. Teraz mogło być już tylko lepiej.

Wracaliśmy do domu, spokojnie sobie idąc w stronę miasta. Nigdzie nam się już nie spieszyło. Na ulicach ruch malał, miasto już spało, a nad nami znów była ciemna noc, tak jak wtedy nad strumieniem, gdy siedzieliśmy na trawie i sobie fajnie gadaliśmy. Czułam się bardzo podobnie. Nawet gwiazdy zaczęły wychodzić, choć nic wcześniej nie zapowiadało, że będzie je widać tej nocy.

– Patrz – rzekłam. – Chyba uciekł nam ostatni autobus – zauważyłam, gdy dochodziliśmy do przystanku autobusowego. – Ale to nic.

– Jasne, że nic – przyznał. – Przejdziemy się. Czasem tak się zdarza, że coś ucieknie.

– Tak, zdarza się. I ludzie wtedy myślą, że coś stracili. A tak naprawdę, może zyskali więcej, niż im się wydaje.

Wiktor zatrzymał się i odwrócił na moment. Spojrzał wzdłuż ulicy, skąd przyszliśmy, gdzie daleko na końcu widać było jeszcze most. Stał tak i milczał. Nie powiedział mi tego, ale byłam prawie pewna, że po-

myślał w tej chwili o sobie. Jemu też uciekł dziś pociąg, bardzo ważny dla niego pociąg. I też dziś zyskał coś cennego.

– Wiesz co, Wiktor? – zapytałam.

– No?

– Ja nic o tobie nie wiem – powiedziałam.

– Ja o tobie właściwie też – przyznał. – A co byś chciała wiedzieć?

– Hmm... nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Chyba tak normalnie, jak poznają się ludzie. No wiesz, ja lubię śliwki, a ty brzoskwinie. Ty lubisz niebieski, a ja zielony. Cokolwiek. Wiesz, takie małe, fajne pierdołki, które sprawiają, że drugiego człowieka jest tu trochę więcej – wskazałam na swoją głowę.

– Aha, w sensie co lubię? To chyba będzie trudne – przyznał. – Bo mnie ostatnio prawie nic nie cieszy.

Ruszyliśmy dalej przed siebie.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytałam.

– Czy chcę? Nie wiem. Nie chcę znowu lać ci żalów.

– Przestań. Mów.

– Serio. Dość na dziś już smutku. Mam dość. Mi już wystarczy. Pogadajmy o czymś przyjemniejszym.

– To powiedz, jakie masz marzenia? Co najbardziej chciałbyś?

Na to pytanie Wiktor znów posmutniał. O, czy zrobiłam coś nie tak? Chyba nie. Ale nic nie mówiłam, poczekałam, aż odpowie. Gdzie on był teraz myślami? Co tam się działo pod tą jego czupryną? Tego nie wiem. Ale wiem, że po chwili wygasił smutną

emocję, bo twarz zaczęła lekko pogodnieć. W końcu się odezwał.

– Powiem – rzekł. – A nie będziesz się śmiać?

– Nie, skąd. Mów.

– Obiecujesz?

– Jasne. Słowo – zapewniłam.

– Chciałbym pójść z tobą do parku – wyznał. W tonie jego głosu słychać było tremę.

– Do parku? – zdziwiłam się.

– Tak. Lubię takie miejsca.

– I tylko tyle?

– No – powiedział niepewnie i mnie obserwował.

– Dobra. Masz to u mnie – odparłam.

– A ty? – zapytał. – Jakie masz marzenia?

Szliśmy tak przez miasto jak dwójka dobrych znajomych, którzy wracają z kina czy z teatru. Ot, taka zwyczajna para, jakich pełno w centrum. On czymś się ze mną podzielił i ja się podzieliłam, to znowu on, tak sobie zwyczajnie gadaliśmy. Nikt z mijanych przechodniów nie mógł się nawet domyślić, co się z nami działo jeszcze przed chwilą. Przyglądałam mu się co jakiś czas i powiem wam, że Wiktor wracał do żywych, z każdą minutą było go odrobinę więcej. Im temat był luźniejszy, tym więcej przybywało Wiktora.

Odprowadziłam go do domu. Okazało się, że mieszkał niedaleko, na osiedlu tuż obok mojego. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest tak blisko. To było zaledwie jakieś pięć minut pieszo. Gdy stanęliśmy przy wejściu

do klatki schodowej jego bloku i przyszło się pożegnać, spoważniałam:

– Wiktor?

– Tak.

– Mam do ciebie prośbę.

– Słucham – zainteresował się.

– Wiesz... chciałam cię poprosić... – zaczęłam dukać i powiem wam, że nie szło mi łatwo. – Poprosić o to... że jakbyś poczuł się źle... no wiesz... wiesz, o co chodzi... to zadzwoń do mnie.

Od razu załapał, co mam na myśli. Nic nie powiedział, pokiwał tylko głową.

– O to jedno cię proszę. Nic więcej nie musisz – rzekłam.

– Pewnie, Gośka. Zadzwonię – odezwał się.

Objęłam go i mocno przytuliłam. Tak go trzymałam i nic nie mówiliśmy, prawie tak jakbyśmy już dziś wszystko powiedzieli, co trzeba było powiedzieć i zrobili, co trzeba było zrobić. Było bardzo fajnie, to był dobry dla nas moment. Choć wszystko kończyło się niby dobrze, to nie ukrywam, że w głowie wciąż się o niego bałam. Przycisnęłam go do siebie jeszcze mocniej.

– A teraz się trzymaj. Mocno się trzymaj – podałam mu swój numer. – I pamiętaj, zadzwoń. Obiecaj.

– Jasne – zapewnił.

Odchodziłam stamtąd pełna setki uczuć. Był tam strach, niepokój czy zmęczenie, ale były też te dobre uczucia, a wśród nich wiara w to, że jak będzie trzeba

to zadzwoni. Wierzyłam, że tak będzie, chciałam w to wierzyć. A jak będzie? Tego nikt nie wie.

– Gośka! – usłyszałam jeszcze za sobą.

Odwróciłam się do tyłu. Wciąż tam był, stał przy drzwiach wejściowych do bloku, tak jak go tam zostawiłam.

– Dzięki! – zawołał, po czym zniknął gdzieś za drzwiami.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy kluczem otworzyłam drzwi od domu. W przedpokoju czekała na mnie już mama. Nic nie mówiła, nie strofowała, tylko się na mnie patrzała.

– Mama? – zrobiłam krok do przodu i ... bam. Oberwałam w policzek. Zdążyłam podnieść głowę i ... bam, znów oberwałam.

Jak się szybko okazało, moje kłopoty dopiero się zaczęły.

Rozdział 11

Przyrodnik

To była trudna dla mnie noc. Po tej pamiętnej sobocie z Wiktorem długo nie mogłam zasnąć. Przewracałam się tylko z boku na bok i ostatecznie zasnęłam dopiero gdzieś nad ranem. W głowie wciąż miałam Wiktora tak samo zresztą, jak wszystkie inne wydarzenia z całego dnia. W myślach ostatecznie pogrzebałam moją relację z Konradem. To się musiało kiedyś stać, szkoda tylko, że stało się w tak tragicznych okolicznościach, gdzie koncert okazał się dla niego być ważniejszy niż człowiek. Sama nie wiem, jak to się stało, że tak mnie oczarował. A może ja byłam taka naiwna? Nie przychodzi mi to do głowy łatwo, ale w tej sytuacji sama sobie byłam winna. No bo jak to inaczej wytłumaczyć? Ech... zresztą nieważne. Nie chce mi się już o nim dłużej myśleć. Szkoda mi życia na to.

Za to w domu od samego rana czuć było, jakby coś zdechło. Jeżeli coś tego dnia umarło, to na pewno była to moja relacja z mamą. Już nawet nie podjęłam żadnych prób wyjaśnienia, no bo co jej niby miałam powiedzieć? Musiałabym wszystko mówić od samego początku, od Konrada, prób zespołu, potem od koncertu, wagarów czy wydarzeń z Wiktorem. Ta cała historia

była jak długi, nawinięty na szpulkę sznurek, którego nie dało się poznawać jedynie po kawałku, trzeba było go wyciągnąć cały aż do samego końca, a na to nie byłam gotowa. Może kiedyś. Teraz dolałoby to jedynie oliwy do i tak już mocno rozpalonego ognia.

Długo zastanawiałam się nad Wiktorem i ostatnimi wydarzeniami. Nie wiedziałam, co o tym myśleć i co gorsza, co dalej robić. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji, a powiem wam, że czułam się w tym, jakbym stąpała po kruchym lodzie, ciągle obawiając się, że kolejny krok może być ostatnim. W każdym razie dużo było w tym niepewności. Ale jedno było pewne – trzeba mu było jakoś pomóc. Pomyślałam, że pogadam o tym z Zuzą. Ostatecznie lepiej jej idą takie życiowe tematy, może coś będzie wiedzieć i coś będzie mogła doradzić. Postanowiłam zadzwonić do niej gdzieś po południu.

– Zuza? No hej – przywitałam się.

– Hej, Gośka. Siemka.

– Mam problem – rzuciłam od razu, bez owijania w bawełnę.

– O, co się dzieje?

Aby nikt nie słyszał naszej rozmowy, upewniłam się, że drzwi mojego pokoju są zamknięte.

– Powiedz mi, co twoim zdaniem trzeba zrobić, jak ktoś ciągle myśli, jak ze sobą skończyć. Jak z taką osobą gadać?

– Uuu. No nie mów – wzdychnęła Zuza i w momencie spoważniała. – Znaczy się, że o ciebie chodzi?

– Nie, nie martw się. Nie o mnie.

Opowiedziałam jej krótko o Wiktorze, ale bez wchodzenia w szczegóły i wydarzenia na moście. Za to sam stan Wiktora starałam się opisać tak szczegółowo, jak się tylko da.

– Lekarz – od razu odparła Zuza. – Koniecznie kontakt z lekarzem.

– Lekarz? – zdziwiłam się. – Ale... ale on nie jest chyba chory.

– Lekarz, Gośka. Mówię ci. Lekarz – upewniała. – Powiem ci, że mój kuzyn miał tak samo. Ledwo co go odratowali, bo kuzyn był w takim stanie, że przeszedł, jak się to mówi, „próbę". A potem lekarz mu pomógł, znaczy się psychiatra. Trafił też na psychoterapię z psychologiem.

– Psychiatra? – zdziwiłam się.

– Tak, psychiatra – odparła. – Tu nie ma się co wstydzić. Tu o życie chodzi.

– Hmm... to mnie zaskoczyłaś – przyznałam.

Do tej pory nazwa tej specjalizacji kojarzyła mi się trochę inaczej. Pomyślałam, jak to będzie wyglądać, gdy powiem Wiktorowi, aby skontaktował się z psychiatrą. Na tę chwilę nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

– Im wcześniej ten Wiktor się zgłosi, tym lepiej. Nie ma co takich spraw odkładać.

Drzwi mojego pokoju się otworzyły i stanął w nich Oskar. Z jego miny wróżyłam, że coś się złego stało.

– Dobra. Dzięki, Zuza. Bardzo mi pomogłaś – przyznałam. – Muszę kończyć.

– No, cześć.

Oskar podszedł do mnie i z tą swoją smutną miną powiedział:

– Gosia. Znowu to czuję. Tu – wskazał na klatkę piersiową.

– Przepraszam, Oskar. Tak mi przykro.

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć i jak pocieszyć. Było mi źle, że on to wszystko czuje. Z drugiej strony tak niewiele mogłam zrobić. Wyciągnęłam rękę i lekko pogłaskałam go po głowie.

– Mama to cię jednak nie lubi – rzekł. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Następnego dnia spróbowałam ocieplić nieco relację z mamą. Z samego rana, kiedy przygotowywałam się do szkoły, spotkałam się z nią w kuchni. Coś tam układała w kredensie. Niby patrząc na nas z boku wszystko było w porządku, niby nic się nie działo, ale znaliśmy się z mamą bardzo dobrze i obie wiedziałyśmy, że coś wisi w powietrzu i że atmosfera między nami wciąż jest zła.

– Hej mama. Fajny dzień, nie? – zagadnęłam.

– Fajny – odparła krótko.

– Widziałaś moje śniadanie? – zapytałam, rozglądając się za pudełkiem z kanapkami do szkoły.

– Zrób sobie, Gośka. Ja nie mam teraz czasu – stwierdziła i dodała z przekąsem. – Dorosła jesteś, nie?

Oj, nie wyglądało to dobrze. Poczułam się nie za fajnie, szczególnie z tym ironicznym stwierdzeniem,

że jestem dorosła. Dalej siedziała w niej złość na mnie i trudno było na to cokolwiek zaradzić. Chyba po prostu musi się to w niej wystudzić. Ech, czemu na wszystko potrzeba tyle czasu?

– OK, zrobię – rzekłam pogodnie i wzięłam się za przygotowywanie kanapek.

W tej samej chwili zadzwonił mój telefon. Wyciągnęłam go z kieszeni i spojrzałam na wyświetlacz. Dzwonił numer spoza listy kontaktów. Kto to może być? Przesunęłam palcem, odbierając rozmowę.

– Halo?

– To ja, Wiktor – usłyszałam głos.

W sekundzie zrobiło mi się gorąco. Wiktor?! Puściłam szybkie spojrzenie na mamę, która dalej coś tam przestawiała w kredensie, ale byłam przekonana, że słuch miała skierowany prosto na mnie. O nie, Gośka. Myśl. Trzeba jakoś z tego wyjść. Mózg momentalnie wskoczył mi na turbo-obroty, bo w końcu mnie olśniło.

– O, cześć! – rzuciłam do słuchawki. – Aha. OK. Czekaj, tylko sprawdzę. – dodałam i szybkim krokiem wyszłam z kuchni.

W swoim pokoju zamknęłam drzwi.

– Gośka, co się dzieje? – zapytał Wiktor.

– Przepraszam – szepnęłam do aparatu. – Musiałam się ewakuować. Jest już w porządku. Mów. Jak się czujesz?

– Nie jest dobrze – przyznał. – To wszystko wraca.

– Ojej – zmartwiłam się. – Rozumiem.

– Obiecałem ci, że zadzwonię, to dzwonię.

– Bardzo dobrze zrobiłeś.

Mój mózg znów zaczął się rozpędzać. Zastanowiłam się, co tu robić, ale jedno było pewne. Muszę z Wiktorem jak najszybciej się spotkać. Nie ma innej opcji.

– Słuchaj. Masz możliwość spotkać się dzisiaj gdzieś na mieście?

– Tak.

– Rano? Teraz?

– Tak, mam.

– Dobra. To spotkajmy się na przystanku autobusowym na Klemensowej. Pasuje ci?

– Pasuje. O której?

– Jak będziesz wcześniej to poczekaj na mnie. A jak ja, to poczekam na ciebie.

– OK. Dzięki.

Drzwi mojego pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich mama.

– To tyle. Trzymaj się Kinga! – rzuciłam szybko do słuchawki – Do zobaczenia w szkole. Cześć.

– Kinga? – zdążył jeszcze zapytać Wiktor i w tej samej chwili się rozłączyłam.

Spojrzałam niepewnie na mamę, badając, czy cokolwiek usłyszała. Miałam nadzieję, że nie.

– Szukam żelazka – poinformowała i jakby nigdy nic, zaczęła rozglądać się po moim pokoju.

– Jest u taty – wskazałam ręką na drzwi. – Jak zawsze zresztą – dodałam już pod nosem.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie i skierowała się do wyjścia. Nie podobała mi się cała ta sytuacja, bo to takie prawie jawne kontrolowanie, jakbym potrzebowała jakieś w ogóle kontroli. Za kogo ona mnie ma? No chyba tylko za małe dziecko.

Mama już niby miała wychodzić, gdy się odwróciła do mnie i zapytała:

– Kto dzwonił?

– A, Kinga dzwoniła – odparłam pewnie. – Kumpela z klasy. Chciała, żebym jej wzięła zeszyt z polaka.

Mama spojrzała na mnie takim wzrokiem, który mówił mniej więcej „Dobra, dobra, Gośka. Wiedz, że tu jestem i że cię obserwuję. Miej się na baczności". Odwróciła się i wyszła z pokoju. Odetchnęłam głęboko. Ufff, udało się.

Już kiedy podchodziłam na przystanek autobusowy na Klemensowej, zauważyłam, że z Wiktorem faktycznie było bardzo źle. Na twarzy wypisane miał zmęczenie jak po ciężkiej, nieprzespanej nocy. To nie był ten sam Wiktor, którego poznałam. Jak zaczęliśmy rozmawiać, to okazało się, że moje wrażenie wcale nie jest mylne.

– Sorry, Gośka, że ci głowę zawracam. Tylko czułem, że cię zawiodę, jak nie zadzwonię.

– Jest w porzo. Mów, co się dzieje.

– Miałem ciężką noc. Co ci będę mówił. Za dużo motyli, no wiesz, o co chodzi – westchnął.

W tej samej chwili zauważyłam z boku twarzy prześwitujące między opadającymi włosami sine miejsce.

– Znowu ta szafka, co? – zapytałam.

– Tak – rzucił smutno. Milczał chwilę, aż w końcu wyznał. – To ojciec.

Zrobiło mi się tak smutno, że nic nie odpowiedziałam. Pokiwałam tylko głową. Nie wiedziałam, co mogę więcej na to powiedzieć. Porażka. Staliśmy tak tam na przystanku i gapiliśmy się na siebie, jak dwójka małolatów, która znalazła się w sporych kłopotach. Choć zresztą tak właśnie było, co tu dużo mówić. Jak nie ojciec alkoholik, to niewyrozumiała matka, a jak nie matka, to znowu ojciec, który wali w gębę. Ja też już trochę miałam tego dość. To wszystko mnie przerasta. Co robić? Co mówić? Czego nie robić? O, szlag. Serio. Miałam dość.

W końcu tak znikąd zapytałam:

– Pamiętasz, co ci obiecałam?

– Nie – odparł zdezorientowany.

– Że pójdę z tobą do parku.

Spojrzał na mnie i dalej wyglądał na zagubionego. Chyba tego się nie spodziewał.

– Aaa, tak. Zgadza się.

– Chodź, Wiktor – rzekłam. – Nic nie mów. Idziemy do parku.

Złapałam go za rękę i pociągnęłam za sobą. Poszliśmy.

Zaprowadziłam go w to samo miejsce, gdzie przychodziliśmy wcześniej z Konradem. Lubiłam tę część

parku. Było tu naprawdę fajnie, a najbardziej podobało mi się to, że mało kto tędy przechodził. Tamtego dnia aleje usłane były bogato liśćmi, tak iż, jak szliśmy tam, to słychać było specyficzny, przyjemny szelest. A potem przysiedliśmy na tej samej ławce, na której siadałam z Konradem.

Postanowiłam być z Wiktorem szczera.

– Wiesz, ja nie potrafię ci pomóc – przyznałam.

Spojrzał na mnie tymi smutnymi oczami. Pokiwał tylko głową i nic nie odpowiedział.

– Ale wiem, kto mógłby pomóc.

– Tak? – zapytał obojętnie.

– Lekarz mógłby pomóc – rzekłam.

– Lekarz? – zdziwił się.

Czułam, jak schodzimy na delikatny temat.

– Tak. Są tacy lekarze, którzy potrafią odgonić od ciebie motyle.

– O, serio?

Zauważyłam, że coś w nim się lekko ruszyło. Ja z kolei nie wiedziałam, jak mu o tym powiedzieć. Nie byłam dobra w takie rozmowy. Tutaj bardziej przydałaby się Zuza.

– Serio. Tacy lekarze przyrodnicy, co się znają na motylach – wyjaśniłam.

– Hmm... – zastanowił się. – Żartujesz, nie?

– Nie.

– Wszystko spoko, tylko... że ja nie jestem chory – zauważył.

– Nie musisz być – dodałam. – Tu chodzi o motyle, nie o ciebie.

Sama się sobie dziwiłam, skąd mi się wziął ten pomysł z motylami. Ale wyglądało, że zadziałał całkiem dobrze.

– To ciekawe – przyznał. – Ale powiedz, o co w tym chodzi?

– To taki lekarz od duszy. No wiesz, tak mówiąc już całkiem po ludzku, to od zdrowia psychicznego.

– Aaaa – westchnął. – Ale ja chyba nie jestem walnięty, co?

– Skąd. Pewnie, że nie jesteś. Potrzebujesz porady i trochę z lekarzem pogadać.

– Nie wiem – zastanowił się. – Nie widzę tego. To chyba bez sensu.

– Słuchaj. A powiedz mi, co masz do stracenia?

Gadaliśmy w ten sposób dalej i tak od słowa do słowa widziałam, jak coraz bardziej się przekonywał. Nie miałam pojęcia, skąd brały mi się pomysły do rozmowy, ale czułam się zadowolona z siebie, a przede wszystkim z tego, że w końcu Wiktor się zgodził. Nie widziałam w nim wiele nadziei, ale to nie o nadzieję tu chodziło, nie oczekiwałam jej nawet. Po nadzieję, to on dopiero miał do tego lekarza iść.

Siedzieliśmy na tej ławce jeszcze kilka chwil, aż w pewnym momencie Wiktor wyciągnął paczkę papierosów. Podsunął ją w moją stronę:

– Palisz? – zapytał.

Czy palę? Czy ja w ogóle palę? Dobre pytanie. To była bardzo podobna sytuacja do tej z Konradem. Ba! Nawet to miejsce było to samo i ta sama ławka, a na-

wet pora dnia. Patrzyłam to na paczkę, to na Wiktora, aż w końcu najdelikatniej, jak tylko potrafiłam, odparłam:

– Dzięki, nie palę.

Obserwowałam, co zrobi teraz Wiktor. On z kolei pokiwał z aprobatą głową i rzekł:

– Dobrze robisz. Te fajki to jest syf – stwierdził i dodał. – Też kiedyś muszę rzucić.

To ci dopiero była różnica. W głowie prawie że widziałam Konrada, jak mnie kusi i nakłania do tego, aby zapalić. A Wiktor tak ni z gruchy ni z pietruchy odpala po prostu tekstem „Dobrze robisz". No, znów mnie zaskoczył ten facet.

Potem wróciliśmy do tematu zdrowia i tego naszego przyrodnika. Sprawdziliśmy w Internecie, jak się dostać do lekarza psychiatry i okazało się, że nawet nie potrzeba było skierowania, a co lepsze, były takie placówki, gdzie można było się nawet zgłosić tak zwyczajnie prosto z ulicy. Wejść i zostać przyjętym. Przeczytaliśmy, że niedaleko znajdowało się takie centrum zdrowia, w którym można było to zrobić. Pomyślałam, że musimy ruszyć się z ławki, zwyczajnie tam iść i się skontaktować.

– Cykam się trochę – przyznał Wiktor, gdy siedzieliśmy w poczekalni Centrum Zdrowia Psychicznego. – No wiesz, nigdy nie byłem u takiego lekarza.

– Nie przejmuj się. Ja też nie – próbowałam dodać mu odwagi.

A potem przyszła kolej na jego wizytę. Pani doktor wyszła przed gabinet i go zawołała. Wszedł tam i zniknął za białymi drzwiami, a ja pomyślałam, co teraz będzie. Zgrywałam przy nim taką pewniaczkę z tym przyrodnikiem, ale sama nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi. Zuza, obyś miała rację, że lekarz pomoże. Nie mamy zresztą żadnych innych opcji.

Wiktor siedział w gabinecie długo, że aż zaczęłam się niepokoić o niego, czy wszystko idzie tam dobrze. Ludzie wchodzili do centrum, wychodzili, coś tam załatwiali. A ja siedziałam i gapiłam się w białe drzwi gabinetu. Znów byłam na wagarach, ale co tam. To są rzeczy ważniejsze niż szkoła. Już chyba też trochę się do tych wagarów przyzwyczajałam, a to z kolei nie było dobre.

Wreszcie Wiktor wyszedł z gabinetu. Pożegnał się z doktor i usiadł przy mnie. Minę miał jakąś dziwną, w każdym razie nie umiałam z niej za wiele wyczytać.

– I jak? – zapytałam.

– W porządku – rzekł. – Pogadałem z tą doktor. Trochę jej opowiedziałem.

– To fajnie. Cieszę się.

– Pytała mnie o bardzo różne rzeczy – powiedział. – Szczególnie o śmierć mamy, jak ją przeszedłem, ale też jak się czuję w sytuacji z ojcem. No i o te moje motyle.

– Sorry, że tak zapytam, ale czy coś więcej mówiła?

– Mówiła, że leki są ważne, abym je przyjmował. I żebym przyszedł tu za tydzień.

Wracaliśmy do domu trochę podobnie jak ostatniego weekendu w nocy, gdy szliśmy przez miasto po wydarzeniach na moście. Wtedy autobus nam uciekł, a teraz nawet nie chciało nam się sprawdzać, kiedy przyjedzie. Gdy mijaliśmy kolejne przystanki autobusowe to albo Wiktor machnął ręką, albo ja machnęłam na znak, że nie czekamy i idziemy dalej. Choć żadne z nas tego na głos nie powiedziało, to tak czułam, że i on i ja chcieliśmy w ten sposób spędzić więcej czasu razem. To było miłe.

W domu też było nie najgorzej. Już kiedy tylko weszłam do mieszkania, Oskar przybiegł do mnie i przybił mi piątkę. Tata przechodząc z kuchni do pokoju, machnął w moim kierunku ręką na przywitanie. Potem standardowo umyłam dłonie, a następnie poszłam do kuchni na obiad. Mama nalała mi zupę na talerz i było tak całkiem fajnie, tak bardziej normalnie chciałoby się powiedzieć.

– Jak tam w szkole? – zapytała mama, podając mi posiłek.

– A, tak sobie – odparłam. – Jakoś idzie. Coraz więcej mamy różnych kartkówek i sprawdzianów.

Mama odłożyła garnek z zupą, spoważniała i rzekła:

– Dzwonili z twojej szkoły – urwała i ostro spojrzała na mnie. W jej oczach właściwie już było wszystko. – Mówili, że opuszczasz całe dnie.

No i się zaczęło. Mówię wam, nie było nawet co ze mnie zbierać. Piekło. Tyle. Awantura na cztery fajery,

taka z krzykami, grożeniem, wyzywaniem od gówniarzy i szlabanami, właściwie to na wszystko oprócz szkoły.

– Ja ci mówię, Gośka! Choćby mnie to miało kosztować zdrowie, to gwarantuję ci, że skończysz tą szkołę! Już ja ci to gwarantuję!

No i co na to powiecie? Porażka? Gośka znowu coś nawaliła? Gośka to, Gośka tamto, wszystko Gośka! Świat kręci się wokół Gośki! Chciało mi się płakać. Jakbym miała coś o tym wszystkim powiedzieć, to powiedziałabym tylko jedno – gówno! W tym domu liczy się tylko jedna strona medalu i to nie jest moja strona. Przecież ona nawet nie spytała, o co chodzi. Czy mam może jakiś problem? Albo coś mnie trapi? A może tak przypadkiem mój kolega chce się zabić? Co? Nie! Szkoła, szkoła, szkoła. Nie chciało mi się już nic.

Gdy w końcu poszłam do swojego pokoju, już dłużej nie umiałam utrzymać łez. Zamknęłam drzwi i padłam na łóżko. Z całych sił wcisnęłam twarz w poduszkę i ze mnie poleciało. Za sobą usłyszałam jeszcze mamę, jak wchodzi do pokoju.

– A do szkoły to od jutra będzie cię woził samochodem tata – rzuciła ostro. – Tam i z powrotem. Zrozumiano?!

Rozdział 12

Jesień

Po wielkiej awanturze w domu przyszedł czas na wielką ciszę. Oskar to już do mnie nie zaglądał. Nawet nie umiałam sobie wyobrazić, co biedny teraz czuje. Jeżeli chodziło o mnie, to po opadnięciu najsilniejszych emocji, nie czułam się dobrze. No powiem więcej – było fatalnie. W kontekście tego, co się między mną i mamą podziało, na samą myśl o szkole miałam odruch wymiotny. To właściwie tyle.

Co do mamy, to dotrzymała słowa, bo już następnego dnia rano, gdy się przygotowałam do wyjścia, przy drzwiach czekał na mnie tata. Zdecydowanie nie było to komfortowe. Co więcej, czułam się nawet jak jakiś więzień doprowadzany gdzieś przez policję. Zeszliśmy razem do samochodu i pojechaliśmy prosto do szkoły.

W samochodzie nie rozmawiałam z tatą. Ale to i dobrze, bo miałam więcej czasu na myślenie. Pomyślałam o tym, co teraz będzie z Wiktorem. Bałam się tego, że będzie potrzebował się spotkać, a ja nie będę mogła do niego nawet wyjść. Obiecałam iść z nim do centrum zdrowia. No i co? Teraz wygląda na to, że będzie musiał iść tam sam. A co, jeżeli przylecą motyle? Gdy będzie ich dużo, albo aż tak dużo, że... O, nie.

Nie chciałam nawet o tym myśleć. Pozostało mi wierzyć, że zadzwoni. Byłam jedyną osobą, przed którą się ze swoim problemem otworzył. A wierzcie mi, to była duża odpowiedzialność. Ale powiem wam, że dobrze się czułam będąc powierniczką jego sekretu. To coś w nas budowało taką specyficzną, silną więź, której nie dało się porównać z niczym innym. Teraz, gdy nie mogłam się z nim spotkać, czułam tę więź jeszcze mocniej w sobie.

– Trzymaj się. Powodzenia – powiedział do mnie tata, gdy wysiadałam z auta pod szkołą.

Wysiadłam i poszłam, a on jak jakiś nieproszony strażnik stał samochodem jeszcze chwilę, czekając, aż wejdę do szkoły. To było dla mnie trudne, a nawet upokarzające. Ale tak, wszystko się zgadza. „Uwaga! Uwaga! Więźniarka numer 1234 Gośka X proszona jest do przejścia na blok B. Natychmiast!". Tak to właśnie brzmiało. No i idzie ta więźniarka Gośka, strażnik za mną dalej patrzy, a poziom mojego zdenerwowania rośnie zastraszająco szybko. Gapię się na budynek szkoły, a do mej głowy spływają te wszystkie myśli o tym, co mnie tam dzisiaj czeka. Głupie przedmioty o materiałach, płótnach, maszynach i sam Bóg wie jeszcze czym. No, po prostu jakby nie patrzeć, moje marzenie, same cukiereczki. Ciesz się Gośka, no ciesz. To twój ulubiony program resocjalizacyjny. Każdy więzień go przecież lubi, nie?

Ale dobra. Weszłam wreszcie do szkoły, obróciłam się, a on dalej tam stał samochodem. Halo. Panie

strażnik! Już jestem na bloku B, słyszy pan? Dotarłam. Twoja misja zakończona.

Z tyłu ktoś mnie klepnął w ramię.

– Siemka, Gośka.

Odwróciłam się. Przede mną stała Anka.

– Gdzie ty się podziewasz? W autobusie cię nie było.

– Nie było – rzuciłam. – Bo mam strażnika – wskazałam głową na samochód.

Anka spojrzała przez szybę w drzwiach i gdy skapowała, o co chodzi, to aż się zaśmiała.

– Ooo, he he. Tatuś dowozi, co?

– A daj mi spokój – machnęłam ręką. – Smycz mi rodzice założyli.

– Uuuu – zabuczała Anka. – Czyli, że coś tam chyba przeskrobałaś, co?

– Porażka, co ja ci będę mówić. Tylko tyle.

Szłyśmy przez korytarz, dochodziła dopiero ósma rano, a mnie powoli roznosiło. Byłam naładowana tak, że chciało mi się krzyczeć. Nawet Anka to zauważyła, bo przestała w końcu żartować. Opowiedziałam jej trochę o awanturze w domu i o rodzicach, na co machnęła tylko ręką.

– A dupcz to, Gośka! Miej ich gdzieś – skwitowała.

Łatwo mówić. Ale jak to miałam dupczyć, gdy się po prostu nie da?

– Wiesz – dodała Anka. – Ja ci powiem, że z moim ojcem to też jest podobnie… – coś tam jeszcze mówiła, ale już jej nie słuchałam, nie docierało do mnie.

Ze mną działo się coś niedobrego. Czułam, jak się w sobie jakoś zapadam, jakby mnie coś do środka wsysało. Nieprzyjemne uczucie. To chyba od nadmiaru złych emocji. Powinnam trochę spuścić tego szamba z głowy i zwolnić. No, ale to było bardzo trudne, wierzcie mi, po prostu się nie dało. Anka dalej coś tam gadała i gadała, szłyśmy powoli przez korytarz, a mi w głowie wszystko kręciło się jak w bębnie pralki.

Z prawej strony zobaczyłam głośną grupę osób, a wśród nich była Żyłka. Dochodziły stamtąd śmiechy i wyglądało, że wszyscy tam bawili się dobrze. Dopiero po chwili dostrzegłam, co się działo. Żyłka znów upychała niedopałki petów do czyichś kanapek. Wyglądało, że ktoś znów nie dołożył się jej do fajek. Ktoś znów będzie przez nią cierpiał. Miałam dość.

Zatrzymałam się. Anka też się zatrzymała.

– Co jest? Coś nie tak? – zapytała Anka. Chyba wyglądałam źle, bo zaraz po tym dodała – Gośka, wszystko z tobą OK?

Nie, Anka! Nie, nie było dobrze. Było gorzej niż jakiekolwiek najgorzej. Spojrzałam wzdłuż korytarza, którym przechodziło wiele osób, w tym szła nawet nasza pani dyrektor, a potem jeszcze raz w stronę tamtej grupki i nagle mi coś w głowie zaskoczyło. Tak, to było to! To mój moment! Nic nie powiedziałam. Tak zwyczajnie, tak jak byłam, podeszłam do Żyłki. Ta cała rozbawiona uniosła znad kanapki głowę. Spojrzała na mnie ostrym wzrokiem, jakby pytając „No i co się gapisz?”. Bez słowa wyciągnęłam jej z ręki ka-

napkę, w której było powtykane kilka petów i z całym impetem wcisnęłam jej nią w twarz. Rozgniotłam jej kanapkę na twarzy.

Następne wydarzenia podziały się bardzo szybko. Żyłka cała umazana masłem skoczyła na mnie i obie poleciałyśmy na podłogę. A potem było już tylko lepiej, jak się na leżąco na oślep okładałyśmy. Kupa wrzasku, krzyków i takiego szału, który nas roznosił po podłodze. To było coś! Mówię wam. Nawet sama pani dyrektor nie była nas w stanie rozdzielić.

Skończyło się najlepiej, jak się skończyć mogło. Wyrzucono mnie ze szkoły dyscyplinarnie. I w taki oto szalony sposób rozwiązał się mój problem szkoły.

No i co? No i jest finał. Więźniarka Gośka X wyszła wreszcie na wolność. I tak się właśnie czułam – wolna. Straciłam ten rok, to prawda, że straciłam, ale sami powiedzcie, co to jest rok? To nie są trzy długie lata. W ten sposób problem mojej szkoły się rozwiązał, a ja miałam dużo czasu, aby zaplanować, co robić dalej.

Siedziałam na krześle w pomieszczeniu, które wyglądało na przeznaczone do przyjmowania klientów. Było to w dużym, nowoczesnym biurowcu położonym w centrum miasta, jednym z takich, jakich wiele w metropoliach. Tak sobie siedząc, gapiłam się to na duży zegar zawieszony na ścianie, to na okno. Zegar, okno i znów zegar, okno. Mijały minuty. A za szybą znów była jesień, tak samo piękna, jak była rok temu, gdy rozstałam się ze szkołą odzieżową. Sama nie wie-

rzyłam, że to już rok. Czas minął błyskawicznie, że się nawet nie obejrzałam. A tak wiele się działo przez ten czas, że aż trudno w to wszystko uwierzyć.

A Wiktor? Co z nim? Czy sobie poradził? I czy przyrodnikowi udało się odgonić od niego motyle? No wyobraźcie sobie, że tak, że się udało. Wygrał, pokonał chorobę razem ze wsparciem naszego przyrodnika i psychologa. To była depresja, silna i okropnie niebezpieczna choroba, na którą zapadł po śmierci swojej mamy. Nie potrafił się z jej stratą pogodzić. A przebywanie z przemocowym ojcem jeszcze ten stan pogłębiało. Co tydzień chodziliśmy do centrum zdrowia, a potem jak zwykle na spacery do parku. Nie miałam szkoły, to i nie miałam szlabanów, więc mogliśmy się częściej spotykać razem. To był fajny dla nas czas, w którym się poznawaliśmy i wspieraliśmy nawzajem.

Moi rodzice też coś chyba z tej historii zrozumieli. Dla nich to było jak swego rodzaju lekcja, bo gdy im opowiedziałam, co się w ogóle działo, to widziałam, że ich to ruszyło. Na pewno dostrzegli w końcu tę drugą stronę medalu, że coś po tej drugiej stronie też czasem jest. Tak wiele, to się w nich nie zmieniło, ale przynajmniej nie mieli nic przeciwko temu, abym się spotykała z Wiktorem i to było dla mnie wystarczające. A odnośnie Konrada, to tu akurat się nie mylili, że delikatnie mówiąc, nie służyła mi relacja z nim. Mniej delikatnie, to Konrad miał u nich przechlapane.

Co do Konrada, to dokładnie nie wiem, co się z nim działo potem. Wiem za to, że jego zespół nie prze-

trwał nawet dnia po pamiętnym koncercie. W prasie znalazłam tylko krótką relację z tego wydarzenia w Aligatorze, gdzie redaktor podsumowując, stwierdził pół żartem, pół serio, że zespół „No Hope Revolution" to faktycznie jest rewolucja bez żadnej nadziei. Jak znam Konrada, to musiało go to dobić zupełnie.

Za to Sebka czasem spotykałam na mieście gdzieś na głównym deptaku. Chodził tamtędy do szkoły. Nie dopytywałam go o Konrada i on też chyba czuł, żeby ten temat ominąć. Tak sobie tylko przyjaźnie zamienialiśmy kilka zdań i szliśmy dalej, on w swoją stronę, a ja w swoją. Potem dowiedziałam się od niego, że Makary wyjechał z rodzicami, sprzedali dom i wyprowadzili się do Irlandii. Wtedy, gdy zerwałam z Konradem pod klubem, widziałam Makarego ostatni raz.

Zuza za to w swojej szkole czuła się jak ryba w wodzie. Stała się z niej nawet taka społecznica, w pozytywnym znaczeniu, że zaczęła się wszędzie udzielać. Widziałam, jak się w tym odnajduje i jak ją to zmienia na dobre. Odwiedzała mnie czasami, a niekiedy szłyśmy się po mieście poszwędać, tak trochę, jak to robiłyśmy dawno temu, jeszcze przed przeprowadzką Zuzy.

Jeżeli chodzi o Ankę, to skończyła pomyślnie pierwszą klasę odzieżówki i nawet była ze szkoły zadowolona. Już nie jeździłyśmy razem autobusem, ale czasem spotykałyśmy się gdzieś na ławce na osiedlu, aby sobie pogadać. Co więcej, widziałam w niej ostatnio sporo nadziei, bo jej ojciec wreszcie dostał sądo-

wy nakaz leczenia alkoholowego, że jak się nie zgłosi, to go tam siłowo doprowadzają. Jak to powiedziała mi Anka „Jak znam ojca, to nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, ale zawsze to lepsze niż nic. Zobaczymy".

Ja z kolei znów miałam problem ze znalezieniem dla siebie szkoły, bo wciąż nie byłam pewna, czego chcę od życia. Z niemałym wysiłkiem udało mi się trafić do liceum. Był to dla mnie bezpieczny wybór, póki jeszcze nie wykrystalizowałam sobie celów na życie. Stwierdziłam, że ogólny kierunek jest trochę jak rosół, że zawsze można z niego coś zrobić, czy to pomidorową, pieczarkową czy inną zupę. Rodzice w każdym razie byli bardzo zadowoleni, że wybrałam właśnie „rosół". Zaczęłam szkołę kilka tygodni temu. Pożyjemy i zobaczymy jak to będzie.

Gdy tak siedziałam w pomieszczeniu biurowca i sobie to wszystko przypominałam, w jednej chwili zrobiło mi się po prostu dobrze. To takie uczucie, gdy przelatuje przez człowieka kawałek życia, dobry kawałek, pełen różnych twarzy, emocji i wydarzeń. Zegar sobie tykał, na zewnątrz szumiały liście, a ja siedziałam i czekałam, aż ktoś z biura obok do mnie przyjdzie.

Jak myślicie, gdzie teraz jestem? I co tu robię? To ja wam już wszystko wyjaśniam. Czy pamiętacie, gdy na samym początku tej historii mówiłam, że mam pewien plan? Plan na życie, jeden z takich, nad którymi, jak to napisałam – główkuje się długo, buduje latami, a na myśl o którym aż ściska w żołądku? Ten plan to

ta oto książka, którą teraz trzymasz w ręce. To właśnie był mój pomysł – napisać historię o młodości, o życiu, koncertach, chłopakach, muzyce i wszystkim tym, co było mi bliskie. W tamtym czasie nawet się nie spodziewałam, o czym dokładnie to będzie i że całą historię napisze samo życie. Jak widać, napisało, i to najlepiej jak to tylko możliwe.

Teraz siedzę w biurze wydawnictwa i czekam na rozmowę w sprawie książki. Czy zdecydują się ją wydać? Tego nie wiem. Wiem za to, że to jest duża szansa dla mnie.

Spojrzałam raz jeszcze na zegar, a potem na okno. Ta jesień miała coś w sobie, coś specyficznego, czego nawet nie potrafiłam nazwać. To „coś" będzie już nieodłącznie kojarzyć mi się z Wiktorem. I kto by pomyślał, że cała ta historia zaczęła się gdzieś w autobusie do szkoły od nieznajomego chłopaka z naszywką „Amok Bastarian". A gdyby nie Konrad, to nie poznałabym nigdy Wiktora. Czasem tak jest, że najlepsze historie zaczynają się tak właśnie niewinnie od drobnych pozornie nieistotnych rzeczy, które potem wywracają świat do góry nogami. A skończyło się lepiej, niż mogłabym się nawet spodziewać, choć przyznaję, że kłopotów po drodze było bez liku.

– Dzień dobry. Pani Małgorzata? – zapytał mężczyzna, który wszedł do pomieszczenia. – Witam. Bardzo mi miło – podał mi dłoń. No to się zaczęło.

Godzinę później wyszłam z budynku wydawnictwa pełna różnych emocji. To było naprawdę trudne spo-

tkanie. Na dole przed wejściem czekał na mnie ktoś, ktoś bardzo mi bliski. Podszedł i popatrzył na mnie tym swoim ładnym, smutnym spojrzeniem, które ze smutku teraz miało już niewiele.

– No mów, Gośka – powiedział Wiktor. – Udało się? Mów.

Spojrzałam na niego z kamienną miną i nic nie powiedziałam.

– Gadaj! Gośka – ponaglał. – Mów.

Zaraz potem lekko się uśmiechnęłam, coraz bardziej i bardziej. No, już dłużej utrzymać tego nie mogłam.

– Tak! Udało się! – wyrzuciłam euforycznie z siebie. – Wiktor! Słyszysz?! Udało się! Będzie książka!

Spis treści

Rozdział 1
Poniedziałek 5
Rozdział 2
Długi dzień 22
Rozdział 3
Chłopaki 47
Rozdział 4
Gwiazdy 58
Rozdział 5
Zakazany owoc 77
Rozdział 6
Orbitowanie 91
Rozdział 7
Helikoptery 109
Rozdział 8
Wolność 138
Rozdział 9
No Hope Revolution 155
Rozdział 10
Koniec 165
Rozdział 11
Przyrodnik 176
Rozdział 12
Jesień 190